

Franz Kafka

Proces

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Aresztowanie — Rozmowa z panią Grubach — Potem z panną Bürstner

Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany. Kucharka pani Grubach, jego gospodyni, przynosząca mu śniadanie codziennie około ósmej godziny rano, tym razem nie przysłała. To się dotychczas nigdy nie zdarzyło. K. czekał jeszcze chwilę, widział ze swego łóżka starą kobietę z przeciwka, która obserwowała go z niezwykłą ciekawością, potem jednak głodny i zdziwiony zadzwonił. Natychmiast ktoś zapukał i wszedł mężczyzna, którego jeszcze nigdy w tym mieszkaniu nie widział. Był wysmukły, a jednak silnie zbudowany, miał na sobie czarne, obcisłe ubranie, podobne do stroju podróznego, zaopatrzone w różne kieszenie, fałdy, guziki i sprzączki oraz pasek, tak że wyglądało nadzwyczaj praktycznie, mimo iż nie było jasne, do czego by mogło służyć.

— Kto pan jest? — zapytał K. i natychmiast podniósł się w łóżku. Mężczyzna jednak zbył to milczeniem, jak gdyby i tak trzeba było pogodzić się z jego obecnością, i spytał tylko:

— Pan dzwonił?

— Niech mi Anna przyniesie śniadanie — powiedział K. i starał się tymczasem, milcząc i natężając uwagę, dociec, kim właściwie jest ów człowiek. Ale ten nie liczył się z jego ciekawością, lecz podszedł do drzwi, które na pół uchylił, aby komuś, kto widocznie stał tuż za nimi, powiedzieć:

— On chce, by Anna przyniosła mu śniadanie.

W pokoju przyległym dał się słyszeć chichot, ale sądząc z głosu, trudno było poznać, czy to śmiała się jedna osoba, czy więcej. Choć obcy człowiek nie dowiedział się właściwie nic, czego by już przedtem nie wiedział, zwrócił się do K. oznajmiając:

— To jest niemożliwe.

— O, to coś nowego — powiedział K., wyskoczył z łóżka i wdział szybko spodnie. — Chcę jednak zobaczyć, kto tam jest w sąsiednim pokoju, a pani Grubach odpowie mi za to zakłócenie spokoju! — Wprawdzie natychmiast uczył, że nie powinien był tego głośno mówić i że przez to uznaje do pewnego stopnia prawo nieznajomego do nadzoru, jednak nie wydawało mu się to teraz ważne. W każdym razie tak to widocznie nieznajomy zrozumiał, gdyż powiedział:

— Nie zechciałby pan raczej tu zostać?

— Nie chcę ani tu zostać, ani z panem rozmawiać, dopóki pan mi się nie przedstawi.

— Nie miałem nic złego na myśli — rzekł nieznajomy i otworzył teraz dobrowolnie drzwi. Sąsiedni pokój, do którego K. wszedł wolniej, niż chciał, wyglądał na pierwszy rzut oka prawie tak samo jak poprzedniego wieczora. Było to mieszkanie pani Grubach. Może w tym przeładowanym meblami, makatami, porcelaną i fotografiami pokoju było dziś nieco więcej miejsca niż zazwyczaj, ale nie można tego było zauważyć od razu, tym bardziej że główna zmiana polegała na obecności jakiegoś mężczyzny, siedzącego przy otwartym oknie z książką, znad której teraz podniósł głowę.

— Powinien pan być zostać w swoim pokoju! Czy Franciszek panu tego nie powiedział?

— Ale czego pan chce ode mnie, u licha? — rzekł K. wodząc oczami od nowego nieznajomego do tego, którego nazwano Franciszkiem, a który został w drzwiach. Przez otwarte okno znowu widać było w przeciwległej kamienicy starą kobietę, która z prawdziwie starczą ciekawością podeszła do okna, aby w dalszym ciągu wszystkiemu się przypatrywać.

— Ależ chcę widzieć panią Grubach — powiedział K., zrobił ruch, jakby się wyrwał obu ludziom, którzy stali przecież daleko od niego, i chciał pójść dalej.

— Nie — rzekł człowiek przy oknie, rzucił książkę na stolik i wstał. — Nie wolno panu odejść, pan jest przecież aresztowany.

— Tak to wygląda — rzekł K. — Ale za co? — spytał potem.

— Tego panu nie możemy powiedzieć. Proszę pójść do swego pokoju i czekać. Wdrożono już dochodzenie i w swoim czasie dowie się pan o wszystkim. Wychodzę już poza instrukcje, rozmawiając z panem tak uprzejmie. Ale spodziewam się, że tego nie słyszy nikt oprócz Franciszka, a ten jest wbrew wszelkim przepisom aż nadto grzeczny wobec pana. Jeśli pan dalej będzie miał tyle szczęścia, ile obecnie przy wyznaczaniu strażników, to może pan być całkiem spokojny.

K. chciał usiąść, lecz zauważył, że w całym pokoju nie było miejsca do siedzenia z wyjątkiem krzesła przy oknie.

— Pan się jeszcze sam przekona, jak dalece to wszystko jest prawdą — powiedział Franciszek i zbliżył się do niego wraz z drugim mężczyzną. Zwłaszcza ten ostatni przewyższał znacznie K. wzrostem i klepał go raz po raz po ramieniu. Obaj zbadali koszulę nocną K. i orzekli, że teraz będzie musiał włożyć o wiele gorszą, ale że

oni tę koszulę, jak i całą jego pozostałą bieliznę, przechowają i zwrócą, jeśli jego sprawa wypadnie pomyślnie.

— Lepiej będzie, jeśli pan odda te rzeczy nam anizeli do magazynu — powiedzieli — bo w magazynie zdarzają się często sprzeniewierzenia i oprócz tego sprzedaje się tam po jakimś czasie wszystkie przedmioty, bez względu na to, czy dochodzenie jest już ukończone, czy nie. A jak długo trwają tego rodzaju procesy, zwłaszcza w ostatnich czasach! Dostałby pan co prawda w końcu pewną sumę ze sprzedaży, ale suma ta jest po pierwsze niewielka, bo przy wyprzedaży rozstrzyga nie tyle wysokość ceny wywoławczej, ile wysokość łapówki, po drugie zaś kwota ta, jak doświadczenie uczy, maleje dalej z roku na rok, przechodząc z ręki do ręki.

K. nie zwracał prawie uwagi na te rady; prawa dysponowania własnymi rzeczami, prawa, które może jeszcze posiadał, nie cenił wysoko, o wiele ważniejsze było, aby zdać sobie sprawę ze swego położenia. W obecności jednak tych ludzi nie mógł się nawet zastanowić, potrącany co chwila niemal po przyjacielsku brzuchem jednego ze strażników — mogli to być chyba tylko strażnicy — ale gdy podnosił wzrok, widział zupełnie z tym grubym ciałem nie harmonizującą suchą, kościstą twarz z grubym, w bok skrzywionym nosem, twarz, która ponad jego głową porozumiewała się spojrzeniem z towarzyszem. Co to byli za ludzie? O czym mówili? Jakiej władzy podlegali? K. żył przecież w państwie praworządnym, wszędzie panował pokój, wszystkie prawa były przestrzegane, kto śmiał go we własnym mieszkaniu napadać? Zawsze był skłonny wszystko lekko traktować, wierzyć temu, co najgorsze, dopiero kiedy ono nań spadło, nie zabezpieczać się na przyszłość, choćby zewsząd groziły niebezpieczeństwa — w tym jednak wypadku nie wydawało mu się to właściwe. Można było wprawdzie wziąć to wszystko za żart, gruby żart, który mu, z niewiadomych powodów, może z okazji jego dzisiejszej trzydziestej rocznicy urodzin, splatali jego koledzy z banku. To było naturalnie możliwe. I może wystarczyło tylko roześmiać się strażnikom w twarz, aby i oni się roześmieli, może to byli tylko posłańcy z rogu ulicy — w istocie byli trochę do nich podobni — mimo to był od pierwszej chwili, niemal odkąd spostrzegł strażnika Franciszka, zdecydowany nie wypuszczać z ręki żadnego swego atutu. Z tego, że później powiedzą, iż nie rozumie się na żartach, niewiele sobie robił. Co prawda, nie było w jego zwyczaju wyciągać nauk z doświadczenia — dobrze sobie przypominał pewne same przez się nic nie znaczące wypadki, w których, inaczej niż jego znajomi, świadomie i bez najmniejszej troski o możliwe następstwa zachował się ostrożnie i za to w rezultacie został ukarany. To nie

powinno się było powtórzyć, przynajmniej tym razem. Jeśli to była komedia, był zdecydowany wziąć w niej udział. Na razie był jeszcze wolny.

— Przepraszam — rzekł i szybko przeszedł pomiędzy strażnikami do swego pokoju.

— Wygląda na rozsądnego — usłyszał za sobą uwagę strażników.

W swoim pokoju otworzył natychmiast gwałtownie szuflady biurka. Wszystko leżało tam w największym porządku, ale właśnie legitymacyj, których szukał, nie mógł w zdenerwowaniu znaleźć. W końcu znalazł swoją kartę rowerową i chciał z nią pójść do strażników, lecz potem wydał mu się ten papier zbyt błahy i po dalszych poszukiwaniach znalazł wreszcie swoją metrykę. Gdy wrócił do sąsiedniego pokoju, otworzyły się właśnie drzwi naprzeciwko, chciała nimi wejść pani Grubach. Widział ją tylko krótką chwilę, bo zaledwie poznała K., zmieszana się widocznie, przeprosiła, cofnęła się i nadzwyczaj ostrożnie zamknęła drzwi za sobą. K. zdołał zaledwie jeszcze powiedzieć:

— Ależ proszę wejść.

I oto stał ze swoimi papierami na środku pokoju, patrzył jeszcze na drzwi, które się już nie otworzyły, i zerwał się przestraszony dopiero na zawołanie strażników, którzy siedzieli koło otwartego okna i, jak K. teraz zauważył, spożywali jego śniadanie.

— Dlaczego nie weszła? — spytał.

— Nie wolno jej — odpowiedział wyższy strażnik — jest pan przecież aresztowany.

— Jakże mogę być aresztowany? I do tego w taki sposób?

— Znowu pan zaczyna — powiedział strażnik i zanurzył kromkę chleba z masłem w słoiku z miodem. — Na takie pytania nie odpowiadamy.

— Będziecie mi na nie musieli odpowiedzieć — powiedział K. — Oto moje dokumenty, pokażcie mi teraz wasze, a przede wszystkim rozkaz aresztowania.

— Miły Boże — rzekł strażnik — że też pan nie umie dostosować się do swego położenia. Jakby wziął się pan drażnić nas bez celu, choć jesteśmy teraz prawdopodobnie bliżsi panu od wszystkich pańskich bliźnich.

— Tak jest w istocie, niech pan temu wierzy — dodał Franciszek, nie podnosząc do ust filiżanki kawy, którą trzymał w ręku, lecz patrząc na K. długim, jakby pełnym znaczenia, choć niezrozumiałym spojrzeniem.

K. wbrew własnej woli wdał się w wymianę spojrzeń z Franciszkiem, potem uderzył jednak w swoje papiery i rzekł:

– Tu są moje dokumenty.

– Cóż one nas obchodzą? – zawołał teraz wyższy strażnik. – Pan się zachowuje gorzej niż dziecko. Czego pan chce? Czy myśli pan, że pan szybciej wygra swój ciężki, przekłety proces dyskutując z nami, strażnikami o legitymacji i nakazie aresztowania? Jesteśmy tylko skromnymi funkcjonariuszami nie znającymi się na dokumentach, mamy tyle z pańską sprawą wspólnego, że musimy przez dziesięć godzin dziennie pilnować pana i za to nam płacą. Oto wszystko, czym jesteśmy, tyle jednak potrafimy zrozumieć, że wysokie władze, którym służymy, informują się, nim zarządzają aresztowanie, bardzo dokładnie o powodach uwięzienia i o osobie uwięzionego. Nie może w tym zajść żadna pomyłka. Nasza władza, o ile ją znam, a znam tylko najniższe służbowe stopnie, nie szuka winy wśród ludności, raczej wina sama przyciąga organy sądowe, które ją wówczas ścigają, jak mówi ustawa, i wysyłają nas, strażników. Takie jest prawo. Gdzie więc może tu zajść jakaś pomyłka?

– Nie znam tego prawa – powiedział K.

– Tym gorzej dla pana – odrzekł strażnik.

– Ono istnieje chyba jedynie w waszych głowach – powiedział K. Chciał w jakiś sposób wkraść się w myśli strażników, zmienić je na swoją korzyść, zakorzenić się w nich. Lecz strażnik odpowiedział surowo:

– Pan je jeszcze na sobie odczuje.

Franciszek wmieszał się i rzekł:

– Patrz, Willem, on przyznaje, że tego prawa nie zna, a równocześnie twierdzi, że jest niewinny.

– Masz zupełną rację. Ale on sobie niczego nie da wytłumaczyć – powiedział drugi.

K. nie odpowiadał już nic. „Czy mam się dać bałamucić tym najniższym funkcjonariuszom? – myślał – sami przyznają, że nimi są. Przecież gadają o rzeczach, których zupełnie nie rozumieją. Ich pewność siebie pochodzi jedynie z głupoty. Kilka słów, które zamienię z kimś sobie równym, o wiele lepiej mi wszystko wyjaśni niż długie rozmowy z tymi gburami”. Przeszedł się kilka razy po wolnej części pokoju tam i z powrotem. Widział, jak naprzeciwko stara kobieta przyciągnęła do okna obejmując ramieniem jakiegoś starca w wieku jeszcze bardziej podeszłym. K. postanowił skończyć z tym widowiskiem.

– Zaprowadźcie mnie do waszego przełożonego – powiedział.

– Dopiero na jego życzenie, nie prędzej – odpowiedział strażnik nazwany Willemem. – A teraz radzę panu – dodał – pójść do swego pokoju, zachowywać się

cicho i czekać na dalsze rozporządzenia. Radzimy panu nie zajmować się bezużytecznymi myślami, tylko skupić się, gdyż będzie pan jeszcze musiał sprostać niemałym wymaganiom. Nie obchodzi się pan z nami, jak zasłużyliśmy na to naszą uprzejmością, zapomniał pan, że bądź co bądź jesteśmy w porównaniu z panem wolnymi ludźmi, a to jest niemała przewaga. Mimo to jesteśmy gotowi, jeśli pan ma pieniądze, przynieść panu skromne śniadanie z kawiarni naprzeciwko.

K. stał chwilę cicho, nie odpowiadając na tę propozycję. Być może, gdyby otworzył drzwi do następnego pokoju albo nawet do przedpokoju, nie ośmieliliby się go powstrzymać, może byłoby najprostszym rozwiązaniem sytuacji, gdyby posunął się do ostateczności. Ale może też rzuciliby się na niego, a raz schwytany i obalony straciłby całą przewagę, jaką dotąd nad nimi pod pewnym względem zachował. Dlatego z ostrożności postanowił zdać się na rozwiązanie, które musiało przyjść naturalnym biegiem rzeczy, i wrócił do swego pokoju. Ani z jego strony, ani ze strony strażników nie padło już żadne słowo.

Rzucił się na łóżko i wziął z umywalni piękne jabłko, które przygotował sobie wczoraj wieczorem na poranny posiłek. Teraz stanowiło ono jego całe śniadanie, w każdym razie, o czym się po pierwszym kęsie przekonał, o wiele lepsze od śniadania z brudnego baru, które by otrzymał z łaski strażników. Czuł się dobrze i bezpiecznie. Wprawdzie opuścił dziś przed południem służbę w banku, ale mógł łatwo to usprawiedliwić dzięki stosunkowo wysokiemu stanowisku, jakie tam zajmował. Czy powinien podać prawdziwy powód nieobecności? Miał zamiar tak zrobić. Gdyby mu nie uwierzono, co było w tym wypadku łatwo zrozumiałe, mógłby powołać na świadków panią Grubach albo oboje staruszków z przeciwka, którzy teraz pewnie spieszyli do przeciwległego okna. Dziwiło to K., przynajmniej z punktu widzenia strażników, że zapędzili go do tego pokoju i zostawili samego tu, gdzie przecież miał wszelkie możliwości odebrania sobie życia. Równocześnie jednak zastanawiał się, tym razem z własnego punktu widzenia, czy miał w istocie powód do takiego kroku. Czy dlatego, że ci dwaj siedzieli obok i sprząkali mu sprzed nosa śniadanie? Byłby ten krok czymś tak bezsensownym, że już wskutek tej bezsensowności nie byłby w stanie go uczynić, nawet gdyby miał nań ochotę. Gdyby ograniczoność strażników nie była tak rażąca, można by przypuszczać, że i oni byli tego samego zdania i nie widzieli niebezpieczeństwa zostawiając go samego. Mogli teraz, jeśli chcieli, widzieć, jak podszedł do szafki ściennej, gdzie przechowywał dobrą wódkę, jak naprzód wychylił jeden kieliszek zamiast czegoś gorącego na śniadanie, a następnie drugi dla dodania sobie odwagi, ten drugi jedynie z przeczności, na wszelki wypadek.

Wtem wstrząsnął nim krzyk z sąsiedniego pokoju tak gwałtownie, że zadzwonił zębami o szkło.

— Nadzorca wzywa pana! — zawołano.

Tym, co go przestraszyło, był krzyk, ten krótki, urywany, żołnierski wrzask, o który by nigdy strażnika Franciszka nie posądzał. Sam rozkaz był mu pożądanym.

— Wreszcie! — odkrzyknął, zamknął szafkę i natychmiast pobiegł do sąsiedniego pokoju.

Tam stali obaj strażnicy i jakby się to samo przez się rozumiało, zagnali go z powrotem do jego pokoju.

— Co wam przyszło do głowy! — wołali — w koszuli chcecie iść do nadzorcy? Każe was obić, i nas w dodatku.

— Puśćcie mnie, do diabła! — wołał K., którego już przyparli do szafy — nie można wymagać ode mnie odświętnego stroju, skoro napada się na mnie w łóżku.

— Trudna rada — powiedzieli strażnicy, którzy zawsze, ilekroć K. podnosił głos, uspokajali się, nawet wprost smutnieli, co go mieszało i poniekąd otrzeźwiało.

— Śmieszne ceremonie — mrucał jeszcze, ale już zdjął ubranie z krzesła i trzymał je chwilę w obu rękach, jakby poddawał je ocenie strażników. Potrzęsneli głowami.

— To musi być czarne ubranie — powiedzieli.

Na to K. rzucił ubranie na ziemię i sam nie rozumiejąc, w jakim sensie to mówi, powiedział:

— Przecież to jeszcze nie jest rozprawa główna.

Strażnicy uśmiechnęli się, lecz obstawali przy swoim:

— To musi być czarne ubranie.

— Jeśli przez to przyspieszę sprawę, niech już będzie — powiedział K., otworzył sam szafę i szukał długo pomiędzy garniturami, wybrał najlepszy czarny żakiet, który swoim krojem wywołał sensację wśród znajomych, wyciągnął także inną koszulę i zaczął się starannie ubierać. W skrytości ducha sądził, że udało mu się przyspieszyć całą sprawę przez to, że strażnicy zapomnieli zmusić go do kąpieli. Obserwował ich, czy sobie tego może jednak nie przypomną, ale oni oczywiście wcale na to nie wpadli, natomiast Willem nie zapomniał wysłać Franciszka do nadzorcy z doniesieniem, że K. się ubiera.

Gdy był już zupełnie ubrany, musiał przejść obok Willema przez pusty pokój sąsiedni do następnego, którego dwuskrzydłowe drzwi były już na oścież otwarte. Ten pokój, jak K. dobrze o tym wiedział, zamieszkiwała od niedawna niejaka panna

Bürstner, stenotypistka, która zwykła była bardzo wczesnie wychodzić do pracy, późno wracała do domu i z którą K. zamienił był zaledwie parę razy pozdrowienia. Teraz wysunięto na środek pokoju stolik nocny sprzed jej łóżka, niby stół na rozprawie sądowej, i za nim zasiadł nadzorca. Założył nogę na nogę i jedno ramię oparł na poręczu krzesła.

W jednym kącie pokoju stali trzej młodzi ludzie i przypatrywali się fotografiom panny Bürstner, zatkniętym w wiszącą na ścianie trzcinową matę. Na klamce otwartego okna wisiała biała bluzka. Z okna naprzeciw znowu wychylali się oboje starzy, ale grupa powiększyła się, bo za nimi stał znacznie od nich wyższy mężczyzna z rozpiętą na piersiach koszulą, który przebierał palcami w swojej rudawej, spiczastej bródce.

— Józef K.? — spytał nadzorca, może tylko po to, aby ściągnąć na siebie jego latający wzrok.

K. przytaknął.

— Pan jest zapewne bardzo zaskoczony wypadkami dzisiejszego rana? — spytał nadzorca i przesunął przy tym obiema rękami kilka przedmiotów leżących na stoliku: świecę, zapalki, książkę i poduszeczkę na szpilki, jakby to były przedmioty potrzebne mu do rozprawy.

— Pewnie — odparł K. i ogarnęło go miłe uczucie zadowolenia, że wreszcie ma do czynienia z człowiekiem rozumnym i może z nim mówić o swojej sprawie. — Bez wątpienia, jestem zaskoczony, ale znowu nie tak bardzo.

— Nie bardzo zaskoczony? — spytał nadzorca i postawił świecę na środku stolika, grupując wokół niej inne przedmioty.

— Może mnie pan źle rozumie — spiesznie zauważył K. — Przyznaję — tu przerwał i obejrzał się za jakimś krzesłem. — Mogę chyba usiąść? — zapytał.

— To u nas nie jest przyjęte — odpowiedział nadzorca.

— Przyznaję — rzekł K. już bez dalszej przerwy — że jestem bądź co bądź bardzo zaskoczony, ale gdy się żyło na świecie trzydzieści lat i samemu musiało się przez życie przebijać, jak to mnie przypadło w udziale, człowiek staje się odporny i nie bierze już tak poważnie żadnych niespodzianek. Zwłaszcza takich jak ta dzisiejsza.

— Dlaczego zwłaszcza takich jak ta dzisiejsza?

— Nie mówię, że uważam to wszystko za żart, na to poczynione przygotowania wydają mi się jednak zbyt daleko idące. Należałoby wmieszać w to wszystkie osoby pensjonatu, a także was wszystkich, a to by przekraczało granice żartu. Nie chcę więc mówić, że to jest żart.

— Całkiem słusznie — powiedział nadzorca i obliczał, ile jest zapalek w pudełku z zapalkami.

— Z drugiej jednak strony — ciągnął dalej K. i zwrócił się przy tym do wszystkich, a chętnie byłby się nawet zwrócił jeszcze do tych trzech przy fotografiach — z drugiej jednak strony cała ta sprawa nie może być bardzo ważna. Wnioskuje to z tego, że jestem wprawdzie oskarżony, ale nie mogę znaleźć najmniejszej winy, o którą można mnie było oskarżyć. Ale i to jest drugorzędną sprawą. Kto mnie oskarża? — oto zasadnicze pytanie. Jaka władza prowadzi dochodzenie? Czy pan jest urzędnikiem? Nikt z was nie ma munduru, chyba że pańskie ubranie — tu zwrócił się do Franciszka — zechce ktoś uważać za mundur, ale i ono jest raczej strojem podróżnym. W tych kwestiach żądam wyjaśnień i jestem przekonany, że po ich otrzymaniu najserdeczniej się rozstaniemy.

Nadzorca opuścił na stół pudełko z zapalkami.

— Pan jest w wielkim błędzie — rzekł. — Ci panowie i ja stoimy w tej sprawie całkiem na uboczu, co więcej, my o niej prawie nic nie wiemy. Choćbyśmy nosili nawet najbardziej przepisowe mundury, nie pogorszyłyby to ani trochę stanu pańskiej sprawy. Nie mogę też bynajmniej powiedzieć panu, czy jest pan oskarżony, sam tego nie wiem. Pan jest aresztowany, oto wszystko, więcej nie wiem. Może strażnicy nagadali co innego, w takim razie było to tylko czcze gadanie. Ale chociaż nie odpowiem na pańskie pytania, to jednak radzę panu mniej zajmować się nami i tym, co się z panem stanie, natomiast więcej myśleć o sobie. I lepiej nie robić tyle hałasu z tą pańską niewinnością, bo to psuje niezłe wrażenie, jakie pan na ogół sprawia. Powinien pan też być powściągliwszy w słowach. Prawie wszystko, co pan przedtem powiedział, można było po pierwszych paru słowach wywnioskować z pańskiego zachowania, zresztą nie było to nic dla pana szczególnie korzystnego. K. wpatrzył się w nadzorcę. Dostawał nauczki jak w szkole, i w dodatku może od człowieka młodszego od siebie! Za swoją otwartość został ukarany naganą! A o przyczynach aresztowania i o tym, kto je nakazał, nie dowiedział się niczego!

Zirytowany przemierzał pokój tam i z powrotem, w czym mu nikt nie przeszkadzał, podciągnął mankiety, obmacał sobie pierś, przygładził włosy, przeszedł obok trzech mężczyzn, powiedział:

— Ależ to nie ma sensu — na co się odwrócili i popatrzyli na niego życzliwie, ale z powagą, a on wreszcie zatrzymał się przy stole nadzorcy. — Prokurator Hasterer jest moim dobrym przyjacielem — rzekł — czy mogę do niego zatelefonować?

— Oczywiście — powiedział nadzorca — tylko nie wiem, jaki to mogłoby mieć sens? Chyba że ma pan z nim omówić jakąś prywatną sprawę.

— Jaki sens? — zawołał K. bardziej zdumiony niż rozgniewany. — Ależ kto pan jest? Pan chce widzieć sens, a dopuszcza się największego bezsensu. To doprawdy może przyprawić o rozpacz. Ci panowie najpierw mnie napadli, a teraz siedzą i stoją naokoło i każą mi popisywać się przed panem. Jaki to ma sens telefonować do prokuratora, gdy jestem rzekomo aresztowany? Dobrze, nie będę telefonował.

— Ależ proszę — powiedział nadzorca i wskazał ręką na przedpokój, gdzie był telefon. — Proszę, może pan zatelefonować.

— Nie, już teraz nie chcę — rzekł K. i podszedł do okna.

Naprzeciw całe towarzystwo stało jeszcze u okna i tylko jego zbliżenie się zmieszało nieco obserwatorów. Starzy chcieli się podnieść, lecz znajdujący się za nimi człowiek uspokoił ich.

— Tam są także tacy widzowie! — zawołał K. całkiem głośno do nadzorcy i pokazał ich wskazującym palcem. — Precz stąd! — krzyknął potem do nich.

Wszyscy troje zaraz się też cofnęli o kilka kroków, oboje starzy nawet jeszcze za mężczyznę, który zasłonił ich swoim szerokim ciałem i wnosząc z ruchu ust mówił coś niezrozumiałego na odległość. Całkiem jednak nie zniknęli, lecz zdawali się czekać na sposobność, kiedy będą mogli znowu zbliżyć się do okna.

— Natrętni, niewychowani ludzie! — powiedział K. odwracając się od okna. Nadzorca prawdopodobnie zgadzał się z nim, co K. stwierdził, jak mu się zdawało, spojrzeniem z ukosa. Ale równie dobrze mógł niczego nie słyszeć, gdyż jedną rękę silnie przycisnął do stołu i był widocznie zajęty porównywaniem długości palców. Obaj strażnicy siedzieli na kufrze przykrytym ozdobną kapą i tarli swoje kolana. Trzej młodzi ludzie wsparli się rękoma o biodra i patrzyli wokół bez celu. Było cicho jak w jakimś opustoszałym biurze.

— A więc, moi panowie! — zawołał K. i przez chwilę było mu tak ciężko, jakby dźwigał ich wszystkich na barkach — sądząc z zachowania się panów, moja sprawa jest chyba zakończona. Jestem zdania, że najlepiej będzie nie mówić więcej o słuszności czy niesłuszności waszego postępowania i zakończyć rzecz pojednawczo przez wzajemny uścisk dłoni. Jeśli i pan jest tego zdania, to proszę.

K. przystąpił do stołu nadzorcy i wyciągnął rękę. Wciąż jeszcze przypuszczał, że nadzorca ujmie ją, ale ten wstał, wziął okrągły, twardy kapelusz, który leżał na łóżku panny Bürstner, i obiema rękami nasadził go sobie ostrożnie na głowę, jak to się robi zwykle przy przymiarce nowych kapeluszy.

— Jak proste wydaje się panu wszystko — mówił przy tym do K. — Więc mamy sprawę zakończyć ugodowo, myśli pan? Nie, nie, to doprawdy niemożliwe. Z drugiej strony, nie chcę przez to wcale powiedzieć, że powinien pan zwątpić. Nie, dlaczego by? Pan jest tylko aresztowany, nic więcej. Miałem to panu oznajmić, zrobiłem to i widziałem także, jak pan to przyjął. Na tym na dzisiaj dość i możemy się pożegnać, zresztą tylko na razie. Przypuszczam, że zechce pan teraz pójść do banku.

— Do banku? — spytał K. — Sądziłem, że jestem aresztowany. — K. pytał z pewną przekorą. Mimo że jego ręka nie została przyjęta, czuł się coraz bardziej niezależnym od wszystkich tych ludzi, zwłaszcza odkąd nadzorca się podniósł. Igrał teraz z nim. Miał zamiar, na wypadek jeśli odejdą, zbiec za nimi aż do bramy i zaofiarować im swoje aresztowanie. Dlatego powtórzył jeszcze: — Jak mogę pójść do banku, skoro jestem aresztowany?

— Ach tak — rzekł nadzorca już w drzwiach — pan mnie źle zrozumiał. Pan jest aresztowany, pewnie, ale nie powinno to panu przeszkadzać w wykonywaniu zawodu. I nie powinno to również wpłynąć na codzienny tryb pańskiego życia.

— W takim razie nie jest tak straszną rzeczą być aresztowanym — powiedział K. i przystąpił blisko do nadzorcy.

— Nigdy nie byłem innego zdania — odpowiedział on.

— Wobec tego zdaje mi się, że i zawiadomienie mnie o uwięzieniu nie było tak bardzo konieczne — rzekł K. i podszedł jeszcze bliżej. Także i inni zbliżyli się. Wszyscy zebrali się teraz w jednym miejscu przy drzwiach.

— To było moim obowiązkiem — rzekł nadzorca.

— Głupi obowiązek — powiedział K. nieustępliwie.

— Być może — odpowiedział nadzorca — ale szkoda tracić czas na takie rozmowy. Przypuszczałem, że chce pan pójść do banku. A ponieważ pan zważa na każde słowo, dodam: nie zmuszam pana, przypuszczałem tylko, że pan sam chce pójść do banku. Chcąc zaś panu ułatwić powrót, o ile możliwości bez zwrócenia uwagi, trzymałem tu w pogotowiu tych trzech panów, pańskich kolegów.

— Jak to? — zawołał K. i popatrzył na nich ze zdziwieniem. Ci tak mało charakterystyczni, anemiczni młodzi ludzie, których zachował w pamięci tylko jako grupę koło fotografii, byli rzeczywiście urzędnikami jego banku, co prawda nie kolegami, to już była przesada, dowodząca luki we wszechwiedzy nadzorcy, bądź co bądź byli niższymi urzędnikami. Jak mógł K. to przeoczyć? Jak musiała być pochłonięta jego uwaga strażnikami i nadzorcą, że nawet nie poznał tych trzech! Sztywnego, wywijającego rękami Rabensteina, blondyna Kullicha z głęboko

osadzonymi oczyma oraz Kaminera z jego nieznośnym grymasem: uśmiechem wywoływanym przez chroniczny skurcz mięśnia.

— Dzień dobry! — rzekł po chwili K. i podał rękę trzem panom, którzy poprawnie się uklonili. — Zupełnie panów nie poznałem. Idziemy więc do roboty?

Panowie skinęli z uśmiechem, skwapliwie, jakby przez cały czas tylko na to czekali, i gdy K. oglądał się za kapeluszem, który został w jego pokoju, wszyscy trzej rzucili się na poszukiwanie, jeden za drugim, co wskazywało jednak na pewne zakłopotanie. K. stał spokojnie i patrzył za nimi przez dwoje otwartych drzwi. Ostatnim był naturalnie obojętny na wszystko Rabensteiner, który zamachnął się tylko z elegancją do biegu. Kaminer podał kapelusz i K. musiał wyraźnie stwierdzić, na co już w banku nieraz zwrócił uwagę, że uśmiech Kaminera nie pochodził z rozmysłu, co więcej, że nie mógł on w ogóle nigdy śmiać się umyślnie. W przedpokoju otworzyła drzwi całemu towarzystwu pani Grubach, która wcale nie wyglądała na osobę poczuwającą się bardzo do winy, i K. spojrział, jak zazwyczaj, na szelki jej fartucha, które tak niepotrzebnie głęboko wrzynały się w jej potężne ciało. Na dole K., spojrzawszy na zegarek, postanowił wziąć auto, aby nie powiększać zbytecznie już i tak półgodzinnego opóźnienia. Kaminer pobiegł na róg po auto, tamci dwaj najwyraźniej starali się K. zabawić, gdy nagle Kullich wskazał bramę kamienicy z przeciwka, bramę, w której właśnie pojawił się ów wysoki mężczyzna z jasną ostrą bródką i jakby w pierwszej chwili nieco zmieszany tym, że ukazał się teraz w całej swej wielkości, cofnął się do ściany i oparł się o nią. Starzy z pewnością byli jeszcze na schodach. K. gniewało, że Kullich zwrócił jego uwagę na tego człowieka, którego już sam przedtem zauważył, ba, którego nawet oczekiwał.

— Proszę tam nie patrzeć! — wybuchnął nie spostrzegając, jak dziwaczne było takie odezwanie się do dorosłych ludzi. Ale nie potrzebował się tłumaczyć, gdyż właśnie zajechało auto, wsiedli i pojechali. Wtem przypomniał sobie K., że wcale nie zauważył wyjścia strażników i nadzorcy. Nadzorca zasłonił mu trzech urzędników, a ci znowu teraz nadzorcę. Nie było to dowodem wielkiej przytomności umysłu i K. postanowił dokładniej się pod tym względem obserwować. Mimo to raz jeszcze odwrócił się mimo woli i wychylił poza oparcie tylnego siedzenia, aby może zobaczyć jeszcze nadzorcę i strażników. Ale zaraz znowu się wyprostował, oparł się wygodnie w kącie auta, nie starając się już nikogo szukać. Wbrew wszelkim pozorom potrzebował właśnie teraz otuchy, ale panowie wydawali się znużeni. Rabensteiner patrzył z auta w prawo, Kullich w lewo, pozostawał tylko szczerzący zęby Kaminer, z którego śmiać się zabraniało niestety ludzkie miłosierdzie.

Tej wiosny zwykł był K. spędzać wieczory w ten sposób, że po pracy, jeśli to jeszcze było możliwe — siedział w biurze przeważnie do dziewiątej godziny — szedł na przechadzkę, sam lub z urzędnikami, a później wstępował do piwiarni, gdzie zasiadał przy jednym stole ze starszymi przeważnie panami, zazwyczaj do godziny jedenastej. Zdarzały się jednak wyjątki od takiego rozkładu dnia, jeśli dyrektor banku, który wysoko cenił K. jako zdolnego pracownika i człowieka godnego zaufania, zaprosił go na przejażdżkę automobilem lub do swej willi na kolację. Oprócz tego raz w tygodniu odwiedzał K. pewną dziewczynę, imieniem Elza, która przez całą noc do późnego rana była zajęta jako kelnerka w winiarni, a w dzień przyjmowała wizyty leżąc w łóżku.

Lecz tego wieczoru — dzień zbiegł szybko na natężonej pracy i na wielu życzeniach urodzinowych, serdecznych i pełnych czci — K. chciał natychmiast pójść do domu. W ciągu wszystkich krótkich przerw w pracy dziennej myślał o tym, nie zdając sobie dokładnie sprawy ze swoich myśli, miał wrażenie, że wypadki ranne spowodowały wielki nieporządek w całym mieszkaniu pani Grubach i że właśnie jego obecność jest niezbędna do przywrócenia porządku. Jeśli raz porządek zostanie przywrócony, zniknie wszelki ślad tych zdarzeń i wszystko wróci do swego starego trybu. Zwłaszcza nie należało bać się niczego ze strony owych trzech urzędników, którzy włączyli się z powrotem w wielką machinę urzędniczą banku i nie można było dostrzec, aby się zmienili. K. nieraz przywoływał ich do swego biura, pojedynczo i razem, tylko w tym celu, by ich obserwować, i za każdym razem odprawiał ich uspokojony.

Gdy o wpół do dziesiątej wieczór przyszedł do domu, gdzie mieszkał, spotkał w bramie wyrostka, który stał rozkraczywszy nogi i palił fajkę.

— Kto pan jest? — spytał natychmiast K. i zbliżył swoją twarz do twarzy chłopaka: w mroku sieni nie było widać dokładnie.

— Jestem synem stróża, proszę wielmożnego pana — odpowiedział chłopak, wyjął fajkę z ust i usunął się na bok.

— Synem stróża? — spytał K. i stuknął niecierpliwie laską o podłogę.

— Wielmożny pan sobie czegoś życzył Czy mam pójść po ojca?

— Nie, nie — odparł K., w głosie jego brzmiało coś jak przebaczenie, jak gdyby chłopak zrobił coś złego, ale on mu przebacza. — Już dobrze — rzekł i poszedł dalej, lecz nim wstąpił na schody, jeszcze raz się obejrzał.

Mógł pójść wprost do swego pokoju, ponieważ jednak chciał pomówić z panią Grubach, od razu zapukał do jej drzwi. Siedziała z pończochą na drutach przy stole, na którym leżał jeszcze cały stos starych pończoch. K. usprawiedliwił się z

roztargnieniem z powodu późnej pory, ale pani Grubach była bardzo uprzejma i nie chciała słuchać jego usprawiedliwień; jemu, mówiła, służy rozmową o każdej porze, wie przecież, że jest jej najlepszym i najsympatyczniejszym lokatorem. K. rozejrzył się po pokoju, znowu wszystko wróciło do dawnego stanu, naczynia od śniadania, które rano stały na stoliku przy oknie, były już także uprzątnięte. „Ręka kobieca potrafi w cichości wiele zdziałać”, pomyślał, on by pewnie prędzej stłukł filiżanki, aniżeli je wyniósł. Popatrzył na panią Grubach z odcieniem wdzięczności.

— Dlaczego pani jeszcze tak późno pracuje? — spytał.

Siedzieli razem przy stole, a K. zanurzał od czasu do czasu ręce w pończochy.

— Mam wiele roboty — rzekła — dzień mój należy do lokatorów, jeśli chcę doprowadzić moje rzeczy do porządku, zostają mi tylko wieczory.

— A dzisiaj pewnie przysporzyłem pani jeszcze dodatkowej pracy?

— W jaki sposób? — spytała z ożywieniem, odkładając robotę na kolana.

— Mam na myśli tych ludzi, którzy tu byli dziś rano.

— Ach tak — rzekła i znowu zapadła w swój zwykły spokój. — To mi nie przyczyniło wiele roboty.

K. przypatrywał się w milczeniu, jak wzięła z powrotem do rąk pończochę. „Wygląda, jakby była zdziwiona, że ja o tym mówię — myślał — uważa za niewłaściwe wszczynanie rozmowy o tym. Tym bardziej powinienem to zrobić, tylko ze starą kobietą mogę o tym mówić”.

— A jednak przyczyniło to na pewno pracy — powiedział potem — ale to się już nie powtórzy.

— Nie, to już nie może się powtórzyć — zapewniła i uśmiechnęła się do K. prawie boleśnie.

— Myśli pani to poważnie? — spytał K.

— Tak — rzekła ciszej — ale przede wszystkim nie powinien się pan tym zbyt przejmować. Nie takie rzeczy dzieją się na świecie! Ponieważ pan ze mną z takim zaufaniem rozmawia, drogi panie, mogę panu wyznać, że podsłuchiwałam trochę pod drzwiami i że obaj strażnicy powiedzieli mi to i owo. Przecież tu chodzi o pańskie szczęście, a ono mi rzeczywiście leży na sercu, więcej niż mi przystoi, bo przecież jestem tylko pana gospodynią. A więc słyszałam coś niecoś, ale nie mogę powiedzieć, żeby to było coś bardzo złego. Nie. Pan jest wprawdzie aresztowany, lecz nie tak, jak to bywa aresztowany złodziej. Jeśli się aresztuje złodzieja, wówczas jest źle, ale takie aresztowanie... Wydaje mi się, że jest to jakby coś uczonego — pan

wybaczy, jeśli mówię coś głupiego — otóż wydaje mi się, że jest to jakby coś uczonego, czego wprawdzie nie rozumiem, ale czego się też nie musi rozumieć.

— To wcale niegłupie, co pani powiedziała, pani Grubach, i ja jestem po części pani zdania, tylko osądzam to wszystko jeszcze ostrzej niż pani i uważam to po prostu już nie za coś uczonego nawet, lecz w ogóle za nic. Zostałem znieczeka napadnięty, oto wszystko. Gdybym zaraz po przebudzeniu się wstał nie dając się zbić z tropu nieobecnością Anny i bez względu na kogokolwiek, kto by mi zaszedł drogę, udał się do pani, gdybym po prostu zjadł tym razem wyjątkowo śniadanie w kuchni, kazał sobie przynieść ubranie z mego pokoju, słowem, gdybym postępował rozsądnie, nie by się w ogóle nie było stało i wszystko, co później zaszło, zostałoby w zarodku stłumione. Ale człowiek tak mało jest przygotowany na to, co się może zdarzyć. W banku na przykład jestem przygotowany, wykluczone, aby mogło mnie tam spotkać coś podobnego. Tam mam własnego woźnego, telefon miejski i biurowy stoją przede mną na stole, przychodzą ludzie, strony i urzędnicy, a poza tym i przede wszystkim mam tam ustawicznie kontakt z pracą, dlatego zachowuję przytomność umysłu i wprost sprawiłoby mi przyjemność znaleźć się tam w podobnej sytuacji. Teraz wszystko już minęło i właściwie nie chciałem już nawet o tym mówić, chciałem tylko usłyszeć sąd pani, sąd kobiety rozumnej, i jestem zadowolony, że się zgadzamy. Ale teraz musi mi pani podać rękę, taka zgoda musi być podkreślona uściskiem dłoni.

„Czy poda mi rękę? Nadzorca nie podał mi jej” — myślał i patrzył na kobietę inaczej niż przedtem, badawczo. Wstała, bo i on wstał, była lekko zmieszana, gdyż nie wszystko, co K. powiedział, wydało jej się zrozumiałe. Wskutek zmieszania powiedziała jednak coś, czego zupełnie nie chciała i co nie było na miejscu.

— Niech pan sobie tego nie bierze tak bardzo do serca, drogi panie — rzekła, w głosie miała łzy i naturalnie zapomniała mu podać rękę.

— Nie przypuszczałbym, że tak to sobie wezmę do serca — rzekł K. nagle znużony, widząc bezwartościowość wszystkich przytakiwań tej kobiety. W drzwiach zapytał jeszcze:

— Panna Bürstner jest w domu?

— Nie — odparła pani Grubach i uśmiechnęła się przy tej suchej informacji ze spóźnionym, ugrzecznonym żalem — jest w teatrze. Czy pan sobie od niej czegoś życzył? Może ja to mogę z nią załatwić?

— Drobnostka, chciałem zamienić z nią tylko parę słów.

— Niestety, nie wiem, kiedy przyjdzie, gdy jest w teatrze, wraca zwykle późno.

— To przecież całkiem obojętne — rzekł K. i już ze spuszczoną głową odwrócił się ku drzwiom, aby odejść. — Chciałem się tylko przed nią usprawiedliwić, że zająłem dzisiaj jej pokój.

— To zbyteczne, drogi panie, pan jest zbyt uprzejmy, panna Bürstner przecież o niczym nie wie, od wczesnego ranka nie była w domu, a i tak jest już wszystko doprowadzone do ładu, sam pan widzi — i otworzyła drzwi do pokoju panny Bürstner.

— Dziękuję, wierzę — rzekł K., poszedł jednak do otwartych drzwi.

Księżyc oświecał ciemny pokój cichym światłem. O ile można było widzieć, wszystko rzeczywiście było na swoim miejscu, nawet bluzka nie wisiła już na klamce okna. Dziwnie wysokie wydawały się poduszki na łóżku, leżały częściowo w poświacie księżyca.

— Panna Bürstner przychodzi często późno do domu — rzekł K. i popatrzył na panią Grubach, jak gdyby ona za to ponosiła odpowiedzialność.

— Jak to zazwyczaj młodzi ludzie — odrzekła usprawiedliwiająco pani Grubach.

— Pewnie, pewnie — rzekł K. — ale można przebrać miarę.

— Można — odpowiedziała pani Grubach — jak bardzo ma pan rację! Może nawet w tym wypadku. Nie chcę oczerniać panny Bürstner, jest to dobra, miła dziewczyna, uprzejma, staranna, punktualna, pracowita, wszystko to bardzo cenię, ale powinna być naprawdę dumniejsza i bardziej nieprzystępna. Już dwa razy widziałam ją w tym miesiącu na odległych ulicach i za każdym razem z jakimś innym mężczyzną. Strasznie mi nieprzyjemnie, ale, dalibóg, mówię to tylko panu, inna rzecz, że będę jednak zmuszona pomówić o tym i z samą panną Bürstner. Zresztą nie tylko to stawia mi ją w podejrzanym świetle.

— Pani jest na całkiem fałszywej drodze — rzekł K. wściekły i prawie nie umiejąc się pohamować — zresztą pani widocznie zrozumiała też źle moją uwagę o pannie Bürstner, wcale nie o tym myślałem. Nawet otwarcie ostrzegam panią przed powiedzeniem najmniejszego słówka pannie Bürstner, pani jest całkowicie w błędzie, znam pannę Bürstner bardzo dobrze i nic z tego, co pani powiedziała, nie jest prawdą. Zresztą, może posuwam się za daleko, nie wstrzymuję pani, może jej pani powiedzieć, co pani chce. Dobranoc.

— Panie K. — odezwała się błagalnie pani Grubach i pospieszyła za nim aż do jego drzwi, które już otworzył. — Wcale nie chcę jeszcze z nią mówić, chcę ją naturalnie tymczasem dalej obserwować, tylko z panem podzieliłam się moimi

spostreżeniami. Ostatecznie leży to w interesie każdego lokatora, jeśli dbam o dobrą reputację pensjonatu, nic innego nie było moim zamiarem.

— Dobra reputacja! — zawołał K. jeszcze przez szparę drzwi — jeśli pani chce utrzymać dobrą reputację pensjonatu, powinna pani mnie pierwszemu wypowiedzieć! — Po czym zatrzasnął drzwi nie zwracając już uwagi na ciche pukanie.

Ponieważ jednak nie miał ochoty do spania, postanowił czuwać i przy tej sposobności zbadać, kiedy przyjdzie panna Bürstner. Może wówczas uda się, choćby to nawet było niewłaściwe, zamienić z nią parę słów. Gdy siedział przy oknie i przymknął zmęczone oczy, myślał nawet chwilę o tym, by ukarać panią Grubach, namówić pannę Bürstner i wspólnie z nią wypowiedzieć mieszkanie. Ale natychmiast wydało mu się to straszliwą przesadą, podejrzewano by wprost, że chodzi mu o zamianę mieszkania z powodu rannych wydarzeń. Nie byłoby nic głupszego, myślał, a przede wszystkim bardziej bezcelowego i podłego.

Gdy mu się uprzykrzyło wyglądanie na pustą ulicę, położył się na kanapie, uchyliwszy poprzednio drzwi na korytarz, by móc widzieć z kanapy każdego, kto wchodzi do mieszkania. Mniej więcej do jedenastej godziny leżał cicho, paląc cygaro. Od tej chwili jednak nie mógł już wytrzymać u siebie i wszedł do przedpokoju, jak gdyby mógł tym przyspieszyć przyjście panny Bürstner. Wcale mu na niej tak bardzo nie zależało, nawet nie mógł sobie przypomnieć, jak wygląda, ale chciał z nią mówić i drażniło go, że przez późny powrót i ona nawet wnosi jeszcze na zakończenie tego dnia nieład i niepokój. Ona była również winna, że nic dziś wieczorem nie jadł i poniechał zamierzonej wizyty u Elzy. I jedno, i drugie dałoby się jeszcze naprawić przez pójście do lokalu, w którym była zajęta Elza. Chciał to uczynić później, po rozmowie z panną Bürstner.

Minęło pół do dwunastej, gdy posłyszał czyjeś kroki na klatce schodowej. K., który cały czas puszczał wodze swym myślom i w przedpokoju jak we własnym mieszkaniu chodził głośno tam i z powrotem, schronił się za drzwi swego pokoju. To wróciła panna Bürstner. Przy zamykaniu drzwi, drżąc z zimna, naciągała jedwabny szal na wąskie ramiona. K. wiedział, że za chwilę wejdzie do swojego pokoju, do którego naturalnie w nocy nie mógł wtargnąć, musiał więc teraz do niej przemówić, ale na nieszczęście zapomniał zapalić w swoim pokoju światło, przez co jego wyjście z ciemnej głębi pokoju mogło wyglądać na napad, co najmniej zaś musiało mocno przestraszyć. Bezradny i nie mogąc tracić ani chwili czasu szepnął przez uchylone drzwi:

— Proszę pani. — Brzmiało to jak prośba, nie jak wołanie.

— Czy tu ktoś jest? — spytała panna Bürstner i obejrzała się zdziwiona.

— To ja — rzekł K. i zbliżył się.

— Ach, pan K.! — rzekła panna Bürstner uśmiechając się. — Dobry wieczór — i podała mu rękę.

— Pragnąłbym z panią zamienić kilka słów, czy pozwoli pani teraz?

— Teraz? — spytała panna Bürstner — czy musi to być teraz? To chyba trochę dziwne.

— Czekam już na panią od dziewiątej godziny.

— No tak, byłam w teatrze i nic o panu nie wiedziałam.

— Przyczyna, dla której pragnę z panią pomówić, zaszła dopiero dziś rano.

— No, cóż. W takim razie nie mam zasadniczo nic przeciwko temu, chyba to tylko, że padam wprost ze zmęczenia. Więc proszę na kilka minut do mego pokoju. Tu w żadnym razie nie możemy rozmawiać, obudzimy przecież wszystkich, a to byłoby mi bardziej jeszcze nieprzyjemne ze względu na nas niż na ludzi. Proszę poczekać, aż zaświecę u siebie, a potem zgasić światło tu.

— K. wykonał to, następnie czekał jeszcze, aż go panna Bürstner cicho wezwała do swego pokoju.

— Proszę usiąść — rzekła i wskazała na otomanę, ale sama mimo zmęczenia, na które się uskarżała, stała oparta o poręcz łóżka; nie zdjęła nawet swego małego, ale przeładowanego kwiatami kapelusza. — Więc o co panu chodzi? Jestem rzeczywiście ciekawa. — Skrzyżowała lekko nogi.

— Pani może powie — zaczął K. — że sprawa nie była aż tak nagląca, by ją teraz omawiać, ale...

— Wstępy puszczam zawsze mimo uszu — rzekła panna Bürstner.

— To ułatwia moje zadanie — rzekł K. — Pani pokój był dziś rano, do pewnego stopnia z mojej winy, trochę w nieładzie, zrobili to obcy ludzie wbrew mojej woli, a jednak, jak powiedziałem, z mojej winy; chciałem prosić o wybaczenie.

— Mój pokój? — spytała panna Bürstner i zamiast na pokój popatrzyła badawczo na K.

— Tak jest — rzekł K. i spojrzeli sobie oboje po raz pierwszy w oczy. — Sposób, w jaki to się stało, niewart słów.

— Ależ właśnie to jest ciekawe — rzekła panna Bürstner.

— Nie — powiedział K.

— Wobec tego — rzekła panna Bürstner — nie chcę wdzierać się w cudze tajemnice; skoro obcuje pan przy tym, że to nic ciekawego, to i ja nie będę temu

przeczyła. A wybaczam tym chętniej, że nie widzę ani śladu nieporządku. — Położyła ręce płasko na biodrach i przeszła się po pokoju. Zatrzymała się przy macie z fotografiami. — Niech pan patrzy — zawołała — moje fotografie są rzeczywiście poprzerzucane. To bardzo nieładnie. A więc jednak był ktoś niepowołany w moim pokoju.

K. skinął głową i przeklinał w duchu Kaminera, tego urzędniczynę, który nigdy nie umiał pohamować swej głupiej, bezmyślnej ruchliwości.

— Dziwne — rzekła panna Bürstner — że jestem zmuszona zabronić panu tego, czego pan sobie sam powinien był zakazać, mianowicie wchodzenia do mego pokoju w czasie mojej nieobecności.

— Wyjaśniłem przecież pani — rzekł K. i podszedł także do fotografii — że to nie ja dopuściłem się tego przekroczenia, ale ponieważ pani mi nie wierzy, muszę wyznać, że komisja śledcza sprowadziła trzech urzędników bankowych, a z tych jeden, którego przy najbliższej sposobności usunę z banku, dotyczył prawdopodobnie fotografii. Tak, była tu komisja śledcza — dodał K., ponieważ panna Bürstner patrzyła na niego pytającym wzrokiem.

— W pańskiej sprawie? — spytała panna Bürstner.

— Tak — odpowiedział K.

— Nie! — zawołała panna Bürstner i roześmiała się.

— A jednak — rzekł K. — czy sądzi pani, że jestem niewinny?

— No, niewinny... — powiedziała — nie chcę tak z miejsca wydawać sądu, może brzemienne w skutki, zresztą nie znam pana przecież, w każdym razie trzeba by już być ciężkim zbrodniarzem, aby ściągać zaraz na kark komisję śledczą. Ponieważ jest pan jednak wolny — a przynajmniej z pańskiego spokoju wnoszę, że pan nie zbiegł z więzienia — nie mógł się pan dopuścić żadnej zbrodni.

— Tak — rzekł K. — ale komisja śledcza mogła przecież uznać, że jestem niewinny albo nie tak winny, jak przypuszczała.

— Pewnie, to być może — rzekła panna Bürstner bardzo uważnie.

— Widzi pani — powiedział K. — pani nie ma wiele doświadczenia w sprawach sądowych.

— Nie, nie mam go — rzekła panna Bürstner — już nieraz tego żałowałam, bo chciałabym wiedzieć wszystko, a właśnie sprawy sądowe niezwykle mnie interesują. Sąd ma jakąś dziwną siłę atrakcyjną, prawda? Ale na pewno uzupełnię moje wiadomości w tym kierunku, bo w przyszłym miesiącu wstępuję jako siła kancelaryjna do biura adwokata.

— To bardzo dobrze — rzekł K. — będzie mi pani mogła pomóc w moim procesie.

— Być może — rzekła panna Bürstner — owszem, lubię stosować moje wiadomości w praktyce.

— Ja też myślę o tym całkiem poważnie — rzekł K. — a przynajmniej na wpół poważnie, jak i pani. Aby wziąć adwokata, na to sprawa jest zbyt błaha, ale doradca bardzo mi się przyda.

— Tak, lecz jeśli ja mam być doradcą, muszę wiedzieć, o co chodzi — rzekła panna Bürstner.

— W tym sęk — rzekł K. — iż sam tego nie wiem.

— Więc pan sobie zażartował ze mnie — rzekła panna Bürstner zupełnie rozczarowana. — Było całkiem zbyteczne wybierać sobie na to tak późną porę. — I odeszła od fotografii, gdzie tak długo razem stali.

— Ależ, droga pani — rzekł K. — bynajmniej nie żartuję. Że też pani nie chce mi wierzyć! To, co wiem, powiedziałem już pani. Nawet więcej, niż wiem, bo to nie była komisja śledcza, to tylko ja ją tak nazwałem, gdyż nie wiem, jak ją nazwać inaczej. Nie było śledztwa, zostałem tylko aresztowany, ale przez komisję.

Panna Bürstner siedziała na otomanie i znowu się roześmiała.

— Więc jak to było? — spytała.

— Okropnie — rzekł K., ale już nie myślał o tym, zupełnie porwany widokiem panny Bürstner, która oparła głowę na jednej ręce — łokieć spoczywał na poduszce otomany — podczas gdy drugą ręką powoli przesuwiała po biodrze.

— Marny dowcip — rzekła panna Bürstner.

— Jaki dowcip? — spytał K. Zaraz jednak przypomniał sobie, o czym była mowa, i zapytał: — Mam pani pokazać, jak to było? — Chciał wykonać ruch, a przecież nie odchodzić od niej.

— Jestem już zmęczona — rzekła panna Bürstner.

— Pani przyszła tak późno — powiedział K.

— Więc na koniec spotykam się jeszcze z wyrzutami, ale też słusznie, bo nie powinnam była wpuścić tu pana. Jak się okazało, nie było to wcale konieczne.

— Było konieczne, teraz dopiero pani to zobaczy — rzekł K. — Czy mogę odsunąć stolik nocny od pani łóżka?

— Cóż panu wpadło do głowy? — spytała panna Bürstner — oczywiście, że nie!

— Wobec tego nie mogę pani pokazać — rzekł K. zirytowany tak, jak gdyby wyrządzono mu niesłychaną szkodę.

— No, jeśli panu to konieczne do odtworzenia sceny, to proszę sobie wysunąć stolik, byle cicho — rzekła panna Bürstner i dodała po chwili słabszym głosem: — Jestem tak zmęczona, że pozwalam na więcej, niż powinnam.

K. ustawił na środku pokoju stolik i zasiadł za nim.

— Pani musi sobie dokładnie uzmysłwić podział ról, to bardzo ciekawe. Ja jestem nadzorcą, tam na kufrze siedzą dwaj strażnicy, przy fotografiach stoją trzej młodzi ludzie. Na klamce okna, zaznaczam nawiasem, wisi biała bluzka. A teraz zaczynamy. Prawda, zapomniałem o mnie, najważniejszej osobie: a więc ja stoję tu przed stolikiem. Nadzorca rozparł się, siedzi nadzwyczaj wygodnie, nogę założył na nogę, ramię zwiesił, o tu, przez poręcz, bezprzykładny gbur, że drugiego takiego trudno znaleźć. A teraz już naprawdę zaczynamy. Nadzorca woła, jak gdyby musiał mnie budzić, wprost krzyczy. Niestety muszę, jeśli chcę to pani uzmysłwić, także krzyżeć, zresztą wykrzykuje tylko moje nazwisko.

Panna Bürstner, która przysłuchiwała się śmiejąc, położyła palec wskazujący na ustach, aby zapobiec krzykowi, ale już było za późno, K. był zanadto przejęty swoją rolą, krzyknął przeciągle: — „Józef K.” — zresztą nie tak głośno, jak groził, tak jednak, że jego nagle z ust wyrwane wołanie zdawało się dopiero stopniowo rozbrzmiewać w pokoju.

Wtem dało się kilka razy słyszeć pukanie do drzwi z sąsiedniego pokoju, silne, krótkie, miarowe. Panna Bürstner zbladła i położyła rękę na sercu. K. przeraził się szczególnie mocno, ponieważ jeszcze przez chwilę nie był zdolny myśleć o czym innym, jak tylko o porannych wydarzeniach i o dziewczynie, której je przedstawiał. Ledwie się opanował, podbiegł do panny Bürstner i wziął ją za rękę.

— Niech się pani nie boi — szepnął — wszystko zaraz wyjaśnię. Kto to jednak może być? Tu obok jest przecież pokój, w którym nikt nie śpi.

— Przeciwnie — szepnęła mu do ucha panna Bürstner — od wczoraj śpi tu siostrzeniec pani Grubach, kapitan. Nie ma akurat innego pokoju wolnego. Sama o tym zapomniałam. Że też pan musiał tak krzyżeć! Jestem niepoczyszona.

— Nie ma powodów po temu — rzekł K. i gdy opadła teraz na poduszkę, pocałował ją w czoło.

— Co pan robi! — zawołała i już zerwała się spiesźnie. — Odejdź pan, odejdźże, czego pan chce, przecież on podsłuchuje pod drzwiami i wszystko słyszy. Jak pan mnie męczy!

— Odejdę nie prędeż — rzekł K. — aż się pani nieco uspokoi. Przejdźmy w inny kąt pokoju, tam on nas nie usłyszy. — Dała się zaprowadzić.

— Proszę zrozumieć — rzekł — że jest to wprawdzie dla pani przykrość, ale bynajmniej nie ma niebezpieczeństwa. Pani wie, że gospodyni, która jest przecież w tej sprawie osobą decydującą, zwłaszcza że kapitan to jej siostrzeniec, bardzo mnie szanuje i we wszystko, co mówię, bezwzględnie wierzy. Zresztą jest ode mnie zależna, bo pożyczyłem jej większą kwotę. Każdą pani propozycję dla wyjaśnienia naszego sam na sam przyjmuję, jeśli tylko będzie jako tako przekonująca, i zaręczam, że zmuszę panią Grubach nie tylko do oficjalnego przyjęcia mego wyjaśnienia, ale także do rzeczywistej i szczerzej wiary w jego prawdziwość. Mnie proszę absolutnie nie oszczędzać. Jeżeli chce pani rozpuścić pogłoskę, że napadłem panią, to przedstawię to pani Grubach w ten sposób, a uwierzy w to, nie tracąc do mnie zaufania, tak bardzo jest do mnie przywiązana. — Panna Bürstner patrzyła przed siebie na podłogę, cicha i jakby załamana. — Dlaczego pani Grubach nie ma uwierzyć, że napadłem panią? — dodał. Widział przed sobą jej włosy, rozdzielone przedziałkiem, puszyste, ujęte z tyłu w mocny węzeł, rudawe włosy. Miał nadzieję, że zwróci na niego spojrzenie, ale nie zmieniając postawy powiedziała tylko:

— Przepraszam, to nagłe pukanie tak mnie przeraziło, nie następstwa, jakie może wywołać obecność kapitana. Było tak cicho po pańskim krzyku, a tu nagle zapukano, dlatego tak się przestraszyłam. Również dlatego, że siedziałam w pobliżu drzwi i zapukano prawie tuż koło mnie. Za pańskie propozycje dziękuję, ale nie mogę ich przyjąć. Potrafię za wszystko, co się dzieje w moim pokoju, wziąć pełną odpowiedzialność, i to wobec każdego. Dziwię się, że pan nie zauważył, jaka obraza dla mnie kryje się w pańskich propozycjach, obok dobrych zamiarów, które naturalnie uznaję. Lecz proszę już odejść, proszę zostawić mnie samą. Potrzebuję teraz jeszcze bardziej spokoju niż przedtem. Z tych kilku minut, o które pan prosił, zrobiło się pół godziny i więcej.

K. chwycił ją za rękę, a potem za przegub.

— Ale pani się na mnie nie gniewa? — spytał.

Odsunęła jego rękę i powiedziała:

— Nie, nie, nigdy i na nikogo się nie gniewam.

Znowu uchwycił przegub jej ręki, zniosła to teraz spokojnie i tak doprowadziła go do drzwi. Był zdecydowany odejść. Ale przed drzwiami, jak gdyby zdziwiony, bo nie spodziewał się znaleźć tu drzwi, przystanął; ten moment wyzyskała panna Bürstner, by uwolnić się, otworzyć drzwi, wsunąć się do przedpokoju i stamtąd cicho szepnąć do K.:

— No, proszę wyjść. Spójrz pan — wskazała na drzwi kapitana, pod którymi przeświecała smuga światła — on zaświeceł lampkę i bawi się naszym kosztem.

— Już idę — rzekł K., podbiegł, pochwycił ją, całował jej usta, a potem całą twarz, jak spragnione zwierzę chlepczące wodę u znalezionej wreszcie źródła. W końcu całował jej szyję w miejscu, gdzie jest krtań, i długo przywarł do niej ustami. Dopiero na szelest z pokoju kapitana podniósł głowę.

— Już pójdę — rzekł, chciał nazwać pannę Bürstner po imieniu, ale nie znał go. Skinęła zmęczona, już na pół odwrócona pozostawiła mu rękę do pocałunku, jak gdyby nie wiedząc o tym, i z pochyloną głową odeszła do swego pokoju.

Wkrótce potem leżał już K. w swoim łóżku. Rychło usnął, przed zaśnięciem myślał jeszcze chwilę o swoim zachowaniu się, był z niego zadowolony, dziwił się jednak, że nie jest jeszcze bardziej zadowolony. Z powodu kapitana martwił się poważnie, a to ze względu na pannę Bürstner.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pierwsze przesłuchanie

K. został telefonicznie powiadomiony, że najbliższej niedzieli ma odbyć się małe przesłuchanie w jego sprawie. Zwrócono mu uwagę, że odtąd podobne przesłuchania będą się odbywać regularnie i jakkolwiek może nie każdego tygodnia, to jednak dość często. Leży to z jednej strony w ogólnym interesie, by doprowadzić proces szybko do końca, z drugiej zaś strony badania powinny być pod każdym względem gruntowne, a jednak wobec nerwowego wysiłku, jakiego wymagają, nie powinny trwać zbyt długo. Dlatego znaleziono wyjście w postaci szybko po sobie następujących, ale krótkich przesłuchań. Wybrano niedzielę jako dzień badań, aby K. nie doznał przeszkody w pracy zawodowej. Z góry zakłada się jego zgodę, a jeśli życzy sobie innego terminu, władze gotowe są pójść mu wedle możliwości na rękę. Te przesłuchania są na przykład możliwe i w nocy, ale o tej porze K. nie będzie prawdopodobnie dość rzeński. W każdym razie, o ile K. nie ma nic przeciwko temu, staje na niedzielę. Oczywiście musi przyjść na pewno, chyba nie trzeba mu na to specjalnie zwracać uwagi. Podano mu numer domu, w którym miał się stawić — był to dom przy jakiejś odległej ulicy przedmieścia, na której K. nigdy jeszcze nie był.

Otrzymałszy to zlecenie, K. nic nie odpowiadając zawiesił słuchawkę, z góry zdecydowany pójść tam w niedzielę. Było to z pewnością konieczne. Proces już się zaczynał, musiał się temu przeciwstawić, to pierwsze przesłuchanie powinno być ostatnim. Stał jeszcze zamyślony przy aparacie, gdy usłyszał za sobą głos wicedyrektora, który chciał telefonować, ale K. zagrażał mu drogę do telefonu.

— Złe wiadomości? — spytał od niechcienia zastępca dyrektora, nie aby się czegoś dowiedzieć, tylko by K. odsunąć od aparatu.

— Nie, wcale nie — rzekł K., ustąpił na bok, ale nie odszedł.

Wicedyrektor wziął słuchawkę i czekając na połączenie powiedział zakrywając słuchawkę ręką:

— Jeszcze jedno pytanie. Czy chciałby pan zrobić mi w niedzielę rano przyjemność i odbyć ze mną przejażdżkę na mojej żaglówce? Będzie większe towarzystwo, na pewno i pańscy znajomi, między innymi prokurator Hasterer. Przyjdzie pan? Niechże pan przyjdzie!

K. starał się uważnie słuchać tego, co mu mówił zastępca dyrektora. Nie było to dla niego bez znaczenia, bo zaproszenie ze strony wicedyrektora, z którym nigdy nie żył w zbyt dobrej komitywie, oznaczało próbę pojednania, świadczyło, jak ważną osobistością stał się K. w banku i jaką wagę przywiązywał drugi najwyższy urzędnik banku do jego przyjaźni, a przynajmniej do jego neutralności. To zaproszenie było aktem upokorzenia się zastępcy dyrektora, choćby nawet wypowiedział je, ot tak, znad słuchawki, w oczekiwaniu połączenia telefonicznego. Ale K. zmuszony był dopuścić do powtórnego upokorzenia i powiedział:

— Bardzo dziękuję, ale w niedzielę niestety nie mam czasu, mam już pewne zobowiązanie.

— Szkoda — rzekł zastępca dyrektora i podjął rozmowę telefoniczną, którą właśnie oznajmiono. Nie była to krótka rozmowa, lecz K. w swoim roztargnieniu stał przez cały czas przy aparacie. Dopiero gdy wicedyrektor skończył, przestraszył się i rzekł, aby choć trochę usprawiedliwić swoją zbyt dużą obecność:

— Właśnie telefonowano mi, abym przyszedł gdzieś, lecz zapomniano powiedzieć mi, o której godzinie.

— Proszę więc jeszcze raz zapytać — rzekł wicedyrektor.

— To nie jest takie ważne — zauważył K., przez co jego poprzednie, i tak już samo przez się niedostateczne, usprawiedliwienie wypadło jeszcze gorzej. Odchodząc zastępca dyrektora mówił jeszcze o innych sprawach. K. zmuszał się do odpowiedzi, ale głównie myślał o tym, że najlepiej będzie pójść tam w niedzielę o dziewiątej przed południem, bo o tej godzinie wszystkie sądy rozpoczynają w dniu robocze swoją pracę.

Niedziela była pochmurna. K. wstał zmęczony, ponieważ z powodu jakiejś fety przesiedział do późna w nocy przy swoim stole w piwiarni, i o mało co byłby zasnął. Szybko, nie mając czasu zastanowić się i powiązać w jedną całość rozmaitych pomysłów, które mu przysły do głowy w ciągu tygodnia, ubrał się i bez śniadania pobiegł na wskazane mu przedmieście. Dziwnym trafem zauważył po drodze, choć mało miał czasu na rozglądanie się, trzech wplątanych w jego sprawę urzędników, Rabensteinerja, Kullicha i Kaminera. Dwaj pierwsi jechali tramwajem, który przeciął drogę K., Kaminer zaś siedział na tarasie kawiarni i właśnie gdy przechodził K., wychylał się z zaciekawieniem przez balustradę. Wszyscy z pewnością patrzyli za nim dziwiąc się, z jakim pośpiechem pędzi ich przełożony. Jakiś upór powstrzymywał K. od jazdy czymkolwiek, uczuwał wstręt do wszelkiej, nawet najmniejszej obcej pomocy w tej swojej sprawie, nie chciał też nikogo do tego wciągać i wtajemniczać w ten

sposób kogokolwiek, a w końcu nie miał najmniejszej ochoty poniżyć się przed komisją śledczą przez swoją zbyt wielką punktualność. W istocie jednak biegł teraz, aby o ile możliwości zdążyć na dziewiątą, mimo że go na żadną oznaczoną godzinę nie zamówiono.

Zdawało mu się, że już z daleka pozna dom po jakimś znaku, którego sobie dokładnie nie wyobrażał, czy po jakimś szczególnym ruchu u wejścia. Ale ulica Juliusza, przy której dom miał się znajdować i na początku której K. zatrzymał się przez chwilę, miała po obu stronach prawie całkiem jednakowe domy, wysokie, szare, przez ubogą ludność zamieszkane domy czynszowe. Teraz, w niedzielny ranek, okna były przeważnie zajęte, siedzieli w nich mężczyźni w koszulach i palili papierosy albo trzymali na skraju okna ostrożnie i czule małe dzieci. W innych oknach piętrzyła się wysoko pościel, ponad którą przelotnie mignęła rozczochrana głowa jakiejś kobiety. Poprzez ulicę krzyżowały się porozumiewawczo okrzyki, jakieś słowo rzucone wywołało głośny śmiech tuż nad głową K. Przy tej długiej ulicy znajdowały się regularnie rozmieszczone, małe, poniżej poziomu chodnika leżące sklepy spożywcze, do których schodziło się po kilku schodkach. Tam wchodziły i wychodziły kobiety albo stały na stopniach i gawędziły. Handlarz owoców, który polecał widzom w oknach swój towar, tak samo roztargniony jak K., o mało co nie przewrócił go, przejeżdżając ze swoim wózkiem. Waśnie też zaczął wygrywać wściekłą melodię jakiś gramofon, dawno już wysłużony w lepszych dzielnicach miasta.

K. zagłębiał się w ulicę powoli, jak gdyby miał już teraz czas albo jak gdyby z jakiegoś okna widział go sędzia śledczy i mógł stwierdzić, że K. już oto się stawił. Było niewiele po dziewiątej. Dom mieścił się dość daleko od ulicy, był wprost niezwykle rozległy, ze szczególnie wysoką i przestronną bramą wjazdową. Widocznie przeznaczona była na wozy ciężarowe należące do licznych składów, które, teraz zamknięte, otaczały wielki dziedziniec i nosiły napisy firm, znanych K. z transakcji bankowych. Wbrew przyzwyczajeniu K. zajął się dokładniej wszystkimi tymi zewnętrznymi szczegółami, zatrzymał się także chwilę u wejścia na podwórze. Niedaleko siedział na skrzyni jakiś bosy mężczyzna i czytał gazetę. Na wózku ręcznym huścili się dwaj chłopcy. Przed pompą studni stała wążka, młoda dziewczyna w nocnym kaftaniku i podczas gdy woda spływała do wiadra, spoglądała na K. W jednym kącie podwórza między dwoma oknami rozpięto sznur, na którym wisiała już bielizna przeznaczona do suszenia. Jakiś mężczyzna stał na dole i rozkazami z dołu kierował robotą.

K. zwrócił się ku schodom, by dojść do pokoju rozpraw, ale znowu przystanął, gdyż oprócz tych schodów zauważył w podwórzu jeszcze trzy różne klatki schodowe, a ponadto na końcu podwórza małe przejście, które zdawało się prowadzić na jeszcze inne podwórze. Gniewało go, że nie podano mu bliżej położenia pokoju; traktowano go doprawdy z osobliwym niedbalstwem czy obojętnością, postanowił to w stosownej chwili głośno i wyraźnie stwierdzić. Ostatecznie wszedł jednak na schody i nasunęło mu się odległe wspomnienie sentencji Willema, że wina sama przyciąga sąd, z czego by właściwie wynikało, że lokal sądowy powinien znajdować się przy schodach, które K. przypadkowo wybrał.

Po drodze przeszkodził wielu bawiącym się na schodach dzieciom, złym wzrokiem patrzyły na niego, gdy wśród nich przechodził. „Gdybym miał tu przyjść następnym razem — pomyślał — musiałbym wziąć albo łakocie, by je sobie pozyskać, albo kij, by je zbić”. Tuż przed pierwszym piętrzem musiał nawet chwilę poczekać, aż przeleci jakaś piłka, a dwóch małych chłopaków o wiele wiedzających oczach dorosłych włóczęgów trzymało go tymczasem za spodnie; gdyby chciał się od nich otrząsnąć, musiałby im sprawić ból, a bał się ich krzyku.

Właściwe szukanie zaczęło się na pierwszym piętrze. Ponieważ nie mógł się pytać o komisję śledczą, wymyślił jakiegoś stolarza Lanza — to nazwisko nasunęło mu się, gdyż nazywał się tak kapitan, siostrzeniec pani Grubach — i chciał teraz we wszystkich mieszkaniach pytać się, czy tu mieszka stolarz Lanz, aby w ten sposób uzyskać możliwość zaglądania do wnętrza. Okazało się jednak, że to przeważnie i tak było możliwe, bo prawie wszystkie drzwi stały otworem, a dzieci wbiegały i wybiegały tam i z powrotem. Były to zazwyczaj małe, jednookienne pokoje, w których zarazem gotowano. Niektóre kobiety trzymały na ręku niemowlęta, a wolną ręką robiły coś przy kuchni. Niedorosłe, zdaje się w fartuszki tylko odziane dziewczynki biegały gorliwie tu i tam. We wszystkich pokojach stały łóżka jeszcze rozesłane; leżeli tam chorzy albo jeszcze śpiący, lub wreszcie ludzie, którzy położyli się w ubraniu. Do mieszkań, których drzwi były zamknięte, pukał K. i pytał, czy tu nie mieszka stolarz Lanz. Przeważnie otwierała jakaś kobieta, wysłuchiwała pytania i zwracała się w głąb pokoju do kogoś, kto podnosił się z łóżka.

— Pan pyta, czy tu mieszka stolarz Lanz.

— Stolarz Lanz? — pyta ten z łóżka.

— Tak jest — odpowiadał K., mimo że tu na pewno nie znajdowała się sala posiedzeń i jego zadanie było właściwie skończone. Wielu myślało, że K. na tym bardzo zależy, by znaleźć stolarza Lanza, długo się zastanawiali, wymieniali stolarza,

który jednak nie nazywał się Lanz, albo nazwisko mające z Lanzem jakieś dalekie podobieństwo, albo pytali sąsiadów, lub wreszcie odprowadzali K. do jakichś bardzo odległych drzwi, gdzie według ich mniemania taki człowiek, być może jako sublokator, mieszkał i gdzie miał być ktoś, kto udzieli lepszych od nich informacji. W końcu K. nie potrzebował już sam pytać, tylko włączono go od jednego do drugiego mieszkania po wszystkich piętrach. Pożałował teraz swego pomysłu, który mu się z początku wydawał taki praktyczny. Przed piątym piętrem postanowił zaprzestać poszukiwań, pożegnał się z uprzejmym młodym robotnikiem, który chciał go dalej prowadzić, i zszedł na dół. Już jednak po chwili zirytowała go bezużyteczność tego całego przedsięwzięcia, jeszcze raz wrócił i zapukał do pierwszych z brzegu drzwi piątego piętra. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył w małym pokoju, był wielki zegar ścienny, który wskazywał już dziesiątą godzinę.

— Czy tu mieszka stolarz Lanz? — spytał.

— Proszę — odpowiedziała młoda kobieta z błyszczącymi, czarnymi oczami, która prała właśnie w balii dziecięcą bieliznę i mokrą ręką wskazała otwarte drzwi sąsiedniego pokoju.

K. miał wrażenie, że wszedł na jakieś zebranie. Stłoczona gromada najrozmaitszych ludzi — nikt nie troszczył się o wchodzącego — wypełniała średniej wielkości pokój o dwu oknach, otoczony tuż pod sufitem galerią, która również była szczelnie obsadzona i gdzie ludzie mogli stać tylko pochyleni, a głowami i plecami uderzali o sufit. K., któremu w tym powietrzu było za duszno, cofnął się do przedpokoju i powiedział do młodej kobiety, która go widocznie źle zrozumiała:

— Pytałem się o stolarza, niejakiego Lanza.

— Tak — odrzekła kobieta — proszę tylko wejść. K. nie byłby może poszedł za nią, gdyby sama nie zbliżyła się do niego, nie chwyciła za klamkę u drzwi i nie powiedziała:

— Po panu muszę zamknąć, nikt już nie może wejść.

— Bardzo słusznie — zauważył K. — jest już i tak za pełno. — Potem jednak wszedł do środka.

Gdy przechodził pomiędzy dwoma ludźmi, którzy rozmawiali tuż przy drzwiach — jeden, daleko wyciągnąwszy przed siebie ręce, wykonywał gest liczenia pieniędzy, drugi ostro patrzył mu w oczy — jakaś ręka chwyciła go. Był to mały rumiany chłopak.

— Chodź pan, chodź pan — rzekł. K. dał mu się prowadzić, okazało się, że w tej beładnie tłoczącej się ciżbie było jednak wolne wąskie przejście, które dzieliło, być

może, dwie strony. Przemawiało za tym i to, że K. w pierwszych rzędach na prawo i na lewo nie widział ani jednej zwróconej do siebie twarzy, tylko plecy ludzi, którzy mową i gestami zwracali się wyłącznie do swojej grupy. Po największej części byli ubrani czarno, w stare, długie i obwisłe odświętne surduty. Jedynie ten strój zbijał z tropu K., bo wyglądało to wszystko na polityczne zebranie dzielnicy.

Na drugim końcu sali, dokąd został zaprowadzony, na bardzo niskim, również przepelnionym podium stał ustawiony na poprzek mały stół, a za nim blisko krawędzi podium siedział mały, gruby, sapiący mężczyzna, który rozmawiał wśród wybuchów śmiechu z kimś stojącym za sobą — oparł on łokcie na poręczy krzesła i skrzyżował nogi. Od czasu do czasu siedzący wyrzucał w powietrze rękę, jak gdyby kogoś małpował. Chłopak, który prowadził K., próbował, nie bez trudu, zgłosić jego przybycie. Dwa razy usiłował wspiąwszy się na palce coś powiedzieć, ale człowiek z podium nie zwracał na niego uwagi. Dopiero gdy ktoś z podium zauważył go i wskazał siedzącemu przy stole, zwrócił się ów człowiek do niego i nachylony słuchał jego cichego raportu. Następnie wyciągnął zegarek i popatrzył szybko na K.

— Pan powinien być przyjsć przed godziną i pięciu minutami.

K. chciał coś odpowiedzieć, lecz nie znalazł na to czasu, ledwie to bowiem tamten powiedział, gdy w prawej połowie sali podniosło się ogólne szemranie.

— Pan powinien być przyjsć przed godziną i pięciu minutami — powtórzył ów człowiek podniesionym głosem i prędko powiódł okiem po sali. Natychmiast też szemranie wzrosło, uciszając się dopiero stopniowo, zwłaszcza że ów człowiek nic więcej nie powiedział. Było teraz na sali o wiele ciszej niż w chwili, gdy wchodził K. Tylko ludzie na galerii nie przestawali robić uwag. Wydawali się, o ile można było coś rozróżnić tam na górze w półmroku, kurzu i zaduchu, gorzej ubrani od tych z parteru. Niektórzy przynieśli ze sobą jaśki, które włożyli między głowę a sufit, aby uniknąć bolesnego ucisku.

K. postanowił więcej obserwować niż mówić, wobec czego zrezygnował z obrony przed zarzutem rzekomego spóźnienia i rzekł tylko:

— Może i przyszedłem za późno, ale teraz oto jestem.

Nastąpiły oklaski, znowu z prawej strony sali. „Tych można sobie łatwo pozyskać” — pomyślał, i raziała go tylko cisza w lewej połowie, którą miał akurat z tyłu za sobą i z której dochodziło tylko pojedyncze klaskanie w dłoń. Zastanawiał się, co by powiedzieć, aby zdobyć od razu wszystkich, a jeśli to niemożliwe, chwilowo przynajmniej tamtych.

— Tak — rzekł ów człowiek — ale ja nie jestem już zobowiązany pana teraz przesłuchać. — Rozległo się znowu szemranie, tym razem jednak wskutek nieporozumienia, bo uciszając ludzi ręką ciągnął dalej: — Chcę to jednak wyjątkowo dziś jeszcze uczynić. Podobne spóźnienie nie może się już nigdy powtórzyć! A teraz proszę wystąpić!

Ktoś zeskoczył z podium, tak że dla K. zrobiło się wolne miejsce, które zajął. Stał ciasno przyparty do stołu; ciżba za nim była tak wielka, że musiał jej stawić opór, jeśli nie chciał strącić z podium stołu sędziego śledczego, a może nawet i jego samego.

Lecz sędzia śledczy nie zważał na to, tylko siedział wygodnie na swoim krześle i skończywszy w paru słowach rozmowę ze stojącym za nim człowiekiem, sięgnął po mały notatnik, jedyny przedmiot leżący na jego stole. Był formatu zeszytowego, stary, przez częste kartkowanie zupełnie zniszczony.

— A więc — rzekł sędzia śledczy, przekartkował zeszyt i zwrócił się do K. tonem stwierdzenia — pan jest malarzem pokojowym?

— Nie — rzekł K. — tylko pierwszym prokurentem wielkiego banku.

Tej odpowiedzi towarzyszył tak serdeczny śmiech z prawej strony, że K. sam musiał się roześmiać. Ludzie podparli się rękami na kolanach i trzęśli się jak w ciężkim napadzie kaszlu. Śmiali się nawet poszczególni widzowie na galerii. Rozgniewany do żywego sędzia śledczy, który był widocznie bezsilny wobec ludzi z parteru, szukał odwetu na galerii, zerwał się, groził w jej kierunku i jego brwi, dotąd mało widoczne, nastroszyły się krzaczasto.

Lewa połowa sali zachowywała się jeszcze wciąż cicho; ludzie stali tam rzędami, podnosili głowy ku podium i słuchali równie spokojnie wymiany słów, jak wrzasku drugiej strony, dopuszczali nawet, by niektórzy z ich szeregów solidaryzowali się tu i ówdzie z tamtą stroną. Ludzie lewej partii sądowej, która zresztą była mniej liczna, byli może w gruncie równie mało ważni jak tamci, ale ich spokojne zachowanie się nadawało im pozory większego autorytetu. Gdy K. zaczął teraz mówić, przekonany był, że mówi po ich myśli.

— Pańskie pytanie, panie sędzio śledczy, czy jestem malarzem pokojowym — zresztą pan mnie nawet o to nie pytał, tylko wprost mi to narzucił — jest charakterystyczne dla całego sposobu postępowania, które zostało przeciwko mnie wdrożone. Pan może na to powiedzieć, że to w ogóle nie jest dochodzenie, pan ma rację, bo to będzie postępowaniem sądowym tylko wtedy, jeśli uznam je jako takie. Ale ja je uznaję, przynajmniej w tej chwili, do pewnego stopnia z litości. Trudno się do tego odnosić inaczej niż z pobłażaniem, jeśli w ogóle chce się je brać pod uwagę. Nie

mówię, że to jest lajdackie postępowanie, ale chciałbym poddać to określenie własnej pańskiej ocenie.

K. przerwał i spojrział na salę. To, co powiedział, powiedział ostro, ostrzej, niż zamierzał, a jednak słusznie. Zasłużył chyba na poklask, ale wszędzie była cisza, czekano widocznie w napięciu na ciąg dalszy, może w ciszy przygotowywał się wybuch, który wszystkiemu położy kres. Lecz cisza została zakłócona, gdy na końcu sali otworzyły się drzwi i weszła młoda praczka, która widocznie ukończyła już swoją robotę i mimo wszelkiej ostrożności, z jaką się poruszała, ściągnęła na siebie natychmiast kilka spojrzeń. Jedyne zachowanie się sędziego śledczego sprawiło K. radość, gdyż wydawał się on jak rażony jego słowami. Przysłuchiwał się dotąd stojąco, bo K. zaskoczył go swoją mową w chwili, gdy zerwał się oburzony na galerię. Teraz w przerwie siadał powoli, może aby nikt tego nie zauważył. Prawdopodobnie chcąc opanować wyraz twarzy, znowu położył przed sobą zeszyt.

— Nic to nie pomoże — ciągnął K. — także pański zeszytek, panie sędzio śledczy, potwierdza, co mówię.

Zadowolony, że na obcym zebraniu słyszy tylko swoje spokojne słowa, odważył się nawet, długo się nie namyślając, zabrać sędziemu śledczemu zeszyt i podnieść go za środkową kartkę końcami palców, jak gdyby się go brzydził, tak że z obu stron wisały drobno zapisane, poplamione, pożółkłe na brzegach kartki.

— Oto są akta sędziego śledczego — rzekł i rzucił zeszyt na stół. — Proszę w nich spokojnie czytać dalej, panie sędzio śledczy, tej książki win zaiste się nie boję, mimo że jest mi niedostępna, ponieważ mogę ją uchwycić tylko dwoma końcami palców i nie wezmę jej całą ręką.

Mogła to być tylko oznaka głębokiego upokorzenia — tak to przynajmniej wyglądało — że sędzia śledczy pochwycił zeszytek, tak jak upadł na stół, starał się go trochę doprowadzić do porządku i znowu rozłożył przed sobą, aby w nim czytać.

Twarze ludzi z pierwszego rzędu skierowały się z takim napięciem na K., że przez chwilę musiał im się z podium przypatrywać. Byli to bez wyjątku starsi mężczyźni, niektórzy o siwych brodach. Czyżby to oni mieli głos rozstrzygający i mogli wywierać wpływ na całe zebranie, które nawet pokorą sędziego śledczego nie dało się wytrącić z bezruchu, w jaki od chwili mowy K. zapadło?

— Co mnie spotkało — ciągnął dalej K. nieco ciszej niż przedtem i ustawicznie wodząc wzrokiem po twarzach pierwszego rzędu; odbierało to jego mowie cechę skupienia — co mnie spotkało, jest przecież tylko odosobnionym wypadkiem, niezbyt zatem ważnym, tym bardziej że sam nie traktuję go zbyt poważnie, ale jest czymś

symptomatycznym dla postępowania, jakie stosuje się wobec wielu. Za tymi tu przemawiam, nie za sobą.

Mimo woli podniósł głos. Gdzieś ktoś podniesionymi rękami klaskał i krzyczał:
— Brawo! Dlaczego by nie? Brawo! I jeszcze raz brawo!

Panowie w pierwszych rzędach chwyтали się tu i ówdzie za brody, nikt nie odwrócił się na ten okrzyk. Także K. nie przypisywał mu żadnego znaczenia, jednak był nim trochę zachecony: zupełnie nie uważał już teraz za konieczne, by wszyscy go oklaskiwali, wystarczało, jeśli ogół zaczął zastanawiać się nad sprawą, i tylko od czasu do czasu pozyskiwał kogoś swą wymową.

— Nie szukam oratorskiego sukcesu — mówił K. idąc za tokiem swych myśli — nie wmawiam sobie, jakobym go mógł zdobyć. Pan sędzia śledczy najprawdopodobniej mówi o wiele lepiej, to należy przecież do jego zawodu. Ja pragnę jedynie omówienia pewnego publicznego zła. Proszę posłuchać: Przed niespełna dziesięcioma dniami zostałem aresztowany; sam śmieję się z faktu aresztowania, ale to teraz do rzeczy nie należy. Naszli mnie rano w łóżku — sądząc z tego, co powiedział pan sędzia śledczy, nie jest wykluczone, że miano rozkaz aresztować jakiegoś malarza pokojowego, który równie jak i ja jest niewinny, dość, że wybrano mnie. Dwóch ordynarnych strażników zajęło sąsiedni pokój. Nawet gdybym był niebezpiecznym bandytą, nie można było wykazać większej ostrożności. Ci strażnicy, była to zresztą zdemoralizowana hołota, uszy bolały od ich głupiej gadaniny, chcieli się dać przekupić, próbowali pod różnymi pozorami wyłudzić ode mnie ubrania i bieliznę, żądali pieniędzy, aby mi rzekomo przynieść śniadanie, gdy poprzednio w moich oczach najbezwstydniej zjedli moje własne. Nie dość na tym. Zaprowadzono mnie do trzeciego pokoju, przed nadzorcę. Był to pokój damy, którą bardzo cenię, i musiałem być świadkiem, jak ten pokój z mego powodu, ale nie z mojej winy, został niejako splugawiony obecnością strażników i nadzorcy. Niełatwo było zachować zimną krew, ale udało mi się to mimo wszystko i zapytałem nadzorcę z całkowitym spokojem — gdyby tu był, musiałby to potwierdzić — dlaczego jestem aresztowany. Ale cóż mi odpowiedział ten nadzorca, którego jeszcze teraz przed sobą widzę, jak siedzi na krześle wspomnianej pani, niby uosobienie tępej buty? Panowie, w samej rzeczy nic mi nie odpowiedział, może naprawdę nic nie wiedział, zaaresztował mnie i był zadowolony. Zrobił nawet jeszcze coś innego i do pokoju owej pani sprowadził trzech niższych urzędników mego banku, którzy bawili się oglądaniem i przewieszaniem fotografii należących do owej pani. Obecność tych urzędników miała naturalnie inny jeszcze cel, mieli oni, podobnie jak moja gospodyni

i jej służąca, rozpuścić wieść o moim aresztowaniu, zaszkodzić mojej reputacji i przede wszystkim podważyć moje stanowisko w banku. Ale nic z tego nie wyszło, nawet moja gospodyni, zupełnie prosta osoba — wymieniam tu z szacunkiem jej nazwisko, nazywa się pani Grubach — otóż pani Grubach była na tyle rozsądna, że zrozumiała, iż podobne aresztowanie nie więcej znaczy niż napaść, jakiej dokonać może na ulicy banda pozbawionych nadzoru wyrostków. Całość, powtarzam, sprawiła mi tylko trochę nieprzyjemności i przelotną irytację, ale czyż nie mogła być pociągnąć za sobą gorszych następstw?

Gdy K. przerwał sobie w tym miejscu i spojrzął na cicho siedzącego sędziego śledczego, zdawało mu się, że widzi, jak ten właśnie jednym spojrzeniem dał znak komuś w tłumie. K. uśmiechnął się i rzekł:

— Właśnie tu obok mnie pan sędzia śledczy daje komuś z was tajemny znak. Więc są między wami ludzie, którymi się stąd dyryguje. Nie wiem, czy ten znak spowoduje teraz gwizd, czy poklask, i zdradzając tę rzecz przedwcześnie, rezygnuję tym samym świadomie z możliwości zrozumienia, co ten znak oznaczał. Jest mi to zupełnie obojętne i upoważniam publicznie pana sędziego śledczego, by zamiast tajemnymi znakami, rozkazywał tym swoim płatnym pomocnikom głośno słowami, wydając na przykład rozkaz: „Teraz gwizdźcie”, lub innym razem: „Teraz bijcie brawo”.

Zmieszany czy zniecierpliwiony, kręcił się sędzia śledczy niespokojnie na swoim krześle. Mężczyzna, który stał za nim i z którym już przedtem rozmawiał, znowu się nad nim pochylił, czy to, by mu w ogóle dodać odwagi, czy to, by mu udzielić jakiejś szczególnej rady. Na sali ludzie rozmawiali cicho, lecz z ożywieniem. Obie strony, które przedtem, zdawało się, były tak przeciwnych zapatrywań, zmieszały się, jedni wskazywali palcem na K., inni na sędziego śledczego. Dym i zaduch panujące w pokoju stawały się uciążliwe i nie do zniesienia, dym nie pozwalał nawet widzieć dość wyraźnie dalej stojących. Zwłaszcza przeszkadzać musiał widzom na galerii; by się lepiej poinformować, byli oni zmuszeni, rzucając z ukosa trwożne spojrzenia na sędziego, stawiać ciche pytania uczestnikom obrad. — Równie cicho, zasłaniając usta ręką, udzielano im odpowiedzi.

— Zbliżam się do końca — rzekł K. i ponieważ nie było dzwonka, uderzył pięścią w stół. Głowy sędziego śledczego i jego doradcy wzdrygnęły się i w jednej chwili odskoczyły od siebie. — Ta cała sprawa jest mi obca, dlatego osądzam ją spokojnie i panowie mogą wiele skorzystać słuchając mnie, jeśli, zaznaczam, panom

coś na tym rzekomym sądzie zależy. Komentarze proszę sobie zostawić na później, gdyż nie mam czasu i zaraz odejdę.

Natychmiast ucichło, tak bardzo opanował K. zgromadzenie. Nie krzyczano już beładnie, jak na początku, nie klaskano nawet, lecz wszyscy zdawali się już być przekonani lub przynajmniej na najlepszej drodze do tego.

— Nie ma wątpliwości — rzekł K. bardzo cicho, bo cieszyła go ta naprężona uwaga całego zgromadzenia; w tej ciszy powstał ów stłumiony szmer bardziej podniecający od oklasków największego zachwytu — nie ma wątpliwości, że za wszystkimi funkcjami tego sądu, a więc w moim wypadku za aresztowaniem i dzisiejszym przesłuchaniem, stoi jakaś wielka organizacja. Organizacja, która zatrudnia nie tylko przekupionych strażników, ograniczonych nadzorców i sędziów śledczych, mających w najlepszym razie skromne wymagania, lecz także utrzymuje biurokrację wysokiego i najwyższego stopnia, z nieodzownym a niezliczonym orszakiem sług, pisarzy, żandarmów i innych pomocników, może nawet katów, tak jest, nie cofam tego słowa. A cel tej wielkiej organizacji, panowie? Polega na tym, że aresztuje się niewinne osoby i wdraża się przeciw nim bezsensowne i, jak w moim wypadku, bezskuteczne dochodzenia. Jak więc mogłaby wobec bezmyślności tego wszystkiego nie istnieć najgorsza korupcja urzędników? To jest niemożliwe, tej korupcji nie oparłby się nawet najwyższy sędzia. Dlatego starają się strażnicy zedrzeć ubranie z ciała aresztowanego, dlatego wdzierają się nadzorcy do cudzych mieszkań, dlatego zamiast przesłuchiwać niewinnych, znieważa się ich przed całym zebraniem. Strażnicy opowiadali mi o magazynach, w których przechowuje się własność aresztowanych, i chciałbym raz widzieć te pomieszczenia, w których gnije z trudem zapracowany ich majątek, jeśli go nie rozkradają złodziejscy urzędnicy tych magazynów.

Jakiś wrzask z końca sali przerwał mowę. K. osłonił oczy dłonią, by widzieć dokładniej, gdyż w mętym świetle dziennym dym zbielał i raził oczy. Chodziło o praczkę, w której od pierwszej chwili jej ukazania się K. widział istotną przyczynę zamieszania. Czy była teraz winna, czy nie, nie można było rozpoznać. K. zauważył tylko, jak jakiś mężczyzna ciągnął ją w kąt koło drzwi i tam ją przyciskał do siebie. Ale nie ona krzyczała, tylko mężczyzna miał usta szeroko rozwarte i patrzył na sufit. Wkoło obojga utworzyło się małe koło, widzowie z galerii w pobliżu zajścia zdawali się być zachwyceni, że w ten sposób przerwano poważny nastrój, który K. wprowadził w zebranie. Pod wpływem pierwszego wrażenia K. chciał natychmiast tam pójść, myślał również, że wszystkim na tym zależy, by zrobić porządek i wyprosić tę parę z

sali, lecz pierwsze rzędy przed nim stały zwarte, nikt się nie ruszył i nikt go nie przepuścił. Przeciwnie, przeszkadzano mu, starsi panowie zastawili mu drogę ramieniem, a jakaś ręka — nie miał czasu się obejrzeć — chwyciła go z tyłu za kołnierz. K. nie myślał już o owej parze, miał wrażenie, jak gdyby jego wolność była zagrożona, jak gdyby traktowano poważnie jego aresztowanie, i zeskoczył, nie zważając na nic, z podium. Teraz stanął oko w oko z tłumem. Czy nie ocenił trafnie tych ludzi? Czy nie za wiele przypisywał działaniu swej mowy? Czyżby maskowali się w czasie jego przemówienia, a teraz, gdy doszedł do końcowych wniosków, mieli dość udawania? Co za twarze wokół! Małe, czarne oczka latały tu i tam, policzki zwisały jak u pijaków, długie brody były sztywne i rzadkie, ale gdy się w nie zanurzało ręce, garście pozostawały puste. Pod brodami jednak — oto właściwe odkrycie, które zrobił K. — błyszczały na kołnierzach odznaki różnej wielkości i barwy. Gdzie tylko okiem sięgnąć, wszyscy mieli te same odznaki. Te pozorne partie sądowe z prawej i lewej strony tworzyły jedno ciało, a gdy się raptownie odwrócił, zobaczył takie same odznaki na kołnierzu sędziego śledczego, który z rękami w kieszeni spokojnie patrzył na salę.

— Więc to tak! — zawołał K. i wyrzucił ramiona w górę, jak gdyby nagle poznanie prawdy wymagało przestrzeni. — Przecież wy wszyscy jesteście, jak widzę, urzędnikami, jesteście tą przekupną bandą, przeciwko której wystąpiłem, stłoczyliście się tutaj jako gapie i szpicle, utworzyliście pozorne partie, z których jedna oklaskiwała mnie, aby mnie wy badać, chcieliście nauczyć się sztuki zwodzenia niewinnych! Nie straciliście tu zaprawdę czasu bezużytecznie: albo ubawiliście się tym, że ktoś oczekiwał od was obrony niewinności, albo — ale puść mnie, lub biję! — krzyknął do trzęsącego się starca, który napierał na niego szczególnie blisko — albo rzeczywiście nauczyliście się czegoś. A teraz życzę wam szczęścia w waszym rzemiośle.

Włożył prędko kapelusz, który leżał na brzegu stołu, i pchał się do wyjścia wśród ogólnej ciszy, ciszy bezgranicznego zdumienia. Sędzia śledczy okazał się jednak jeszcze szybszy niż K., gdyż oczekiwał go przy drzwiach.

— Przepraszam — rzekł. K., zatrzymał się, ale nie patrzył na sędziego, tylko na drzwi, których klamkę już chwycił.

— Chciałem tylko zwrócić panu uwagę — rzekł sędzia śledczy — na okoliczność, z której pan jeszcze nie zdołał sobie zdać sprawy, mianowicie, że pozbawił się pan dzisiaj korzyści, jaką stanowi zawsze przesłuchanie dla aresztowanego.

K. roześmiał się już w drzwiach.

— Wy, łajdacy, daruję wam wszystkie wasze przesłuchania! — zawołał, otworzył drzwi i zbiegł pośpiesznie ze schodów.

Za nim podniósł się gwar na nowo ożywionego zgromadzenia, które zaczęło roztrząsać minione wypadki na podobieństwo dyskutujących na seminarium studentów.

ROZDZIAŁ TRZECI

W pustej sali posiedzeń — Student — Kancelarie

W ciągu ostatniego tygodnia czekał K. z dnia na dzień na ponowne wezwanie. Nie mógł wierzyć, by wzięto dosłownie jego zrzeczenie się dalszych przesłuchań, i gdy oczekiwane zawiadomienie nie nadeszło do soboty wieczorem, wywnioskował, że drogą milczącej umowy pozwany jest do tego samego domu, na tę samą porę. Udał się tam więc znowu w niedzielę, szedł tym razem prosto schodami i korytarzami, niektórzy ludzie, co go sobie przypominali, pozdrawiali go w swoich drzwiach, ale nie potrzebował już pytać się nikogo i wkrótce dotarł do właściwych drzwi. Na jego pukanie natychmiast otworzono i K. nie oglądając się na znajomą kobietę, która została przy drzwiach, chciał zaraz wejść do przyległego pokoju.

— Dziś nie ma posiedzenia — rzekła kobieta.

— Jak to, dlaczego nie miałyby być posiedzenia? — spytał i nie chciał temu wierzyć. Ale kobieta przekonała go, otworzywszy drzwi do sąsiedniego pokoju. Był on rzeczywiście pusty i wyglądał teraz jeszcze nędzniej niż zeszłej niedzieli. Na stole, który nadal stał na podium, leżało kilka książek.

— Czy mogę przejrzeć książki? — spytał K., nie ze szczególnej ciekawości, tylko aby wyciągnąć jednak jakiś zysk ze swego przyjscia.

— Nie — rzekła kobieta i zamknęła znowu drzwi — nie wolno. Książki należą do sędziego śledczego.

— Ach, tak — rzekł K. i kiwnął głową — to są na pewno księgi ustaw i należy już do stylu tego sądownictwa zasądzać nie tylko niewinnych, ale i nieświadomych niczego.

— Widocznie tak jest — rzekła kobieta, która niedokładnie go zrozumiała.

— Wobec tego odchodzę — rzekł K.

— Czy mam sędziemu śledczemu coś oznajmić? — spytała kobieta.

— Pani go zna? — zapytał.

— Naturalnie — rzekła kobieta. — Mój mąż jest woźnym sądowym.

Dopiero teraz zauważył K., że pokój, w którym ostatnio stała tylko balia, zamienił się teraz na całkowicie umeblowany pokój mieszkalny. Kobieta spostrzegła jego zdziwienie i rzekła:

— Tak, mamy tu wolne mieszkanie, musimy jednak w dniu posiedzeń wyprzątnąć pokój. Posada mego męża ma swoje złe strony.

— Nie tyle dziwię się z powodu pokoju — rzekł K. i spojrział na nią gniewnie — ile temu, że pani jest zamężna.

— Ma to być przytyk do zajścia na ostatnim posiedzeniu, kiedy przeszkodziłam panu w mowie? — spytała kobieta.

— Naturalnie — rzekł K. — dziś to już minęło i prawie zapomniałem o tym, ale wtedy byłem wprost wściekły. A teraz pani sama mówi, że jest kobietą zamężną.

— Nie poniósł pan żadnej szkody, że przerwano panu mowę. Osądzono ją potem bardzo nieprzychylnie.

— Możliwe — rzekł K. wymijająco — ale dla pani nie jest to usprawiedliwieniem.

— Usprawiedliwią mnie wszyscy, którzy mnie znają — rzekła kobieta.

— Ten, który mnie wtedy objął, prześladowuje mnie już od dawna. Choć na ogół nie wszystkim wydają się ładna, dla niego jestem ponętna. Nie ma na to rady, także mój mąż już się z tym pogodził; jeśli chce zachować swoją posadę, musi to znosić, bo ów człowiek jest studentem i dojdzie przypuszczalnie do wielkiej władzy. Ustawicznie za mną chodzi, właśnie odszedł przed pańskim przybyciem.

— To doskonale zgadza się ze wszystkim innym — rzekł K. — zatem wcale mnie nie dziwi.

— Pan chce podobno tu pewne rzeczy zreformować? — pytała kobieta powoli i badawczo, jak gdyby mówiła coś niebezpiecznego zarówno dla niej, jak i dla K. — Wywnioskowałam to już z pana mowy, która mnie osobiście bardzo się podobała. Słyszałam zresztą tylko część, na początek się spóźniłam, a podczas zakończenia leżałam ze studentem na podłodze. Tu jest tak ohydnie — rzekła po chwili i chwyciła K. za rękę. — Sądzi pan, że się panu uda osiągnąć jakąś poprawę? K. uśmiechnął się i obracał lekko swą rękę w jej miękkich dłoniach.

— Właściwie — rzekł — nie jestem do tego powołany, by wprowadzać tu ulepszenia, jak się pani wyraziła, i gdyby pani to powiedziała sędziemu śledczemu, wyśmiałby panią albo ukarał. W gruncie rzeczy nigdy by mi nie przyszło do głowy mieszać się z własnej woli do tych spraw, a potrzeba poprawy tutejszego sądownictwa nigdy nie odbierałaby mi snu. Ale przez to, że zostałem rzekomo aresztowany — jestem mianowicie aresztowany — zmuszono mnie wdać się w to, i to we własnym interesie. Lecz jeśli przy tym mogę być użyteczny także pani, naturalnie bardzo

chętnie to zrobię. I to nie tylko z miłości bliźniego, ale także dlatego, że i pani może mi w czymś pomóc.

— W jaki sposób mogłabym to uczynić? — spytała kobieta.

— Na przykład przez pokazanie mi tych książek na stole.

— Ależ proszę! — zawołała kobieta i szybko pociągnęła go za sobą. Były to stare, zużyte książki, jedna okładka była w połowie prawie złamana, strzępy trzymały się tylko na nitce.

— Jak brudno tu wszędzie — rzekł K. potrząsając głową. Nim zdążył wziąć książki, kobieta powierzchownie starła fartuchem kurz. K. otworzył pierwszą książkę, ukazał się nieprzyzwoity obrazek. Mężczyzna i kobieta siedzieli nadzy na kanapie; lubieżna intencja rysownika występowała wyraźnie, ale jego nieudolność była tak wielka, że ostatecznie widać było tylko mężczyznę i kobietę, którzy wyłaniali się z obrazu nazbyt cieleśnie, siedzieli nadmiernie sztywno i wskutek złej perspektywy z trudem zwracali się do siebie. K. nie kartkował już dalej tylko otworzył jeszcze kartę tytułową drugiej książki, była to powieść pod tytułem: *Plagi, jakie musiała znosić Małgosia od swego męża Jasia*.

— Oto księgi ustaw, które się tu studiuje — rzekł K. — i tacy ludzie mają mnie sądzić.

— Pomogę panu — rzekła kobieta — chce pan?

— Czy rzeczywiście może pani to uczynić nie narażając się na niebezpieczeństwo? Przecież przedtem powiedziała pani, że jej mąż jest bardzo zależny od przełożonych.

— Mimo to chcę panu pomóc — rzekła kobieta. — Chodźmy, musimy to omówić. O moim niebezpieczeństwie nie mówmy już, boję się niebezpieczeństwa tylko tam, gdzie go się chce bać. Chodźmy.

Wskazała podium i poprosiła go, by usiadł z nią na stopniu.

— Pan ma ładne, ciemne oczy — rzekła, gdy już usiadła i patrzyła na twarz K. — Mówią mi, że i ja mam ładne oczy, ale pana są o wiele ładniejsze. Zresztą wpadł mi pan już wtedy w oko, gdy przyszedł pan tu po raz pierwszy. Dla pana też przyszedłam potem tu do pokoju zebrań, czego zazwyczaj nigdy nie robię i co mi poniekąd jest zabronione.

„Więc to jest wszystko — pomyślał K. — Oświadczają mi się, jest zepsuta jak wszyscy tu wokoło, ma już, co łatwo zrozumieć, urzędników sądowych do syta i z radością wita pierwszego lepszego mężczyznę komplementem na temat jego oczu”. I

K. cicho wstał, jak gdyby wypowiedział głośno swoje myśli i tym samym wytłumaczył kobiecie swoje zachowanie.

— Wątpię, czy pani mogłaby mi pomóc — rzekł — aby mnie pomóc, trzeba by mieć stosunki z wysokimi urzędnikami. Pani jednak zna na pewno tylko niższych urzędników, którzy tu się kręcą masami. Tych pani na pewno zna dobrze i u nich mogłaby pani niejedno wskórać, o tym nie wątpię, ale cokolwiek można by u nich osiągnąć, będzie to dla ostatecznego wyniku procesu zupełnie bez znaczenia. A pani lekkomyślnie pozbawiłaby się przez to kilku przyjaciół. Tego nie chcę. Proszę nadal utrzymywać dotychczasowe stosunki z tymi ludźmi, wydają mi się one dla pani niezbędne. Mówię to nie bez żalu, gdyż aby komplement pani też w jakiś sposób odwzajemnić, i pani mi się podoba, zwłaszcza jeśli pani tak jak teraz patrzy na mnie smutno, do czego zresztą bynajmniej nie ma powodu. Pani należy do społeczności, którą ja muszę zwalczać. Pani zaś czuje się w niej dobrze, jest pani zakochana w studencie, a jeśli go nawet nie kocha, to woli go pani w każdym razie od swego męża. To można było łatwo poznać ze słów pani.

— Nie! — zawołała pozostając na swym miejscu i pochwyciła rękę K., którą jej nie dość szybko wyrwał. — Nie powinien pan teraz odchodzić, nie powinien pan odchodzić z fałszywym sądem o mnie! Czy naprawdę mógłby pan teraz mnie opuścić? Czy istotnie jestem tak mało warta, że nie zechce mi pan zrobić nawet tej przyjemności i zostać tu jeszcze chwilę?

— Pani mnie źle rozumie — rzekł K. siadając. — Jeśli pani na tym rzeczywiście zależy, bym tu został, zostanę chętnie, mam przecież czas, przyszedłem tu dziś spodziewając się rozprawy. Wracając do tego, co mówiłem przedtem, chciałem tylko prosić o to, by pani w moim procesie nie przedsiębrała niczego w mej obronie. Ale i to nie powinno pani urażać, jeśli pani zważy, że nic mi nie zależy na wyniku procesu i będę się tylko śmiał z wyroku. Zakładając, że w ogóle dojdzie do rzeczywistego końca procesu, w co bardzo wątpię. Przypuszczam raczej, że skutek lenistwa albo zapomnienia czy też zgoła skutek obawy urzędników dochodzenie jest już przerwane albo będzie przerwane w najbliższym czasie. Możliwe również, że w nadziei na jakąś większą łapówkę będzie się pozornie nadal popychało naprzód proces, całkiem nadaremnie, mogę to już dziś powiedzieć, bo ja nie przekupuję nikogo. W każdym razie wyświadczyłaby mi pani przysługę, gdyby powiadomiła pani sędziego śledczego lub kogoś, kto chętnie rozpowiada ważne wiadomości, o tym, że ja nigdy i żadnymi sztuczkami, które tym panom są tak dobrze znane, nie dam się skłonić do żadnego przekupstwa. Byłoby to zupełnie bezcelowe, może im to pani

otwarcie powiedzieć. Zresztą na pewno sami już to zauważyli, a jeśli nawet nie zauważyli, wcale mi na tym tak bardzo nie zależy, żeby już teraz o tym się dowiedzieli. Zaoszczędziłoby się tylko w ten sposób roboty tym panom, a i mnie trochę nieprzyjemności, na które jednak chętnie się zgodzę, jeśli będę wiedział, że każda jest równocześnie ciosem dla tamtych. A że tak będzie, o to się postaram. Czy zna pani właściwie sędziego śledczego?

— Naturalnie — rzekła kobieta. — O nim najpierw myślałam, gdy zaofiarowałam panu pomoc. Nie wiedziałam, że jest on tylko niższym urzędnikiem, ale skoro pan to mówi, widocznie jest to prawda. Mimo to zdaje mi się, że sprawozdanie, które on wysyła do wyższej instancji, ma jednak jakiś wpływ. A on pisze tyle sprawozdań. Pan mówi, że urzędnicy są leniwi. Na pewno nie wszyscy, zwłaszcza nie ten sędzia śledczy, on bardzo dużo pisze. Na przykład zeszłej niedzieli trwało posiedzenie do wieczora. Wszyscy odeszli, ale sędzia śledczy został w sali, musiałam mu przynieść lampę, miałam tylko małą kuchenną lampkę, ale ta mu wystarczała, i zaraz zaczął pisać. Tymczasem przyszedł także mój mąż, który właśnie owej niedzieli miał urlop; przenieśliśmy meble, urządziliśmy znowu nasz pokój, później przyszli jeszcze sąsiedzi, rozmawialiśmy przy świecy, słowem, zapomnieliśmy o sędzim śledczym i poszliśmy spać. Nagle w nocy, musiało to być już późno, budzę się, obok łóżka stoi sędzia śledczy i zasłania lampkę ręką tak, aby światło nie padało na mego męża; była to zbyteczna przezorność, mój mąż ma taki sen, że go nawet światło nie zbudzi. Tak się przestraszyłam, że o mało co nie krzyknęłam, ale sędzia śledczy był bardzo uprzejmy, zalecił ostrożność, szepnął mi, że dotychczas pisał, że teraz odnosi lampę i że nigdy nie zapomni chwili, w której zastał mnie śpiącą. A właściwie chciałam panu tylko powiedzieć, że sędzia śledczy rzeczywiście pisze wiele raportów, zwłaszcza o panu, bo pańskie przesłuchanie było z pewnością jednym z głównych przedmiotów niedzielnego posiedzenia. Takie długie sprawozdania nie mogą być przecież całkiem bez znaczenia. Oprócz tego może pan z tamtego zdarzenia wywnioskować, że sędzia śledczy stara się o moje względy i że właśnie teraz na początku — widocznie dopiero teraz mnie zauważył — mogę mieć na niego wielki wpływ. Mam i inne jeszcze dowody, że mu na mnie zależy. Wczoraj przysłał mi w podarunku przez studenta, do którego ma wielkie zaufanie i który jest jego współpracownikiem, jedwabne pończochy, niby za to, że sprzątam pokój posiedzeń, ale to tylko pretekst, bo ta robota jest moim obowiązkiem i płaci się za nią memu mężowi. Są to piękne pończochy, proszę spojrzeć — wyciągnęła nogi, podniosła

spódnicę aż do kolan i sama również oglądała pończochy — to są piękne pończochy, ale właściwie za wytworne i dla mnie nieodpowiednie.

Nagle przerwała, położyła rękę na ręce K., jakby go chciała uspokoić, i szepnęła:

— Cicho, Bertold na nas patrzy.

K. podniósł powoli wzrok. W drzwiach pokoju posiedzeń stał młody człowiek. Był mały, miał niezupełnie proste nogi i starał się nadać sobie powagę krótką, rzadką, rudawą brodą, w której ustawicznie gmerał palcami. K. popatrzył na niego z ciekawością, był to bowiem pierwszy student nieznanymi naukami prawniczymi, którego spotkał na ludzkiej, jeśli tak można rzec, płaszczyźnie, człowiek, który miał zapewne kiedyś dojść do wyższych urzędowych stanowisk. Student natomiast pozornie nie interesował się osobą K., tylko palcem, który na chwilę wyjął z brody, kiwnął na kobietę i podszedł do okna; kobieta nachyliła się do K. i szepnęła:

— Niech się pan na mnie nie gniewa i źle o mnie nie myśli, muszę teraz pójść do niego, do tego wstrętnego człowieka, spójrz pan tylko na jego krzywe nogi. Ale natychmiast wrócę i później pójdę z panem, jeśli mnie pan zabierze, pójdę, dokąd pan zechce, będzie pan mógł ze mną wszystko zrobić, będę szczęśliwa, jeśli stąd odejdę, najchętniej na zawsze.

Pogłaskała jeszcze rękę K., zerwała się i pobiegła do okna. Mimo woli sięgnął jeszcze K. po jej rękę, ale natrafił na próżnię. Kobieta pociągała go rzeczywiście, mimo wszystkich zastrzeżeń, nie znajdował też dostatecznego powodu, dla którego nie miałby ulec pokusie. Przelotne podejrzenie, że kobieta zastawia nań sidła działając na rzecz sądu, odpędził bez trudu. W jaki sposób mogłaby zastawiać nań sidła? Czy nie był zawsze jeszcze na tyle wolny, że mógłby natychmiast zmiążdżyć cały sąd, przynajmniej jeśli zwracał się przeciwko jego osobie? Czy nie mógł mieć tyle zaufania do siebie samego? A jej oferta pomocy brzmiała szczerze i była może nie bez znaczenia. I nie było może lepszej zemsty nad sędzią śledczym i jego kliką, jak odebrać im tę kobietę. Mogłoby się zdarzyć, że sędzia śledczy po żmudnej pracy nad kłamliwymi sprawozdaniem o K. późną nocą znalazłby łóżko tej kobiety puste. A puste dlatego, ponieważ należałaby do K., ponieważ ta kobieta przy oknie, to bujne, gibkie, ciepłe ciało w ciemnej sukni z ciężkiej, prostej materii, należałoby wyłącznie do niego.

Gdy w ten sposób pozbył się wątpliwości co do tej kobiety, zaczął mu się dialog przy oknie zanadto dłużyć, zapukał w podium palcem, a potem również pięścią. Student przelotnie spojrzawszy ponad plecami kobiety na K., nie dawał się jednak

odwieść od swego, przeciwnie, przycisnął kobietę silniej do siebie i objął ją. Ona schyliła głowę, jak gdyby go uważnie słuchała, on zaś schyloną pocałował głośno w kark, nie przerywając rozmowy. K. widział w tym potwierdzenie tyranii, o jaką oskarżała ta kobieta studenta, wstał i chodził po pokoju tam i z powrotem. Zastanawiał się, rzucając z ukosa spojrzenia na rywala, w jaki sposób mógłby go prędko się pozbyć, dlatego z przyjemnością zauważył, że student, któremu widocznie przeszkadzały kroki K., przechodzące niekiedy w głośne tupanie, odezwał się:

— Jeśli pan się niecierpliwi, może pan odejść, mógł pan to już wcześniej uczynić, nikt by za panem nie tęsknił. Nawet powinien pan być odejść po moim wejściu, i to jak najprędzej.

Mimo całej wściekłości bijącej z tych słów tkwiła w nich również duma przyszłego urzędnika sądowego, który mówi do uprzykrzonego oskarżonego. K. stał nadal całkiem blisko niego i rzekł z uśmiechem:

— Niecierpliwię się, to prawda, ale ta niecierpliwość da się bardzo łatwo usunąć przez to, że pan nas opuści. Jeśli pan jednak przyszedł tu, by studiować — słyszałem, że pan jest studentem — to chętnie panu ustąpię miejsca i odejdę z tą panią. Zresztą będzie pan musiał wiele jeszcze studiować, nim pan zostanie sędzią. Nie znam wprawdzie jeszcze zbyt dokładnie waszego sądownictwa, przypuszczam jednak, że nie polega ono jedynie na ordynarnych słowach, na które pan sobie bezwstydnie pozwala.

— Nie powinno się go było puszczać na wolną stopę — rzekł student, jakby chciał wytłumaczyć kobiecie obrażającą wypowiedź K. — Był to błąd. Powiedziałem to sędziemu śledczemu. Trzeba było przynajmniej potrzymać go w areszcie w jego pokoju między jednym a drugim przesłuchaniem. Sędziego śledczego trudno czasami zrozumieć.

— Szkoda gadania — rzekł K. i wyciągnął rękę po kobietę — chodźmy.

— Ach, tak — rzekł student — nie, nie dostanie jej pan — i z siłą, której by w nim nie podejrzewał, podniósł ją na jedno, ramię i zgarbiwszy się nieco, czule patrząc jej w twarz biegł do drzwi. Nie mogąc ukryć pewnej obawy przed K., miał jednak odwagę drażnić go w ten sposób, że wolną ręką głaskał i przyciskał ramię kobiety. K. biegł obok niego kilka kroków, gotów go pochwycić i w razie potrzeby zdusić, gdy kobieta rzekła:

— To daremne, sędzia śledczy przysłała po mnie, nie mogę pójść z panem, ten mały potwór — pogłaskała przy tym studenta po twarzy — ten mały potwór nie puści mnie.

— A pani nie chce być uwolniona? — zawołał K. i położył na plecach studenta rękę, którą ten usiłował ugryźć.

— Nie! — krzyczała kobieta odpychając K. obiema rękami — nie, nie, tylko nie to! Czego pan chce! To by była moja zguba. Puść go pan, proszę, puść go pan. On wypełnia tylko rozkaz sędziego śledczego i niesie mnie do niego.

— Więc niech idzie, a pani nie chce już widzieć — powiedział K., rozwścieczony zawodem, i tak silnie pchnął studenta, że ten potknął się lekko, ale natychmiast uradowany tym, że nie upadł, dał susa ze swoim ciężarem i pobiegł dalej w podskokach. K. szedł powoli za nimi, pojął, że to była pierwsza niezaprzeczona porażka, którą poniósł od tych ludzi. Nie było naturalnie powodu tym się martwić, poniósł porażkę, ponieważ szukał walki. Gdyby został w domu i prowadził zwykły tryb życia, stałby stokroć wyżej od każdego z tych ludzi i mógłby każdego jednym kopnięciem usunąć ze swojej drogi. I wyobraził sobie przekomiczną scenę, która by się rozegrała, gdyby na przykład ten marny studencina, to nadęte dziecko, ten kulawy brodacz klęczał przed łóżkiem Elzy i ze złożonymi rękami prosił ją o łaskę. To wyobrażenie tak mu się podobało, że postanowił, jeśli się tylko nadarzy sposobność, wziąć ze sobą studenta do Elzy.

Z ciekawości pobiegł K. jeszcze do drzwi, chciał widzieć, dokąd student zanieś kobietę, chyba nie będzie jej niósł na ramieniu przez ulicę. Okazało się, że droga była znacznie krótsza. Tuż naprzeciw drzwi mieszkania prowadziły wąskie, drewniane schody prawdopodobnie na strych, w pewnym miejscu skręcały, tak że nie było widać ich końca. Po tych schodach niósł student kobietę na górę, już bardzo powoli i stękając, ponieważ był osłabiony dotychczasowym biegiem. Kobieta rzuciła ręką pozdrowienie w kierunku K. i dawała mu przez wzruszanie ramion do zrozumienia, że nie jest winna temu porwaniu, wiele jednak żalu nie było w tym geście. K. patrzył na nią bez wyrazu, jak na obcą osobę, nie chciał zdradzić, ani że był rozczarowany, ani że mógł łatwo zawód przeboleć.

Oboje już zniknęli, ale K. stał jeszcze ciągle w drzwiach. Pojął, że kobieta nie tylko go oszukała, ale i okłamała, twierdząc, iż student niesie ją do sędziego śledczego. Przecież sędzia nie czekałby siedząc na strychu. Drewniane schody nic nie wyjaśniały, choćby najdłużej na nie patrzeć. Wtem zauważył K. małą kartkę obok schodów, podszedł bliżej i przeczytał dziecinnym, niewprawnym pismem wykonany napis: „Wejście do kancelarii sądowych”. Więc tu na strychu tego domu czynszowego były kancelarie sądowe? To pomieszczenie nie mogło wzbudzać wiele zaufania i było satysfakcją dla oskarżonego pomyśleć, jak skąpymi środkami pieniężnymi

rozporządzał ten sąd, skoro umieszczał swoje kancelarie tam, gdzie lokatorzy, którzy sami należeli już do najbiedniejszych, wyrzucali swoje niepotrzebne graty. Zresztą nie było wykluczone, że pieniędzy było dość, tylko rozdrapali je urzędnicy, nim zużytkowano je na cele sądowe. Wnosząc z dotychczasowych doświadczeń, uważał to nawet za bardzo prawdopodobne. Takie rozłajdalenie sądu było wprawdzie upokarzające dla oskarżonego, ale w gruncie rzeczy mogło go jeszcze bardziej uspokoić niż ewentualne ubóstwo urzędu. Teraz także zrozumiał K., że przy pierwszym przesłuchaniu wstydzono się zawezwać oskarżonego na strych i wołano go nagabywać w jego prywatnym mieszkaniu. W jakimże położeniu znajdował się K. w porównaniu z sędzią, który siedział na strychu, podczas gdy on sam miał w banku wielki pokój z poczekalnią i przez olbrzymią szybę okienną patrzeć mógł na ożywiony plac miasta! Nie miał wprawdzie ubocznych dochodów z łapówek ani ze sprzeniewierzeń i nie pozwalał sobie na to, by mu woźny przynosił do biura kobietę na rękach. Z tego jednak K. chętnie rezygnował, przynajmniej w tym życiu.

K. stał jeszcze przed kartką z napisem, gdy jakiś mężczyzna wszedł po schodach na górę, zajrzał przez otwarte drzwi do izby, z której można było widzieć także izbę posiedzeń, i w końcu spytał K., czy nie widział tu przed chwilą jakiejś kobiety.

— Pan jest woźnym sądowym, prawda? — spytał K.

— Tak jest — odpowiedział mężczyzna. — Aha, pan jest oskarżonym K., teraz również pana poznaję, witam pana — i podał K., który się tego zupełnie nie spodziewał, rękę. — Na dzisiaj jednak nie wyznaczono żadnej sesji — powiedział po chwili woźny, gdy K. milczał.

— Wiem — rzekł K. i przyglądał się jego cywilnemu ubraniu, które jako jedyną urzędową oznakę obok kilku zwykłych guzików miało także dwa pozłacane, wyglądające jak odprute ze starego płaszcza oficerskiego. — Przed chwilą rozmawiałem z pańską żoną. Już jej tu nie ma. Student zaniósł ją do sędziego śledczego.

— No widzi pan — rzekł woźny — zawsze mi ją wynoszą. Dziś jest przecież niedziela i nie jestem zobowiązany do żadnej roboty, ale tylko po to, by mnie stąd oddalić, wysyła się mnie z jakimś bezcelowym, niepotrzebnym zleceniem. A wysyła się mnie niezbyt daleko, tak że mogę mieć nadzieję, że wrócę jeszcze na czas, jeśli się bardzo pospieszę. Biegnę więc, jak tylko mogę, wykrzykuję w urzędzie, do którego mnie posłano, przez szparę drzwi zlecenie, tak zdyszany, że go nikt nie rozumie, pędzę z powrotem, ale student tymczasem jeszcze się bardziej ode mnie pospieszył,

miał zresztą krótszą drogę, bo wystarczyło mu tylko zbiec po schodach ze strychu. Gdybym nie był tak zależny, dawno bym już tego studenta zmiażdżył o ścianę. Tu obok tej kartki z ogłoszeniem. Zawsze o tym marzę. Tu, trochę nad podłogą, przywarł plackiem do ściany, ramiona ma rozkrzyżowane, palce rozwarłe, krzywe nogi zwinięte w kabłąk, a wszędzie wokoło rozpryskana krew. Na razie jednak jest to tylko marzenie.

— Czy nie ma innej rady? — spytał z uśmiechem K.

— Nie znam żadnej — rzekł woźny. — A teraz dzieje się jeszcze gorzej, dotychczas zanosił ją tylko do siebie, teraz nosi ją, czego się zresztą już spodziewałem, także i do sędziego śledczego.

— Czy nie ma w tym winy pańskiej żony? — spytał K. i musiał się przy tym pytaniu opanować, do tego stopnia sam odczuwał w tej chwili zazdrość.

— Ależ z całą pewnością — rzekł woźny — ona ponosi nawet główną winę. To ona mu się przecież narzuciła. Co do niego, to goni on za wszystkimi kobietami. Już w tym domu wyrzucono go z pięciu mieszkań, do których się wśliznął. Moja żona jest zresztą najładniejsza w całej kamienicy, lecz właśnie ja nie mogę się bronić.

— Jeśli tak się sprawa przedstawia, to rzeczywiście nie ma rady — rzekł K.

— Owszem, jest — rzekł woźny. — Trzeba by studenta, który jest tchórzem, kiedyś, gdy ośmieli się tknąć moją żonę, tak zbić, żeby się na to nigdy więcej nie ważył. Ale mnie nie wolno tego uczynić, a inni nie chcą mi wyświadczyć tej przysługi, bo wszyscy boją się jego władzy. Tylko taki mężczyzna jak pan mógłby to zrobić.

— Jak to ja? — spytał K. zdziwiony.

— Przecież pan jest oskarżony — rzekł woźny.

— Tak — odrzekł K. — ale właśnie tym bardziej powinienem się bać, że może on wyrzec wpływ, jeśli już nie na wynik procesu, to prawdopodobnie na wstępne dochodzenia.

— No, pewnie — rzekł woźny, jak gdyby zapatrywanie K. było równie słuszne jak jego. — Ale u nas z zasady nie prowadzi się procesów bez widoków zasądzenia.

— Nie podzielam pańskiego zdania — rzekł K. — ale to mi nie przeszkodzi wziąć przy sposobności studenta w obroty.

— Byłbym panu bardzo wdzięczny — rzekł woźny nieco formalnym tonem; zdawał się właściwie nie wierzyć w możliwość spełnienia swego najgorętszego pragnienia.

— Prawdopodobnie — ciągnął dalej K. — jeszcze i inni wasi urzędnicy, może nawet wszyscy, zasługują na to samo.

— Tak, tak — rzekł woźny, jakby chodziło o coś, co się samo przez się rozumie. Potem spojrzął na K. pełnym zaufania wzrokiem, jakim dotychczas, mimo całej swej uprzejmości, nie patrzył, i dodał: — Więc zawsze się buntujemy. — Ale ta rozmowa była mu nagle nie na rękę, bo przerwał ją, mówiąc: — Teraz muszę się zgłosić do kancelarii. Chce pan pójść ze mną?

— Nie mam tam nic do roboty — rzekł K.

— Może pan obejrzyć kancelarie, nikt nie będzie się panem interesował.

— Czy są warte oglądania? — spytał z wahaniem K., miał jednak wielką ochotę pójść z nim.

— No — rzekł woźny — myślałem, że to pana zainteresuje.

— Dobrze — rzekł wreszcie K. — Pójdę z panem — i pobiegł, szybciej niż woźny, po schodach.

Przy wejściu o mało co nie upadł, bo za drzwiami był jeszcze jeden stopień.

— Niewiele liczą się tu z publicznością — rzekł K.

— W ogóle z nikim się nie liczą — odparł woźny — spójrz pan tylko na tę poczekalnię.

Był to długi korytarz, z którego prowadziły z gruba ciosane drzwi do poszczególnych przegród strychu. Mimo że nie było żadnego bezpośredniego dostępu światła, nie było jednak całkiem ciemno, gdyż niektóre przegrody miały od strony korytarza, zamiast jednolitych ścian z desek, jedynie kraty drewniane, zresztą sięgające aż do pułapu, przez które wdzierało się nieco światła, tak że można było nawet widzieć poszczególnych urzędników, jak pisali przy stołach albo wprost stali przy kratkach i przez otwory przyglądali się ludziom na korytarzu. Może z powodu niedzieli mało było na korytarzu ludzi. Wyglądali oni bardzo skromnie. Siedzieli w regularnych prawie od siebie odstępach na dwóch rzędach długich drewnianych ławek, ustawionych po obu stronach korytarza. Wszyscy byli niedbale ubrani, mimo że, sądząc z wyrazu twarzy, z postawy, z pielęgnowanej brody i z wielu ledwie uchwytnych, drobnych szczegółów, należeli przeważnie do wyższych sfer. Ponieważ nie było wieszadeł, położyli wszyscy, idąc widocznie jeden za przykładem drugiego, kapelusze pod ławką. Gdy siedzący najbliżej drzwi zobaczyli K. i woźnego, powstali do ukłonu; następni, widząc to, sądząc, że i oni muszą się ukłonić, tak że przy przejściu ich obu podnieśli się kolejno wszyscy. Nie stali jednak całkiem wyprostowani, plecy mieli pochylone, kolana zgięte, stali jak żebracy uliczni. K. zaczekał na idącego za nim woźnego i rzekł cicho:

— Jakżeż oni muszą być upokorzeni.

— Tak — rzekł woźny — to oskarżeni, wszyscy, których pan tu widzi, są to oskarżeni.

— Naprawdę! — rzekł K. — Ależ wobec tego są to moi towarzysze. — I zwrócił się do najbliższego, wysokiego, smukłego, już prawie siwego mężczyzny. — Na co pan tu czeka? — spytał uprzejmie. Ale niespodziewane odezwanie się zmieszało tylko mężczyznę, co wyglądało tym przykrzej, że chodziło widocznie o człowieka obytego, który gdzie indziej na pewno umiał się opanować i niełatwo zrzekał się swej wyższości, zdobytej nad wieloma. Tu jednak nie umiał odpowiedzieć na tak łatwe pytanie i spoglądał na innych, jak gdyby byli zobowiązani mu pomóc, i jeśliby ta pomoc nie nadchodziła, nikt nie mógł żądać od niego odpowiedzi. Woźny przystąpił do niego i aby go uspokoić i dodać mu otuchy, rzekł:

— Ten pan się tylko pyta, na co pan czeka. Niechże pan odpowie.

Widocznie znany mu głos woźnego lepiej podziałał.

— Ja czekam... — zaczął i utknął. Widocznie wybrał ten wstęp, aby odpowiedzieć całkiem dokładnie na postawione pytanie, nie znajdował jednak dalszego ciągu. Niektórzy z czekających zbliżyli się i otoczyli grupę, woźny odezwał się do nich:

— Z drogi, z drogi, zróbcie wolne przejście.

Ustąpili nieco, ale nie wrócili na swoje poprzednie miejsca. Tymczasem pytany ochłonął i odpowiedział nawet z nieznacznym uśmiechem:

— Postawiłem przed miesiącem kilka wniosków o przeprowadzenie dowodu w mojej sprawie i czekam na załatwienie.

— Ależ pan sobie zadaje wiele trudu — rzekł K.

— Tak — rzekł ów człowiek — przecież to moja sprawa.

— Nie każdy myśli tak jak pan — rzekł K. — ja na przykład także jestem oskarżony, ale, jak zbawienia pragnę, nie postawiłem ani wniosku o przeprowadzenie dowodu, ani nie przedsięwziąłem niczego w tym guście. Uważa pan to za konieczne?

— Nie wiem dokładnie — rzekł mężczyzna, znowu zupełnie niepewny. Sądził widocznie, że K. stroi sobie z niego żarty, dlatego ze strachu, by nie popełnić jakiegoś nowego błędu, byłby prawdopodobnie najchętniej powtórzył w całości poprzednią odpowiedź, pod wpływem jednak zniecierpliwionego spojrzenia K. powiedział tylko: — Co się mnie tyczy, to postawiłem wniosek dowodowy.

— Pan pewnie nie wierzy, że jestem oskarżony? — spytał K.

— O, proszę pana, wcale nie — powiedział mężczyzna i usunął się nieco na bok, ale w odpowiedzi nie było wiary, tylko ukryty strach.

— Wiec pan mi nie wierzy? — spytał K. i niejako sprowokowany nieświadomie pokorną postawą mężczyzny, chwycił go za ramię, jakby chciał zmusić go tym do wiary. Nie chciał mu sprawić bólu, ujął go też całkiem lekko, mimo to mężczyzna krzyknął, jak gdyby K. chwycił go nie dwoma palcami, ale rozpalonymi szczypcami. Po tym śmiesznym krzyku miał już K. wszystkiego dość. Skoro ten człowiek nie wierzył mu, że jest oskarżony, tym lepiej. Może uważał go nawet za sędziego. I teraz na pożegnanie chwycił go rzeczywiście mocniej, odtrącił go na ławkę i poszedł dalej.

— Oskarżeni są na ogół tacy wrażliwi — rzekł woźny. Prawie wszyscy czekający zebrali się teraz wokół człowieka, który już przestał krzyczeć, widocznie wypytywali go dokładnie o zajście. Naprzeciw K. wyszedł teraz jakiś strażnik, którego można było poznać głównie po szabli o pochwie, jak się zdawało, z barwy sądząc, aluminiowej. K. zdziwił się i chwycił nawet szablę ręką. Strażnik, który przyszedł usłyszawszy krzyk, zapytał, co zaszło. Woźny starał się go kilkoma słowami uspokoić, ale strażnik oświadczył, że sam będzie musiał sprawdzić, zasalutował i poszedł dalej pośpiesznym, ale bardzo drobnym, widocznie przez podagrę hamowanym krokiem.

K. nie poświęcał dłużej uwagi temu całemu towarzystwu, zwłaszcza że mniej więcej w połowie korytarza zauważył możliwość skręcenia w prawo przez otwór bez drzwi. Zapytał woźnego, czy to jest właściwa droga, woźny skinął głową i K. rzeczywiście tam skręcił. Ciężko mu, że zawsze musiał iść o dwa kroki przed woźnym. Łatwo mogło się wydawać, zwłaszcza w tym miejscu, że jest prowadzony jak aresztant. Przystawał więc często i czekał na woźnego, ale ten teraz znowu zostawał w tyle. Wreszcie, aby wybrnąć z tej niemiłej sytuacji, rzekł:

— A więc już obejrzałem, jak to tu wygląda, chcę teraz odejść.

— Nie widział pan jeszcze wszystkiego — rzekł woźny pozornie niewinnym tonem.

— Nie chcę widzieć wszystkiego — rzekł K., który czuł się zresztą rzeczywiście zmęczony — chcę odejść, jak idzie się tu do wyjścia?

— Chyba się pan jeszcze nie zabłąkał? — spytał woźny ze zdziwieniem. — Pójdzie pan tu aż do rogu, a potem na prawo korytarzem w dół wprost do drzwi.

— Niech pan ze mną pójdzie — rzekł K. — i pokaże mi drogę, zmylę ją, tyle tu jest dróg.

— To jest jedyna droga — rzekł woźny, teraz już z wyrzutem — nie mogę z panem wracać, muszę złożyć mój raport, a przez pana straciłem już tyle czasu.

— Pan pójdzie ze mną! — powtórzył K. teraz ostrzej, jak gdyby przyłapał woźnego na nieprawdzie.

— Niech pan tak nie krzyczy — szepnął woźny — tu są przecież wszędzie biura. Jeśli pan nie chce wrócić sam, to niech pan ze mną jeszcze kawałek pójdzie albo zaczeka tu, aż wykonam moje zlecenie, potem chętnie z panem wyjdę.

— Nie, nie — powiedział K. — nie będę czekał, natomiast pan musi teraz pójść ze mną.

K. jeszcze się wcale nie rozejrzył w miejscu, w którym się znajdował, dopiero gdy otworzyły się jedne z licznych drewnianych drzwi, które były wokół, spojrzał w tym kierunku. Jakaś dziewczyna, którą z pewnością zwały głośne słowa K., weszła i spytała:

— Czego pan sobie życzy?

Za nią w oddaleniu widział zbliżającego się w mroku jeszcze jednego mężczyznę. K. rzucił okiem na woźnego. Powiedział on przecież, że nikt nie będzie nim się zajmował, a teraz przyszło już dwoje i jeszcze trochę, a wszyscy urzędnicy zwrócą na niego uwagę i będą może żądali wytłumaczenia jego obecności. Jedynym zrozumiałym usprawiedliwieniem byłoby, że jest oskarżonym i że chciał się dowiedzieć daty następnego przesłuchania, ale właśnie tego wytłumaczenia nie chciał podać, zwłaszcza że nie było zgodne z prawdą, ponieważ przyszedł tu tylko z ciekawości albo, co było jako wytłumaczenie jeszcze bardziej niemożliwe, z chęci skonstatowania, że wnętrze sądów jest równie odrażające jak ich wygląd zewnętrzny. I zdawało się, że przypuszczając tak miał rację. Nie chciał zapędzać się dalej, dość przytłaczało go to, co dotychczas zobaczył, nie był w tej chwili w stanie zetknąć się oko w oko z jakimś wyższym urzędnikiem, który każdej chwili mógł wychynąć z którychś drzwi, chciał odejść, i to z woźnym albo i sam, jeśli nie mogło być inaczej. Ale jego drętwe milczenie musiało zwrócić uwagę, i rzeczywiście dziewczyna i woźny popatrzyli na niego tak, jakby w najbliższej chwili musiała w nim zajść niezwykła przemiana, z której nie chcieli jako obserwatorzy nic uronić. W otwartych drzwiach stał mężczyzna, którego K. przedtem w głębi zauważył, i oparty o górną futrynę niskich drzwi ważył się na końcach palców jak niecierpliwy widz. Lecz dziewczyna pierwsza poznała, że zachowanie się K. wynika z innej przyczyny, że jest spowodowane lekką niedyspozycją. Przyniosła krzesło i spytała:

— Może pan usiądzie?

K. natychmiast usiadł i aby usadowić się jeszcze lepiej, wsparł łokcie na poręczach.

— Pan ma lekki zawrót głowy, prawda? — spytała go. Widział teraz jej twarz blisko przed sobą, miała ten poważny wyraz właściwy niektórym kobietom właśnie w ich najpiękniejszej młodości.

— Niech pan się tym nie niepokoi — rzekła — nie jest to tutaj niczym nadzwyczajnym, prawie każdy dostaje takiego napadu, gdy tu przychodzi po raz pierwszy. Pan tu jest po raz pierwszy? No tak, więc to nic nadzwyczajnego. Słońce pali tu, rozpraża rusztowanie dachu, a rozgrzane drzewo wywołuje duszność w powietrzu. Dlatego to miejsce nie nadaje się zbyt na lokal biurowy, mimo że przedstawia skądinąd wiele korzyści. Ale co się tyczy powietrza, to w dniach wielkiego ruchu stron, a taki panuje prawie każdego dnia, nie sposób nim wprost oddychać. Jeśli pan nadto zważy, że często rozwiesza się tu także bieliznę do suszenia — nie można tego lokatorom zupełnie odmówić — to nie zdziwi się pan, że pana trochę zemdlilo. Lecz ostatecznie można się do tego powietrza w zupełności przyzwyczaić. Gdy pan tu przyjdzie po raz drugi albo trzeci, ledwo pan ten ucisk odczuje. Czy już się pan czuje lepiej?

K. nic nie odpowiedział, było mu nad wyraz przykro, że przez to nagłe osłabienie był całkiem wydany na łaskę ludzi, ponadto teraz, gdy dowiedział się już o powodach swego omdlenia, nie zrobiło mu się lepiej, lecz jeszcze gorzej. Dziewczyna zaraz to zauważyła i aby go orzeźwić, wzięła drąg oparty o ścianę i pchnęła nim mały lufcik, który był umieszczony wprost nad K. Przez lufcik wpadło jednak tyle sadzy, że dziewczyna musiała natychmiast go zasunąć i oczyścić z sadzy swoją chusteczką rękę K., bo K. był zbyt zmęczony, by sam się tym zająć. Chętnie byłby tu spokojnie posiedział, dopóki by nie nabrał dostatecznie sił, by odejść, to jednak mogło nastąpić tym prędzej, im mniej się o niego troszczono. Lecz na domiar złego dziewczyna powiedziała:

— Tu nie może pan zostać, tu tamujemy ruch. — K. zapytał spojrzeniem, jaki właściwie ruch tu tamuje. — Zaprowadzę pana, jeśli pan chce, do izby chorych. Proszę mi pomóc — rzekła do mężczyzny w drzwiach, który też zaraz się zbliżył. Ale K. nie chciał się dać zaprowadzić do infirmerii, właśnie tego chciał uniknąć, by go prowadzono dalej, im dalej, tym musiało być gorzej.

— Już mogę iść — powiedział, lecz osłabiony wygodnym siedzeniem, wstał chwiejnie. Nie mógł się utrzymać na nogach. — Jednak nie mogę — rzekł potrząsając głową i z westchnieniem siadł z powrotem. Przypomniawszy sobie woźnego sądowego, który mógł go przecież łatwo wyprowadzić, lecz tego widocznie od dawna już nie było.

K. zaglądał w lukę pomiędzy dziewczyną a mężczyzną, którzy stali przed nim, ale woźnego nie mógł znaleźć.

— Sądzę — rzekł mężczyzna, który był zresztą elegancko ubrany i zwracał uwagę zwłaszcza popielatą kamizelką z dwoma długimi, ostrymi końcami, wybiegającymi spiczasto w dół — że niedyspozycja tego pana jest wynikiem tutejszej atmosfery, dlatego będzie najlepiej i dla niego najmilej, jeśli go nie skierujemy do izby chorych, ale w ogóle wyprowadzimy z kancelarii.

— Otóż to! — zawołał K. prawie mu przerywając z wielkiej radości. — Na pewno będzie mi zaraz lepiej, wcale nie jestem taki słaby, trzeba tylko, żeby mnie trochę podtrzymało. Nie sprawię panu wiele trudności, bo droga nie jest długa, niech mnie pan zaprowadzi tylko do drzwi, usiądę potem jeszcze trochę na schodach i zaraz przyjdę do siebie, bo nigdy nie cierpię na takie ataki, mnie samemu wydaje się to dziwne. Jestem przecież także urzędnikiem i przywykłem do powietrza biurowego, ale tu nie sposób wytrzymać, sam pan to przyznaje. Zechce więc pan być tak uprzejmy i trochę mnie poprowadzić, mam zawrót głowy i robi mi się słabo, gdy sam wstaję. — I podniósł ramiona, aby ułatwić obojgu chwyt pod pachy.

Ale mężczyzna nie poszedł za wezwaniem, tylko trzymał spokojnie ręce w kieszeniach od spodni i śmiał się głośno.

— Widzi pani — rzekł do dziewczyny — a więc jednak trafiłem w sedno. Temu panu jest słabo tylko w tym miejscu, a nie w ogóle.

Dziewczyna uśmiechnęła się również, ale końcami palców trzepnęła mężczyznę lekko po ramieniu, jakby posunął się w żarcie za daleko.

— Cóż pani myśli? — powiedział mężczyzna, wciąż jeszcze śmiejąc się. — Naprawdę chcę tego pana wyprowadzić.

— Wobec tego dobrze — rzekła dziewczyna skłoniwszy na chwilę swą ładną główkę. — Niech pan nie przykłada wiele wagi do tego śmiechu — powiedziała do K., który znowu posmutniał i patrzył błędnie przed siebie, jakby nie potrzebował żadnego wyjaśnienia. — Ten pan — mogę chyba pana przedstawić? (mężczyzna dał ruchem ręki pozwolenie) — więc ten pan jest informatorem. Udziela czekającym stronom wszelkich informacji, których potrzebują, a ponieważ nasze sadownictwo nie bardzo jest znane ludności, żąda się wiele wyjaśnień. On umie odpowiedzieć na każde pytanie, jeśli pan kiedyś będzie miał ochotę, może go pan wypróbować. A nie jest to jedyna jego zaleta, drugą jest elegancki strój. My, to znaczy urzędnicy, uznaliśmy, że trzeba informatora, który ustawicznie i jako pierwszy styka się ze stronami, także elegancko ubrać, ze względu na pierwsze dobre wrażenie. My pozostali, jak pan to

zaraz może po mnie poznać, jesteście niestety bardzo źle i staromodnie ubrani; nie ma też wiele sensu wydawać na strój, bo jesteście prawie bez przerwy w kancelariach, śpimy tu nawet. Ale jak powiedziałam, uważaliśmy, że dla informatora ładny strój jest niezbędny. Ponieważ jednak nie można go było otrzymać od naszego zarządu, który pod tym względem jest trochę dziwny, zrobiliśmy zbiórkę — także i strony złożyły się na to — i kupiliśmy mu to oto piękne ubranie i jeszcze inne. Wszystko to na to, by robił dobre wrażenie, ale on przez swój śmiech psuje wszystko i odstrasza ludzi.

— Tak jest — powiedział tamten drwiąco — ale nie rozumiem, dlaczego pani opowiada panu wszystkie nasze intymne sprawy albo raczej zmusza go do ich słuchania, skoro on sam wcale nie chce o nich słyszeć. Proszę tylko spojrzeć, jak markotnie tu siedzi zaprzątnięty własnymi sprawami.

K. nie miał nawet ochoty zaprzeczyć, zamiar dziewczyny był może dobry, chodziło jej o to, by go rozerwać albo też dać mu możliwość ochłonięcia, ale środek chybił.

nbsp; — Musiałam mu przecież wytłumaczyć pana śmiech — rzekła dziewczyna. — Przecież to było obrażające.

— Jestem przekonany, że on przyjmie jeszcze gorsze obelgi, jeśli go tylko w końcu stąd wyprowadzę.

K. nic nie powiedział, nawet nie podniósł oczu, znosił, że tych dwoje rozmawiało o nim jak o jakiejś rzeczy, było to nawet jeszcze stosunkowo najznośniejsze. Ale nagle uczuł rękę informatora na jednym ramieniu, a rękę dziewczyny na drugim.

— A teraz wstawać, słaby człowieku — powiedział informator.

— Ogromnie państwu dziękuję — rzekł K. mile zdziwiony, podniósł się powoli i sam podsunął cudze ręce w miejsce, w którym najbardziej potrzebował oparcia.

— Tak to wygląda — rzekła dziewczyna cicho na ucho do K., gdy zbliżali się do korytarza — jak gdyby mi szczególnie na tym zależało, aby przedstawić informatora w dobrym świetle, ale proszę mi wierzyć, chcę tylko powiedzieć prawdę. On nie ma złego serca. Nie ma obowiązku wyprowadzać chorych stron, a jednak, jak pan widzi, robi to. Może nikt z nas nie jest nieużyty, wszyscy chcielibyśmy chętnie pomóc, ale jako urzędnicy sądowi łatwo robimy wrażenie, jakbyśmy byli nieczuli i nie chcieli nikomu przyjść z pomocą. Nieraz cierpię po prostu z tego powodu.

— Czy nie chciałby pan tu trochę usiąść? — spytał informator. Byli już w korytarzu, w miejscu, gdzie stał oskarżony, do którego K. przedtem przemówił. K. wstydział się go prawie. Dopiero co stał przed nim dumnie wyprostowany, teraz dwie

osoby musiały go wspierać, jego kapeluszem balansował informator trzymając go w koniuszkach palców, fryzura była zwichrzona, włosy spadały mu na pokryte potem czoło. Ale oskarżony widocznie tego wszystkiego nie zauważał, stał pokornie przed informatorem, ignorującym go, i starał się tylko usprawiedliwić swoją obecność.

— Ja wiem — rzekł — że moje wnioski nie mogą jeszcze być załatwione. Ale przyszedłem mimo to, myślałem, że mogę tu poczekać, jest niedziela, mam czas, a tu przecież nie przeszkadzam.

— Nie musi pan się znowu tak usprawiedliwiać — rzekł informator — pańska troskliwość jest godna pochwały, wprawdzie zabiera pan tu niepotrzebnie miejsce, ale nie mam mimo to absolutnie zamiaru, dopóki pan mi nie zawadza, przeszkadzać panu w dokładnym śledzeniu pańskiej sprawy. Gdy się widzi ludzi, którzy tak haniebnie zaniedbują swoje obowiązki, człowiek nabiera cierpliwości w obcowaniu z takimi jak pan.

— Jak on umie rozmawiać ze stronami — szepnęła dziewczyna. K. przytaknął, ale natychmiast się zerwał, gdy informator go spytał:

— Nie zechciałby pan tu usiąść?

— Nie — powiedział K. — nie chcę wypocząć.

Powiedział to możliwie stanowczo, ale w rzeczywistości byłby z rozkoszą usiadł. Cierpiał jakby na chorobę morską. Zdawało mu się, że jest na okręcie płynącym na wielkiej fali. Miał wrażenie, jakby woda rozbijała się o drewniane ściany, jakby z głębi korytarza dochodził szum przelewających się fal, jakby korytarz kołysał się w poprzek i jakby czekające pod obu ścianami strony raz wznosiły się, to znów opadały. Tym bardziej nie pojmował spokoju dziewczyny i mężczyzny, którzy go prowadzili. Mieli go w swoich rękach, gdyby go opuścili, musiałby upaść jak kłoda. Z ich małych oczu szły tu i tam bystre spojrzenia. K. odczuwał ich równomierne kroki nie wykonując sam żadnych, bo nieśli go prawie krok za krokiem. Wreszcie zauważył, że mówią do niego, ale on ich nie rozumiał, słyszał tylko zgiełk, który wszystko nappełniał i poprzez który zdawał się dźwięczeć niezmiennie jakiś wysoki ton, niby głos syreny.

— Głośniej — szepnął ze zwieszoną głową i zawstydydził się, bo wiedział, że mówią dość głośno, jakkolwiek dla niego niezrozumiale. Nagle powiało wprost w twarz świeżym powietrzem, jakby się przed nimi ściana rozdarła, i usłyszał obok siebie:

— Najpierw chce odejść, a potem można mu sto razy mówić, że tu jest wyjście, a on się nie rusza.

K. uczył, że stoi przed drzwiami wyjściowymi, które otworzyła dziewczyna. Miał wrażenie, jakby od razu wróciły mu wszystkie siły. Czując przedsmak wolności, zstąpił od razu na pierwszy stopień schodów i stąd pożegnał się z towarzyszami, którzy lekko się nad nim pochylili.

— Stokrotne dzięki — powtórzył, ścisnął obojgu kilkakrotnie ręce i puścił je dopiero wtedy, gdy zauważył, że oni, przyzwyczajeni do powietrza kancelaryjnego, źle stosunkowo znoszą świeże powietrze napływające ze schodów. Ledwo mogli odpowiedzieć, a dziewczyna byłaby może upadła, gdyby K. nie zamknął czym prędzej drzwi. Potem stał jeszcze chwilę spokojnie, przyglądał sobie przed lusterkiem kieszonkowym włosy, podniósł swój kapelusz, który leżał na dolnym stopniu schodów — informator pewnie go tam rzucił — i zbiegł ze schodów tak świeży i tak długimi susami, że wprost przeraził się tej nagłej zmiany. Takiej niespodzianki nie doznał jeszcze nigdy ze strony swego, zresztą całkiem dobrego zdrowia. Czyżby ciało zamierzało zbuntować się i zgotować mu nowy proces, skoro tak łatwo znosił dotychczasowy? Nie odrzucił całkiem myśli, by pójść przy najbliższej okazji po poradę do lekarza, w każdym jednak razie — w tym nie potrzebował cudzej rady — postanowił wszystkie następne przedpołudnia niedzielne lepiej odtąd wyzyskiwać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przyjaciółka panny Bürstner

W najbliższym czasie nie zdołał K. zamienić z panną Bürstner nawet paru słów. W najrozmaitszy sposób starał się zbliżyć do niej, ale ona umiała zawsze temu przeszkodzić. Zaraz po biurze przychodził do domu, siadał w swym pokoju na kanapie nie zapalając światła i nie zajmował się niczym innym, jak obserwowaniem przedpokoju. Gdy przechodziła przypadkiem służąca i zamykała drzwi pustego na pozór pokoju, wstawał po chwili i otwierał je znowu. Rano zrywał się o godzinę wcześniej niż zwykle, aby móc spotkać pannę Bürstner samą, gdy szła do biura. Ale żadne z tych usiłowań nie powiodło się. Potem napisał do niej list wysyłając go na adres biurowy i domowy, starał się w nim jeszcze raz usprawiedliwić swoje postępowanie, ofiarowywał jej wszelkie zadośćuczynienie, przyrzekał nigdy nie przekroczyć granic, które ona sama wyznaczy, i prosił tylko o możliwość porozmawiania z nią, zwłaszcza że nie może podjąć u pani Grubach żadnych kroków, dopóki się z nią przedtem nie naradzi. Wreszcie doniósł jej, że następnej niedzieli będzie przez cały dzień czekał w swoim pokoju na jakiś znak od niej, czy może mieć nadzieję na spełnienie swej prośby albo przynajmniej na wyjaśnienie, dlaczego nie może jej spełnić, skoro przecież przyrzekł być jej we wszystkim uległy. Listy nie wróciły, ale nie nastąpiła żadna odpowiedź. W niedzielę natomiast nadszedł oczekiwany znak, nie pozostawiający żadnej wątpliwości. Zaraz rano zauważył K. przez dziurkę od klucza jakiś szczególny ruch w przedpokoju, którego powód wkrótce się wyjaśnił. Nauczycielka francuskiego — była to zresztą Niemka i nazywała się panna Montag — wątła, blada, trochę kulejąca dziewczyna, która dotychczas zamieszkiwała własny pokój, przeprowadzała się do pokoju panny Bürstner. Całymi godzinami widziało się ją człapiącą przez przedpokój. Wciąż zapominała czy to jakąś sztukę bielizny, czy to obrusik, czy książkę, po które musiała specjalnie chodzić i zanosić je do nowego mieszkania.

Gdy pani Grubach przyniosła śniadanie dla K. — odkąd go tak rozgniewała, nie odstępowała służącej najmniejszej posługi przy nim — nie mógł się K. powstrzymać, by nie przemówić do niej po raz pierwszy od długiego czasu.

— Skąd to dzisiaj taki ruch w przedpokoju? — spytał nalewając sobie kawy. — Czy nie można by tego zaniechać? Czy trzeba robić porządki właśnie w niedzielę?

Mimo że K. nie spojrział na panią Grubach, zauważył jednak, że odetchnęła jakby z ulgą. Nawet to surowe pytanie potraktowała jako przebaczenie czy wstęp do przebaczenia.

— To nie są porządki — rzekła — tylko panna Montag przeprowadza się do panny Bürstner i przenosi swoje rzeczy.

Nic więcej nie powiedziała czekając, jak to K. przyjmie i czy pozwoli jej dalej mówić. Ale K. wystawił ją na próbę, w zamyśleniu mieszał kawę łyżeczką i milczał. Potem popatrzył na nią i rzekł:

— Czy już się pani pozbyła swoich poprzednich podejrzeń względem panny Bürstner?

— Drogi panie — zawołała pani Grubach, która tylko czekała na to pytanie, i wyciągnęła do K. złożone ręce — pan niedawno tak źle przyjął moją przypadkową uwagę. Nawet mi na myśl nie przyszło, aby pana albo kogokolwiek urazić. Przecież pan mnie już dość dawno zna, panie K., i może być chyba tego pewny. Pan nawet nie wie, jak ja cierpiałam w ostatnich dniach. Ja miałabym oczerniać moich lokatorów! I pan w to uwierzył! I jeszcze oświadczył, że ja powinnam panu wypowiedzieć! Wypowiedzieć panu!

Ostatni okrzyk utonął we łzach, podniosła fartuch do twarzy i głośno łkała.

— Ależ niech pani nie płacze, pani Grubach — powiedział K. i popatrzył przez okno; myślał tylko o pannie Bürstner i o tym, że przyjęła do swego pokoju obcą dziewczynę. — Ależ niech pani nie płacze — powtórzył, gdy się odwrócił od okna, a pani Grubach wciąż jeszcze płakała. — Przecież i ja wcale tak wówczas nie myślałem. Myśmy się wtedy oboje źle zrozumieli. To może się nawet starym przyjaciółom zdarzyć.

Pani Grubach obsunęła fartuch z oczu, aby zobaczyć, czy K. już się rzeczywiście z nią pogodził.

— Ależ tak, tak jest — rzekł K. i wnioskując z zachowania się pani Grubach, że kapitan nic nie zdradził, odważył się jeszcze dodać: — Czy sądzi pani rzeczywiście, że mógłbym się poróżnić z panią z powodu obcej dziewczyny?

— Otóż to właśnie, panie K. — powiedziała pani Grubach; było to jej nieszczęściem, że skoro się tylko czuła trochę pewniejsza, zaraz musiała powiedzieć coś niezręcznego. — Wciąż się zapytywałam: Dlaczego pan K. tak bardzo broni panny Bürstner? Dlaczego przez nią kłóci się ze mną, mimo że wie, iż każde jego gniewne słowo odbiera mi sen? Przecież nie powiedziałam o tej pani nic innego ponad to, co widziałam na własne oczy.

K. nic na to nie odpowiedział, powinien był ją po pierwszym słowie wyrzucić z pokoju, a tego nie chciał. Zadowolił się pić kawę i tym, że dał odczuć pani Grubach, iż obecność jej jest zbyteczna. Za drzwiami znowu słychać było utykający chód panny Montag, która przemierzała cały przedpokój.

— Słyszysz pani? — spytał K. i ręką wskazał na drzwi.

— Tak — powiedziała pani Grubach i westchnęła — ja chciałam jej pomóc i służącej kazałam pomóc, ale ona jest uparta, sama chce wszystko przenieść. Dziwię się panie Bürstner. Mnie samej nieraz nie na rękę jest, że mam pannę Montag jako lokatorkę, a tymczasem panna Bürstner bierze ją nawet do siebie do pokoju.

— To panią nic nie obchodzi — rzekł K. i rozgniół resztkę cukru w filiżance. — Czy ma pani przez to jakąś stratę?

— Nie — powiedziała pani Grubach — właściwie nawet dobrze się składa, zyskuję przez to wolny pokój i mogę tam ulokować mego siostrzeńca, kapitana. Już dawno obawiałam się, że on mógł panu przeszkadzać w ostatnich dniach, w ciągu których musiałam go umieścić w pokoju obok. On się nie bardzo z tym liczy.

— Co to za pomysł! — powiedział K. i wstał. — Ależ o tym nie ma mowy. Pani uważa mnie z pewnością za przewrażliwionego, ponieważ nie mogę znieść tej wędrowni panny Montag. Oto znowu wraca.

Pani Grubach czuła się prawdziwie bezsilna.

— Czy mam powiedzieć, by odłożyła resztę przeprowadzki na później? Jeśli pan chce, zaraz to zrobię.

— Ależ ona ma się przeprowadzić do panny Bürstner! — powiedział K.

— Tak — odpowiedziała pani Grubach, nie rozumiejąc dokładnie, co K. miał na myśli.

— No — rzekł K. — wobec tego przecież musi przenieść swoje rzeczy.

Pani Grubach skinęła tylko głową. Ta niema nieporadność, która na zewnątrz wyglądała jak upór, jeszcze bardziej rozdrażniła go. Zaczął chodzić po pokoju od drzwi do okna tam i z powrotem i odebrał w ten sposób pani Grubach możliwość oddalenia się, co by zresztą prawdopodobnie chętnie uczyniła.

Właśnie doszedł znowu do drzwi, gdy ktoś zapukał. Była to służąca, która oznajmiła, że panna Montag chętnie by zamieniła z panem K. kilka słów, dlatego prosi, by przyszedł do jadalni, gdzie go oczekuje. K. w zamyśleniu przysłuchiwał się służącej, potem odwrócił się i prawie szyderczym wzrokiem obrzucił zalęknioną panią Grubach. To spojrzenie zdawało się mówić, że K. już dawno przewidział to zaproszenie panny Montag i że doskonale dopełnia ono mąk, których musi on tego

niedzielnego przedpołudnia doświadczać od lokatorów pani Grubach. Odesłał dziewczynę z odpowiedzią, że przyjdzie natychmiast; potem poszedł do szafy, aby zmienić ubranie, i w odpowiedzi na biadania pani Grubach nad natrętną osobą miał tylko prośbę, by zechciała już wynieść naczynia po śniadaniu.

— Ależ pan prawie niczego nie tknął — powiedziała pani Grubach.

— Ach, proszę już to wynieść! — zawołał K.; miał uczucie, jakby do wszystkiego, aby mu obrzydzić, przymieszano pannę Montag.

Gdy przechodził przez przedpokój, spojrzął na zamknięte drzwi pokoju panny Bürstner. Ale nie tam był zaproszony, tylko do jadalni, której drzwi szarpnął gwałtownie bez pukania.

Był to bardzo długi, ale wąski pokój o jednym oknie. Znajdowało się tam tyle tylko miejsca, że można było ukośnie ustawić w kątach po stronie drzwi dwie szafy, podczas gdy pozostałą przestrzeń całkowicie wypełniał długi stół, zaczynający się w pobliżu drzwi i sięgający aż do samego okna, do którego z tego powodu nie można było prawie przystąpić. Stół był już nakryty, i to na wiele osób, ponieważ w niedzielę prawie wszyscy lokatorzy jadali tu obiad.

Gdy K. wszedł, panna Montag odeszła od okna i wzdłuż jednej strony stołu podeszła naprzeciw niego. Powitali się milcząco. Potem powiedziała panna Montag, zadzierając jak zawsze niezwykle wysoko głowę:

— Nie wiem, czy pan mnie zna.

K. patrzył na nią spod ściągniętych brwi.

— Pewnie — powiedział — pani przecież już od dłuższego czasu mieszka u pani Grubach.

— Ale, tak mi się zdaje, pan niewiele interesuje się pensjonatem — powiedziała panna Montag.

— Nie — rzekł K.

— Czy nie zechce pan usiąść? — powiedziała panna Montag.

Oboje w milczeniu przynieśli dwa krzesła z drugiego końca stołu i usiedli naprzeciw siebie. Ale panna Montag zaraz znowu wstała, bo zostawiła torebkę na oknie i poszła po nią. Idąc powłóczyła kulawą nogą przez cały pokój. Gdy wróciła lekko wywijając torebką, powiedziała:

— Chciałam tylko z polecenia przyjaciółki zamienić z panem kilka słów. Miała sama przyjść, ale czuje się dziś trochę niedobrze. Pan zechce wybaczyć i zamiast niej wysłuchać mnie. Ona by także nic innego panu nie powiedziała nad to, co ja panu

powiem. Nawet przeciwnie, sędzę, że mogę panu powiedzieć o wiele więcej, ponieważ jestem stosunkowo mniej zaangażowana. Nie sądzi pan tak również?

— Co tu jest do powiedzenia? — rzekł K., którego drażniło, że oczy panny Montag ustawicznie były skierowane na jego usta. Przywłaszczała sobie w ten sposób z góry władzę nad tym, co dopiero miał powiedzieć. — Panna Bürstner widocznie nie chce zgodzić się na osobistą rozmowę, o którą ją prosiłem.

— Tak jest — powiedziała panna Montag — albo raczej wcale tak nie jest, pan to dziwnie ostro wyraża. Na rozmowy nie daje się przecież na ogół ani nie odmawia zgody. Ale może się zdarzyć, że uważa się rozmowę za niepotrzebną, i to właśnie zachodzi w tym wypadku. Teraz po pana uwadze mogę przecież mówić otwarcie. Pan prosił moją przyjaciółkę ustnie czy pisemnie o rozmowę. Ale moja przyjaciółka, tak przynajmniej muszę przypuścić, wie, czego się ta rozmowa ma tyczyć, i jest dlatego, z powodów mi nie znanych, przekonana, że nikomu nie przyniesie to korzyści, jeśli rozmowa rzeczywiście dojdzie do skutku. Zresztą opowiedziała mi o tym dopiero wczoraj, i to bardzo ogólnikowo, dodała przy tym, że i panu na pewno nie może bardzo zależeć na rozmowie, bo tylko przez przypadek wpadł pan na tę myśl i pozna niezawodnie sam, jeśli nie już teraz, to jednak bardzo rychło, bezsensowność tego wszystkiego, nawet bez szczególnego wyjaśnienia. Odpowiedziałam na to, że ma rację, ale ja uważam za korzystniejsze dla zupełnego wyjaśnienia sprawy dać panu jednak wyraźną odpowiedź. Ofiarowałam się wziąć na siebie to zadanie. Po pewnym wahaniu przyjaciółka ustąpiła mi. Mam nadzieję, że działałam także po pańskiej myśli, bo nawet najmniejsza niepewność w najbłaższych sprawach jest przecież zawsze męcząca i jeśli ją, jak w tym wypadku, łatwo usunąć, to lepiej, by się to zaraz stało.

— Dziękuję pani — rzekł natychmiast K., wstał powoli, popatrzał na pannę Montag, potem na stół, potem przez okno — dom naprzeciwko stał skąpany w słońcu — i podszedł do drzwi. Panna Montag poszła za nim kilka kroków, jak gdyby mu nie całkiem dowierzała. Ale przed drzwiami musieli się oboje cofnąć, bo otworzyły się i wszedł kapitan Lanz. K. widział go z bliska po raz pierwszy. Był to wysoki mężczyzna, mniej więcej czterdziestoletni, o opalonej na brąz mięsistej twarzy. Złożył lekki ukłon, który odnosił się także do K., podszedł potem do panny Montag i ucałował z uszanowaniem jej rękę. Ruchy jego były sprawne i swobodne. Jego grzeczność wobec panny Montag jaskrawo odbijała od traktowania, jakiego doznała od K. Panna Montag mimo to widocznie nie gniewała się na K., bo chciała go nawet, jak mu się zdawało, przedstawić kapitanowi. Ale K. nie chciał być przedstawiony, nie byłby w stanie być uprzejmym ani wobec kapitana, ani wobec panny Montag. W jego oczach

uciałowanie rąk, akt przymierza z kapitanem, stwierdzał jej przynależność do grupy, która, pod pozorem całkowitej niewinności i bezinteresowności, chciała go powstrzymać od panny Bürstner. K. nie tylko na tym się poznał, jak mu się zdawało, ale zrozumiał także, że panna Montag wybrała dobry, choć obosieczny środek. Przesadziła znaczenie stosunku między K. a panną Bürstner, przesadnie wytłumaczyła przede wszystkim znaczenie rozmowy, o którą prosił, i starała się równocześnie tak to obrócić, jak gdyby K. był tym, który w tym wszystkim przesadza. Zobaczy jednak, że jest w błędzie, K. nie chciał w niczym przesadzać, wiedział, że panna Bürstner jest tylko skromną stenotypistką, która nie mogła mu się długo opierać. Przy tym umyślnie nie brał w rachubę tego, czego się dowiedział o niej od pani Grubach. To wszystko rozważał, gdy prawie bez pożegnania opuszczał pokój. Chciał zaraz pójść do swego pokoju, ale cichy śmiech panny Montag, który usłyszał za sobą z jadalni, naprowadził go na myśl, że może sprawić obojgu, kapitanowi i pannie Montag, niespodziankę. Obejrzał się nasłuchując, czy może mu grozić przeszkoda ze strony któregoś z lokatorów. Wszędzie było cicho, słychać było tylko rozmowę z jadalni i głos pani Grubach z korytarza, który prowadził do kuchni. Sposobność zdawała się sprzyjać, K. podszedł do drzwi panny Bürstner i cicho zapukał. Ponieważ nic się nie ruszyło, zapukał jeszcze raz, ale wciąż bez odpowiedzi. Czy spała? Czy naprawdę była niezdrowa? Albo też ukryła się tylko przeczuwając, że jedynie K. może tak cicho pukać? K. przypuszczał, że się kryje, i zapukał silniej, wreszcie, ponieważ pukanie pozostało bez skutku, otworzył drzwi, ostrożnie i nie bez uczucia, że popełnia coś niewłaściwego, a na dobitkę daremnego. W pokoju nie było nikogo. Zresztą, nic tu nie przypominało pokoju, który znał. Pod ścianą ustawiono teraz dwa łóżka jedno za drugim, trzy krzesła w pobliżu drzwi zarzucone były sukniami i bielizną, jedna szafa stała otwarta. Panna Bürstner widocznie odeszła, w czasie gdy panna Montag zagadywała go w jadalni. K. nie był tym zaskoczony, nie spodziewał się już tak łatwo spotkać panny Bürstner, zrobił tę próbę prawie tylko na złość pannie Montag. Tym nieprzyjemniej mu się zrobiło, gdy zamykając z powrotem drzwi zauważył rozmawiających w otwartych drzwiach jadalni pannę Montag i kapitana. Może już tam stali od chwili, kiedy K. wchodził; unikali wszelkiego pozorów śledzenia K., rozmawiali cicho i spojrzeniami towarzyszyli jego ruchom, ale tylko tak, jak to się zwykle podczas rozmowy patrzy z roztargnieniem wokoło. Lecz spojrzenia te ciążyły mu przecież, spiesznie podążył do swego pokoju przesuwając się pod ścianą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Siepacz

Gdy K. jednego z następnych wieczorów przechodził przez korytarz, który oddzielał jego biuro od głównych schodów — wyszedł tym razem prawie ostatni do domu, tylko w ekspedycji pracowali jeszcze dwaj woźni w małym kręgu światła żarówki — usłyszał dochodzące zza jakichś drzwi, za którymi, jak zawsze przypuszczał, znajdowała się tylko rupieciarnia, westchnienia i jęki. Przystanął zdumiony i jeszcze raz nadstawił ucha, aby przekonać się, czy się nie omylił. Chwilę było cicho, ale potem znowu zaczęły się wzdychania. Początkowo chciał pójść po jednego z woźnych, myśląc, że może potrzebny będzie świadek, ale potem opanowała go taka nieposkromiona ciekawość, że gwałtownie szarpnął drzwi. Była to, jak słusznie przypuszczał, graciarnia. Stare, wycofane z użycia druki, wywrócone puste flaszki od atramentu leżały za progiem. W samej komorze zaś stali trzej mężczyźni schyleni w tym niskim pomieszczeniu. Przymocowana do półki świeca dawała im światło.

— Co wy tu wyrabiacie? — spytał K. załamującym się ze wzburzenia, choć przyciszonym głosem. Jeden z mężczyzn, który widocznie dowodził innymi i przyciągnął najpierw na siebie jego uwagę, tkwił w czymś w rodzaju ubrania z ciemnej skóry, które odsłaniało głęboko, aż do piersi, szyję i obnażało całe ramiona. Nie odpowiadał. Ale dwaj inni zawołali:

— Panie! Mamy być wychłostani, ponieważ poskarżyłeś się na nas przed sędzią śledczym.

Teraz dopiero rozpoznał K., że to rzeczywiście byli strażnicy Franciszek i Willem i że trzeci mężczyzna trzymał w ręku różgę, aby ich bić.

— Nie — rzekł K. i patrzył na nich osłupiały — nie poskarżyłem się, powiedziałem tylko, co się działo w moim mieszkaniu. A wasze zachowanie nie było przecież bez zarzutu.

— Panie — rzekł Willem, podczas gdy Franciszek widocznie starał się schronić za nim przed tym trzecim — gdyby pan wiedział, jak lichy jesteśmy opłacani, lepiej by pan o nas sądził. Ja mam rodzinę do wyżywienia, a Franciszek chciał się ożenić, człowiek stara się wzbogacić, jak może, samą tylko pracą nie można tego dopiąć, nawet najzmudniejszą. Skusiła mnie pańska cienka bielizna, naturalnie nie wolno

strażnikom tak postępować, to było bezprawie, ale jest już zwyczajem, że bielizna należy do strażników. Zawsze tak było, proszę mi wierzyć. I to jest przecież zrozumiałe, cóż jeszcze znaczą takie rzeczy dla tego, kto ma nieszczęście być uwięzionym? Gdy jednak ktoś mówi o tym publicznie, musi nastąpić kara.

— Tego, co teraz mówicie, nie wiedziałem, nie żądałem też absolutnie waszego ukarania, chodziło mi tylko o zasadę.

— Franciszku — zwrócił się Willem do drugiego strażnika — czy nie powiedziałem ci, że pan nie żądał naszego ukarania? Teraz słyszysz, on nawet nie wiedział, że musimy być ukarani.

— Nie daj się wzruszyć takim gadaniem — powiedział trzeci do K. — kara jest równie sprawiedliwa jak nieunikniona.

— Nie słuchaj go — rzekł Willem i przerwał, aby podnieść prędko do ust rękę, w którą dostał różgą — tylko dlatego karzą nas, żeś ty na nas zrobił doniesienie. Inaczej nic by się nam nie stało, nawet gdyby się dowiedziano, cośmy zrobili. Czy można to nazwać sprawiedliwością? My obaj, a zwłaszcza ja, przez długi czas okazywaliśmy się bardzo zdatnymi strażnikami — sam musisz przyznać, że z punktu widzenia władzy dobrześmy się sprawili — mieliśmy widoki na awans i bylibyśmy wkrótce na pewno zostali również siepaczami jak on, który właśnie ma to szczęście, że nikt na niego nie zrobił doniesienia, bo takie doniesienie rzeczywiście rzadko się zdarza. A teraz, panie, wszystko stracone, nasza kariera skończona, przyjdzie nam spełniać grubo gorsze roboty niż służba strażnicza, a ponadto dostajemy teraz te okropnie bolesne baty.

— Czy różga może powodować takie bóle? — spytał K. i spojrzał na różgę, którą siepacz przed nim wywijał.

— Będziemy się przecież musieli rozebrać do naga — powiedział Willem.

— Ach tak — rzekł K. i przyjrzał się dokładnie siepaczowi. Był opalony na brązowo jak marynarz i miał dziką świeżą twarz. — Czy nie ma możliwości oszczędzić tym ludziom różeg? — spytał go.

— Nie — rzekł siepacz i potrząsnął z uśmiechem głową. — Rozbierajcie się! — rozkazał strażnikom. A do K. powiedział: — Nie powinienesz im we wszystkim wierzyć, ze strachu przed biciem już trochę zgłupieli. Co ten tu na przykład — wskazał na Willema — opowiada o swojej ewentualnej karierze, jest wprost śmieszne. Popatrz, jaki on tłusty — pierwsze cięgi w ogóle zginą w tłuszczu. A wiesz, z czego jest taki tłusty? Ma zwyczaj zjadać śniadanie wszystkim aresztowanym. Czy nie zjadł także

twego śniadania? No, widzisz, przecież powiedziałem. Ale człowiek z takim brzuchem nie może przenigdy zostać siepaczem, to wykluczone.

— Są też i tacy siepacze — twierdził Willem, który właśnie odpinał swój pasek od spodni.

— Nie — powiedział siepacz i tak go ciął różgą przez szyję, że ten drgnął cały. — Ty się nie przysłuchuj, tylko rozbieraj.

— Wynagrodziłbym cię dobrze, gdybyś ich puścił — powiedział K. i wyjął pugilares, nie patrząc już na siepacza; takie interesy załatwia się obustronnie najlepiej ze spuszczonej oczami.

— A później zechcesz i mnie zadenuncjować — powiedział siepacz — i mnie także przyprawić o baty. Nie, nie!

— Bądź przecież rozsądny — powiedział K. — Gdybym chciał, by ci dwaj zostali ukarani, nie byłbym starał się ich teraz wykupić. Mógłbym po prostu zatrzaskać drzwi, nie chciałbym już nic słyszeć ani widzieć i pójść do domu; ale ja tego nie robię, przeciwnie, zależy mi poważnie na tym, by ich uwolnić. Gdybym był przeczuwał, że będą albo że tylko mogą być ukarani, nigdy bym nie wymienił ich nazwisk. Zupełnie nie uważam ich bowiem za winnych, winna jest organizacja, winni są wysocy urzędnicy.

— Tak jest! — zawołali strażnicy i natychmiast dostali różgą w już obnażone plecy.

— Gdybyś miał tu pod różgą jakiegoś wysokiego sędziego — powiedział K. i mówiąc przytrzymał różgę, która już znowu miała się podnieść — zaiste nie przeszkodziłbym ci uderzyć, przeciwnie, dałbym ci jeszcze pieniędzy, abyś do tej dobrej sprawy dołożył sił.

— To, co mówisz, brzmi wiarogodnie — powiedział siepacz — ale ja nie dam się przekupić. Jestem wynajęty do bicia, więc biję.

Strażnik Franciszek, który może w oczekiwaniu dobrego skutku interwencji K. zachowywał się dotychczas dość powściągliwie, ubrany już tylko w spodnie przystąpił do drzwi, klękając uwiesił się na ramieniu K. i szepnął:

— Jeśli nie możesz dokazać, by nas obu oszczędzono, to spróbuj przynajmniej mnie uwolnić. Willem jest starszy ode mnie, pod każdym względem mniej wrażliwy, odebrał też już raz przed kilkoma laty lekką chłostę, ale ja nie utraciłem jeszcze czci, to Willem doprowadził mnie do tego postępku, Willem, który w złym i dobrym jest moim mistrzem. Na dole przed bankiem czeka na moje wyjście moja biedna narzeczona, wstydę się tak okropnie.

Surdutem K. wytarł swoją całkiem łzami zalaną twarz.

— Nie czekam dłużej — powiedział siepacz, chwycił różgę obiema rękami i ciął Franciszka, podczas gdy Willem przykucnął w kącie i przypatrywał się ukradkiem nie śmiejąc ruszyć głową. Wtem podniósł się krzyk, wydał go Franciszek, był to krzyk nieprzerwany i niemodulowany, jakby pochodził nie od człowieka, tylko z zamęczonego instrumentu. Rozbrzmiał nim cały korytarz, cały dom musiał go słyszeć.

— Nie krzycz — zawołał K., nie mógł się pohamować i z natężeniem patrząc w kierunku, skąd mogli przyjść woźni, trącił Franciszka niezbyt mocno, ale na tyle mocno, że ten runął natychmiast na ziemię, bezprzytomny z bólu, kurczowo obłapiając podłogę. Nie uszedł jednak razów, różga dopadła go nawet na ziemi, gdy on wił się pod nią, jej koniec regularnie szedł w dół i w górę. I już ukazał się w dali jeden z woźnych, a parę kroków za nim drugi. K. prędko zatrzasnął drzwi, podszedł do pobliskiego okna wychodzącego na podwórze i otworzył je. Krzyk zupełnie ustał. Aby nie pozwolić zbliżyć się ludziom, zawołał:

— To ja jestem!

— Dobry wieczór, panie prokurencie — odkrzyknęli — czy coś się stało?

— Nie, nie — odpowiedział K. — to tylko szczeka pies na podwórzu. Gdy się jednak woźni nie ruszali, dodał:

— Możecie wrócić do waszej pracy.

Aby nie wdawać się w rozmowę z woźnymi, wychylił się przez okno. Gdy po chwili wyjrzał znowu na korytarz, już ich nie było. Ale K. został przy oknie, do graciarni nie miał już odwagi pójść, a wrócić do domu także nie chciał. Podwórze, na które z góry patrzył, było małe, czworokątne, wokół mieściły się lokale biurowe, wszystkie okna były już teraz ciemne, tylko najwyższe chwytaly odbłask księżyca. K. z natężeniem starał się rozedrzeć wzrokiem ciemność jednego kąta podwórza, w którym stłoczonych stało kilka taczek. Martwiło go, że nie udało mu się przeszkodzić chłóście, ale nie było jego winą, że mu się nie udało. Gdyby Franciszek nie krzyczał — pewnie musiało porządnie boleć, ale w decydującym momencie trzeba się opanować — gdyby więc nie krzyczał, byłby K. prawdopodobnie znalazł jeszcze środek do przekonania siepacza. Jeśli wszyscy najniżsi urzędnicy byli hołotą, dlaczego właśnie siepacz, który piastował najbardziej nieludzki urząd, miałby być wyjątkiem. K. dobrze widział, jak mu na widok banknotów zabłyśły oczy, był tak nieprzejednany widocznie tylko dlatego, aby jeszcze trochę podbić wysokość łapówki. A K. nie byłby poskąpił pieniędzy, rzeczywiście zależało mu na tym, by uwolnić strażników. Skoro już raz zaczął zwalczać korupcję tego sądownictwa, to było oczywiste, że musiał podejść także

i od tej strony. Ale z chwilą gdy Franciszek zaczął krzyżeć, wszystko się naturalnie skończyło. K. nie mógł dopuścić, by zbiegła się służba, a może także i inni ludzie i zaskoczyli go w chwili pertraktacji z towarzystwem z rupieciarni. Tego poświęcenia rzeczywiście nikt nie mógł od K. wymagać. Zamiast tego byłoby daleko prościej, gdyby K. sam się rozebrał i zaofiarował się siepaczowi w zastępstwie strażników. Zresztą siepacz na pewno nie przyjąłby tego zastępstwa, bo nic na tym nie zyskując naruszyłby mimo to ciężko swój obowiązek, i to podwójnie, gdyż jak długo K. pozostawał w stanie oskarżenia, był zapewne nietykalny dla wszystkich funkcjonariuszy sądu. Zresztą mogły tu istnieć jakieś szczególne przepisy. W każdym razie K. nie mógł nic innego zrobić, jak zatrzaskać drzwi, chociaż i przez to jeszcze nie było dlań zażegnane wszelkie niebezpieczeństwo. To, że na koniec pchnął jeszcze Franciszka, było godne pożałowania i dało się usprawiedliwić tylko jego wzburzeniem.

W oddali usłyszał kroki woźnych; aby nie wpaść im w oczy, zamknął okno i poszedł w kierunku schodów głównych. Przy drzwiach rupieciarni zatrzymał się chwilę i nasłuchiwał. Było całkiem cicho. Ten człowiek może już zachłostał strażników na śmierć, byli przecież całkowicie wydani jego władzy. K. wyciągnął już rękę po klamkę, ale zaraz ją cofnął. Pomóc nie mógł już nikomu, a woźni musieli zaraz nadejść; poprzysiął sobie jednak powrócić jeszcze do tej sprawy i o ile to tylko będzie w jego mocy, ukarać należycie właściwych winowajców, wysokich urzędników, z których jeszcze żaden nie odważył mu się pokazać. Schodząc po kamiennych schodach banku na ulicę, obserwował dokładnie wszystkich przechodniów, ale nawet w najdalszym zasięgu nie było widać żadnej dziewczyny, która by na kogoś czekała. To, co mówił Franciszek o tym, że jego narzeczona czeka na niego, okazało się wybaczalnym zresztą kłamstwem, które miało tylko na celu wzbudzenie większej litości.

Także i następnego dnia nie mógł K. przestać myśleć o strażnikach; przy pracy był roztargniony i aby się z nią uporać, musiał zostać w biurze jeszcze dłużej niż dnia poprzedniego. Gdy w drodze powrotnej przechodził koło rupieciarni, otworzył ją z przyzwyczajenia. To, co zamiast oczekiwanej ciemności zobaczył, zaparło mu oddech. Wszystko było bez zmiany, tak jak poprzedniego wieczora po otwarciu drzwi: druki i flaszki z atramentem zaraz za progiem, siepacz z różgą, kompletnie jeszcze rozebrani strażnicy, świeca na półce, a strażnicy zaczęli się żalić i wołać. — Panie! — K. Natychmiast zatrzaskał drzwi i uderzył w nie nadto pięściami, jakby chciał je jeszcze

lepiej zamknąć. Prawie z płaczem pobiegł do woźnych, którzy spokojnie pracowali przy powielaczach i zdziwieni przerwali robotę.

— Ależ sprzątnijcie wreszcie graciarnię — zawołał — przecież utoniemy w brudzie!

Woźni byli gotowi zrobić to następnego dnia. K. przytaknął, teraz późno wieczorem nie mógł już ich zmuszać do tej roboty, jak to właściwie zamierzał. Usiadł, aby pozostać jeszcze przez chwilę w pobliżu woźnych, przerzucił kilka kopii, przez co starał się wywołać wrażenie, że je przegląda, a ponieważ zrozumiał, że woźni nie odważą się wyjść z nim równocześnie, odszedł zmęczony, z pustką w głowie, do domu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wuj Leni

Jednego popołudnia — K. był właśnie bardzo zajęty przed wysyłką poczty — wcisnął się do pokoju między dwoma woźnymi przynoszącymi jakieś pisma wuj Karol, drobny obywatel ziemski z prowincji. K. nie przestraszył się już teraz tak bardzo na widok wuja, jak przeraziła go niedawna myśl o jego przyjeździe. Wuj musiał przybyć. K. uważał to prawie od miesiąca za pewnik. Już wtedy zdawało mu się, że go widzi, jak lekko schylony, z przygniecionym kapeluszem panama w lewej ręce już z daleka wyciąga do niego prawicę i na nic nie zważając podaje mu ją z pośpiechem przez biurko, przewracając wszystko, co stoi na drodze. Wuj zawsze się spieszył, ponieważ prześladowała go nieszczęsna myśl, że w ciągu z reguły tylko jednodniowego pobytu w stolicy musi wszystko, co przedsięwziął, załatwić, a równocześnie nie może pominąć żadnej nadarzającej się rozmowy, interesu czy przyjemności. K., który czuł się wobec niego jako swego byłego opiekuna szczególnie zobowiązany, musiał mu we wszystkim być pomocny, a prócz tego musiał używać mu noclegu. Zwykł go być nazywać „upiorem z prowincji”.

Zaraz po powitaniu — usiąść w fotelu, do czego K. go zapraszał, nie miał czasu — prosił o krótką rozmowę w cztery oczy.

— To jest konieczne — powiedział, z trudem przełykając słowa — konieczne dla mego uspokojenia.

K. natychmiast odesłał woźnych z pokoju z nakazem niewpuszczania nikogo.

— Co ja słyszę, Józefie? — zawołał wuj, gdy byli już sami; usiadł na stole i nie patrząc wcale przygniółł sobą różne papiery, aby lepiej siedzieć. K. milczał, wiedział, co teraz będzie, ale odprężony nagle po wyteżonej pracy, poddał się w pierwszej chwili przyjemnemu znużeniu i patrzył przez okno na przeciwległą stronę ulicy — ze swego miejsca mógł z niej widzieć tylko mały, trójkątny wycinek, fragment pustej ściany domu między dwiema wystawami sklepowymi.

— Ty patrzysz przez okno! — krzyczał wuj ze wzniesionymi ramionami. — Na miłość Boską, Józefie, odpowiedzże mi! Czy to prawda, czy to może być prawda?

— Kochany wuju — rzekł K. i otrząsnął się z roztargnienia — wcale nie wiem, czego ode mnie chcesz.

— Józefie — powiedział wuj tonem upomnienia — o ile wiem, zawsze mówiłeś prawdę. Czy mam uważać twoje ostatnie słowa za zły znak i pod tym względem?

— Przeczuwam, o co ci chodzi — odrzekł posłusznie K. — prawdopodobnie słyszałeś o moim procesie.

— Otóż to — odpowiedział wuj i powoli skinął głową — słyszałem o twoim procesie.

— Od kogo to? — spytał K.

— Erna mi o tym pisała — powiedział wuj. — Nie ma z tobą styczności, ty się niestety niewiele nią interesujesz, a mimo to dowiedziała się. Dziś dostałem list i naturalnie natychmiast przyjechałem. Z żadnego innego powodu, ten wydaje mi się dostateczny. Mogę ci odczytać ustęp, który ciebie dotyczy.

Wyjął list z portfelu.

— To tu. Pisze ona: „Józefa już dawno nie widziałam, ubiegłego tygodnia byłam w banku, ale Józef był tak zajęty, że nie zostałam doń dopuszczona; czekałam prawie godzinę, lecz musiałam potem wrócić do domu, bo miałam lekcję fortepianu. Chętnie byłabym z nim pomówiła, może innym razem znajdzie się sposobność. Na imieniny przysłał mi wielkie pudełko czekolady, bardzo to ładnie i uprzejmie z jego strony. Zapomniałam wtedy napisać Wam o tym, przypominałam to sobie dopiero teraz, kiedy mnie pytacie. Czekolada bowiem, musicie wiedzieć, natychmiast znika na pensji, ledwie sobie człowiek uświadomi, że ją dostał, już jej nie ma. Ale co się tyczy Józefa, chciałam Wam jeszcze coś powiedzieć. Jak zaznaczyłam, nie zostałam w banku do niego dopuszczona, ponieważ właśnie konferował z jakimś panem. Poczekawszy spokojnie jakiś czas spytałam jednego z woźnych, czy ta rozmowa długo jeszcze potrwa. Powiedział, że chyba długo, ponieważ chodzi tu prawdopodobnie o proces, który wytoczono panu prokurentowi. Spytałam, co to za proces, czy się nie myli, ale on odpowiedział, że nie myli się, że jest proces, i to nawet ciężki proces, ale więcej nic nie wie. On sam chętnie by pomógł panu prokurentowi, bo jest to pan dobry i sprawiedliwy, ale on nie wie, jak się ma do tego zabrać, i życzy mu tylko, by ujęły się za nim wpływowe osoby. To się też na pewno stanie i ostatecznie wszystko dobrze się skończy, lecz na razie, jak to wnosi z humoru pana prokurenta, sprawa wcale nie stoi dobrze. Nie przywiązywałam naturalnie wiele wagi do tych słów, starałam się też uspokoić tego głupiego woźnego, zabroniłam mu mówić o tym wobec innych i uważam to wszystko za bzdury. Mimo to byłoby dobrze, gdybyś Ty, Drogi Ojcze, zechciał w ciągu swojej najbliższej wizyty tę sprawę zbadać i jeśli zajdzie rzeczywiście potrzeba, interweniować w niej za pomocą Twych szerokich znajomości.

Gdyby jednak, co jest najprawdopodobniejsze, nie było to konieczne, będzie przynajmniej Twoja córka wkrótce mieć sposobność uściskania Cię ku swej wielkiej radości!”

— Dobre dziecko — powiedział wuj skończywszy czytać i otarł kilka łez.

K. przytaknął. Wskutek różnych przeszkód w ostatnich czasach zupełnie zapomniał o Ernie, zapomniał nawet o jej imieninach, a historia z czekoladą była widocznie w tym celu zmyślona, aby go wziąć w obronę przed wujem i ciotką. To go wzruszyło i czuł, że bilety do teatru, które postanowił odtąd regularnie jej przysyłać, nie będą na pewno dostateczną nagrodą, lecz do odwiedzin w pensjonacie i do rozmowy z młodą osiemnastoletnią gimnazjalistką nie był obecnie usposobiony.

— I co teraz powiesz? — spytał wuj, który dzięki listowi zapomniał o całym pośpiechu i zdenerwowaniu i przelatywał go powtórnie wzrokiem.

— Tak, wuju — powiedział K. — to jest prawda.

— Prawda? — zerwał się wuj. — Co jest prawdą? Jak to może być prawdą? Co za proces? Chyba nie proces karny?

— Proces karny — odpowiedział K.

— I ty tu siedzisz spokojnie, mając na głowie proces karny? — wołał wuj coraz głośniejsze.

— Im jestem spokojniejszy, tym lepiej to dla jego wyniku — powiedział K. znużony — nic się nie bój.

— To mnie nie może uspokoić — krzyczał wuj. — Józefie, kochany Józefie, pomyśl o sobie, o swoich krewnych, o naszym dobrym nazwisku! Byłeś dotychczas naszą chlubą, nie możesz stać się naszą hańbą. Twoja postawa — popatrzył na K. z przechyloną w bok głową — nie podoba mi się, tak nie zachowuje się ktoś niewinnie oskarżony, a czujący się jeszcze na siłach. Powiedz mi, tylko prędko, o co chodzi, bym ci mógł pomóc. Chodzi naturalnie o bank?

— Nie — powiedział K. i wstał — ale mówisz za głośno, kochany wuju, woźny stoi prawdopodobnie za drzwiami i podsłuchuje. To nie jest dla mnie przyjemne. Wyjdźmy raczej. Odpowiem ci potem na twoje pytania, jak tylko będę umiał. Ja wiem bardzo dobrze, żem winien zdać rachunek rodzinie.

— Słusznie! — krzyczał wuj. — Bardzo słusznie, śpiesz się tylko, Józefie, śpiesz się!

— Muszę tylko wydać jeszcze kilka zleceń — powiedział K. i zawołał telefonicznie do siebie swego zastępcę, który też wszedł po chwili. Wuj w swoim zdenerwowaniu wskazał mu ręką, że to K. kazał go wezwać, co zresztą i tak nie ulegało

wątpliwości. K. stojąc przed biurkiem i biorąc do ręki różne papiery tłumaczył cicho młodemu, chłodno, ale uważnie słuchającemu człowiekowi, co trzeba jeszcze dziś pod jego nieobecność załatwić. Wuj tymczasem przeszkadzał mu przez to, że stał z szeroko otwartymi oczyma, nerwowo zagryzając wargi, nie przysłuchując się zresztą, ale już same pozory przysłuchiwania się dostatecznie krępowały. Potem zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem, raz po raz przystawał przed oknem czy przed którymś z obrazów, przy czym wciąż mu się wyrzywały z ust okrzyki: — To dla mnie zupełnie niepojęte! — albo: — Chciałbym teraz wiedzieć, co z tego wyniknie! — Młody człowiek zachowywał się tak, jakby nic z tego nie zauważył, spokojnie wysłuchał do końca zleceń K., zanotował sobie niektóre i odszedł, ukłoniwszy się zarówno K., jak i wujowi, który właśnie odwrócił się do niego plecami, patrzył przez okno i w wyciągniętych rękach miał firanki. Ledwo się drzwi zamknęły, już wuj wykrzyknął:

— Wreszcie poszedł sobie ten pajac, teraz możemy i my wyjść. Wreszcie!

Niestety, nie można było skłonić wuja, by w hallu, gdzie stało wokół kilku urzędników i woźnych i którądy właśnie przechodził zastępca dyrektora, zaprzestał dalszych pytań w sprawie procesu.

— A wiec, Józefie — zaczął wuj, odpowiadając lekkim skinieniem na ukłony wokół stojących — teraz powiedz mi otwarcie, co to jest za proces.

K. zrobił kilka nic nie mówiących uwag, pośmiał się też trochę i dopiero na schodach wytłumaczył wujowi, że nie chciał mówić otwarcie przy ludziach.

— Słusznie — powiedział wuj — ale teraz mów. Schyliwszy głowę, pałac szybko i nerwowo cygaro słuchał.

— Przede wszystkim, wuju — powiedział K. — nie chodzi tu wcale o proces przed zwykłym sądem.

— To źle — powiedział wuj.

— Co? — spytał K. i popatrzył na wuja.

— To źle, uważam — powtórzył wuj.

Stali na schodach, które prowadziły na ulicę. Ponieważ portier zdawał się przysłuchiwać, K. pociągnął wuja do wyjścia, gdzie zaraz wchłonął ich w siebie żywy ruch uliczny. Wuj, który się uwiesił na ramieniu K., nie wypytywał się już tak natarczywie o proces. Szli nawet jakiś czas w milczeniu.

— Ale jak to się stało? — spytał wreszcie wuj, przystając tak nagle, że idący za nim ludzie wymijali ich z przerażeniem. — Takie sprawy nie przychodzą przecież nagle, one przygotowują się od dawna, musiały być jakieś oznaki. Dlaczegoś mi o tym nie pisał? Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko, jestem poniekąd jeszcze twoim

opiekunem i po dziś dzień byłem dumny z tego. Naturalnie i teraz jeszcze ci pomogę, tylko obecnie, gdy proces jest już w toku, to bardzo trudno. W każdym razie byłoby najlepiej, gdybyś sobie wziął teraz krótki urlop i przyjechał do mnie na wieś. Trochę też schudłeś, teraz dopiero to widzę. Na wsi wzmocnisz się, to ci się przyda, masz na pewno przed sobą jeszcze dość trudów. Ponadto usuniesz się trochę z oczu sądowni. Tutaj mają oni w swym ręku wszystkie możliwe środki władzy i z konieczności stosują je automatycznie także w stosunku do ciebie, ale na wieś musieliby dopiero delegować organa albo usiłując wpływać na ciebie czyniliby to tylko listownie, telegraficznie lub telefonicznie. To osłabia już naturalnie oddziaływanie sądu, nie przynosi ci wprawdzie wolności, ale pozwala odetchnąć.

— Mogliby mi zabronić wyjechać — powiedział K., który skłaniał się już trochę do projektu wuja.

— Nie sędzę, aby mieli to zrobić — rzekł wuj z namysłem — przez twój wyjazd władza ich nie poniesie jeszcze uszczerbku.

— Myślałem — rzekł K. i wziął wuja pod rękę, aby mu przeszkodzić w przystawaniu — że ty jeszcze mniej ode mnie przypiszesz wagi temu wszystkiemu, a teraz sam bierzesz to tak poważnie.

— Józefie — zawołał wuj i chciał mu się wywinąć, by móc przystanąć, lecz K. nie puścił go — zmieniłeś się, miałeś przecież zawsze taki jasny sąd, a właśnie teraz tracisz go! Czy chcesz przegrać proces? Wiesz, co to znaczy? Znaczy to, że będziesz po prostu przekreślony. I wszyscy krewni zostaną w to wciągnięci albo przynajmniej do dna upokorzeni. Józefie, opamiętaj się. Twoja obojętność doprowadza mnie do rozpacz. Gdy na ciebie patrzę, mam wprost ochotę uwierzyć przysłowiu: „Mieć taki proces, znaczy już go przegrać”.

— Kochany wuju — powiedział K. — zdenerwowanie jest zbyt częste tak z twojej, jak i z mojej strony. Zdenerwowaniem nie wygrywa się procesu, uznaj w pewnej mierze i moje praktyczne doświadczenia, jak ja uznaję twoje, które zawsze cenilem i cenię także teraz nawet, choć mnie niekiedy dziwią. Ponieważ powiadasz, że przez proces ucierpi i rodzina — czego ja ze swej strony, ale to rzecz uboczna, zupełnie nie mogę pojąć — chętnie we wszystkim cię usłucham. Mimo wszystko nie uważam pobytu na wsi za wskazany, nawet w tym sensie, w jakim ty to sobie wyobrażasz, po prostu dlatego, że uważano by to za ucieczkę i przyznanie się do winy. I choć jestem tu bardziej prześladowany, mogę za to sam więcej zajmować się tą sprawą.

— Słusznie — powiedział wuj tonem, jak gdyby teraz wreszcie się porozumieli.
— Podaliśmy ten projekt dlatego, że jeśli tu zostaniesz, zepsujesz sprawę przez swoją

obojętność, i za lepsze uważam, jeśli zamiast ciebie sam będę koło niej zabiegał. Ale jeśli sam zechcesz poprowadzić ją energicznie, tym lepiej.

— Więc zgadzamy się — rzekł K. — A czy masz teraz jakiś plan, co w najbliższym czasie zrobić?

— Najpierw muszę się oczywiście nad tym zastanowić — powiedział wuj — trzeba wziąć pod uwagę, że od dwudziestu lat bez przerwy siedzę na wsi, co osłabia trochę przenikliwość w takich sprawach. Różne cenne kontakty z osobami, które się w tym lepiej orientują, rozluźniły się same przez się. Na wsi jestem trochę osamotniony, to przecież wiesz. Samemu zauważa się to dopiero w takich okolicznościach. Trochę zaskoczyła mnie też twoja sprawa, mimo że przeczuwałem coś podobnego z listu Erny, a dziś na twój widok upewniłem się zupełnie. Ale to obojętne, najważniejsze teraz jest nie tracić czasu.

Jeszcze mówiąc to stanął na palcach, skinął na jakieś auto i podając szoferowi adres równocześnie wciągnął K. za sobą do auta.

— Jedziemy teraz do adwokata Hulda — powiedział — to był mój kolega szkolny. I ty znasz pewnie to nazwisko? Nie? To dziwne. On ma przecież jako obrońca i adwokat dla ubogich znaczny rozgłos. Co do mnie, mam do niego szczególnie wielkie zaufanie jako do człowieka.

— Zgadzam się na wszystko, cokolwiek zechcesz przedsięwziąć — powiedział K., mimo że spieszny i nagły sposób, w jaki wuj podchodził do sprawy, żenował go. Nie było miło jechać jako oskarżony do adwokata dla ubogich. — Nie wiedziałem — powiedział — że w takiej sprawie można sobie wziąć adwokata.

— Ależ naturalnie — powiedział wuj — przecież to rozumie się samo przez się. Dlaczego nie? A teraz opowiedz mi, abym był dokładnie poinformowany, wszystko, co dotyczący zaszło.

K. zaczął natychmiast opowiadać, nic nie zatajając, całkowita otwartość była jedynym protestem, na który sobie pozwolił wobec zapatrywania wuja, że proces jest wielką hańbą. Nazwisko panny Bürstner wymienił tylko raz i przelotnie, ale to nie przynosiło uszczerbku jego szczerości, ponieważ panna Bürstner nie miała żadnego związku z procesem. Opowiadając wyglądał przez okno i zauważył, że właśnie zbliżają się do owego przedmieścia, gdzie były kancelarie sądowe, na co zwrócił uwagę wuja, ale ten nie widział w tym zbiegu okoliczności nic nadzwyczajnego. Auto zatrzymało się przed jakąś ciemną kamienicą. Wuj zadzwonił zaraz do pierwszych drzwi na parterze. Podczas gdy czekali, wyszczerzył w uśmiechu swoje duże zęby i szepnął:

— Ósma godzina, dość niezwykła pora na przyjmowanie stron. Ale Huld nie weźmie mi tego za złe.

W okienku ukazało się dwoje wielkich, czarnych oczu. Patrzyły chwilę na obu gości, a potem znikły; jednak drzwi się nie otworzyły. Wuj i K. wzajemnie potwierdzili sobie, że widzieli tych dwoje oczu.

— Nowa pokojówka, która boi się obcych — powiedział wuj i jeszcze raz zapukał. Znowu zjawiły się oczy, wydawały się teraz prawie smutne, być może, było to jednak złudzenie wywołane przez otwarty płomień gazowy, który palił się, silnie sycząc, tuż nad ich głową, ale dawał mało światła.

— Proszę otworzyć — wołał wuj i uderzył pięścią w drzwi — jesteśmy przyjaciółmi pana adwokata!

— Pan mecenas jest chory — dał się słyszeć jakiś szept.

W drzwiach, na drugim końcu małego korytarza, stał jakiś pan w szlafroku i oznajmił to nadzwyczaj cichym głosem. Wuj, który był już wściekły z powodu długiego czekania, obrócił się gwałtownie i zawołał:

— Chory? Pan mówi, że on jest chory? — I ruszył na niego groźnie, jak gdyby on sam był tą chorobą.

— Już otworzono — powiedział ów pan, wskazał na drzwi adwokata, owinął się mocniej szlafrokiem i znikł.

Rzeczywiście drzwi się otworzyły, młoda dziewczyna — K. rozpoznał jej ciemne, trochę wypukłe oczy — stała w długim, białym fartuchu w przedpokoju i trzymała świecę w ręku.

— Na drugi raz trzeba prędzej otwierać — powiedział wuj zamiast powitania, gdy dziewczyna zrobiła lekki dyg. — Chodź, Józefie — powiedział potem do K., który przesunął się powoli obok dziewczyny.

— Pan mecenas jest chory — powiedziała dziewczyna, ponieważ wuj nie zatrzymując się śpieszył wprost do jakichś drzwi. K. przypatrywał się jeszcze z ciekawością dziewczynie, gdy ta już się odwróciła, aby z powrotem zamknąć drzwi. Miała okrągłą twarz jak lalka, nie tylko blade policzki i broda, ale także skronie i brzeg czoła zaokrąglały się lalkowato.

— Józefie — zawołał znowu wuj, a dziewczyny spytał się: — Choroba serca?

— Tak myślę — odpowiedziała dziewczyna, która zdążyła wyprzedzić ich ze świecą i otworzyć drzwi.

W kącie pokoju, do którego jeszcze nie dotarło światło świecy, podniosła się z łóżka jakaś twarz z długą brodą.

— Leni, kto tu idzie? — spytał adwokat, którego razila świeca, tak że nie poznawał gości.

— Albert, twój stary przyjaciel — powiedział wuj.

— Ach, Albert — odrzekł adwokat i opadł na poduszki, jakby wobec tego gościa nie musiał silić się na udawanie.

— Czy rzeczywiście jest tak źle? — spytał wuj i siadł na brzegu łóżka. — Nie sądzę. To jest nawrót twojej choroby serca i przejdzie tak jak poprzednie.

— Możliwe — powiedział cicho adwokat — ale tym razem jest gorzej niż zawsze. Oddycham ciężko, nie sypiam w ogóle i z dnia na dzień opadam z sił.

— Więc to tak — powiedział wuj i swą wielką ręką silnie przycisnął kapelusz panama do kolan. — To złe wiadomości. Czy masz przynajmniej odpowiednią opiekę? Tak tu smutno, tak ciemno. Po raz ostatni byłem tu już bardzo dawno temu, wtedy wydawało mi się tu przyjemniej. Także i twoja panienka nie wydaje się bardzo wesoła albo przynajmniej udaje smutek.

Dziewczyna stała wciąż jeszcze ze świecą blisko drzwi; o ile to można było poznać z jej nieokreślonego spojrzenia, patrzyła raczej na K. niż na wuja, nawet gdy ten o niej mówił. K. oparł się na krzesło, które sobie przysunął blisko dziewczyny.

— Gdy się jest tak chorym jak ja — powiedział adwokat — musi się mieć spokój. Mnie tu nie jest smutno. Po chwili dodał:

— A Leni dobrze mnie pielęgnuje, dzielna dziewczyna.

Ale wuja nie mogło to przekonać, był widocznie do pielęgniarce uprzedzony i choć nic nie odpowiedział choremu, wodził za nią surowym spojrzeniem, obserwując, jak przystąpiła do łóżka, postawiła świecę na stoliku nocnym, pochyliła się nad chorym i szeptała do niego poprawiając poduszki. Zapomniał prawie o względach winnych choremu, wstał, chodził za pielęgniarce tam i z powrotem i K. nie byłby zdziwiony, gdyby ją był chwycił z tyłu za spódnicę i odciągnął od łóżka. K. sam przypatrywał się wszystkiemu spokojnie, choroba adwokata była mu prawie na rękę, nie mógł się przeciwstawić gorliwości, jaką rozwinał wuj dla jego sprawy, ale chętnie powitał przeszkodę, na jaką bez jego współudziału natknęła się ta gorliwość. Wtem odezwał się wuj, może tylko w tym celu, by obrazić pielęgniarce:

— Panienko, proszę nas na chwilę zostawić samych, mam omówić z moim przyjacielem pewną osobistą sprawę.

Pielęgniarka, która była wciąż jeszcze pochyłona nad chorym i właśnie wyglądała prześcieradło tuż przy ścianie, odwróciła tylko głowę i powiedziała

całkiem spokojnie, co stanowiło rażący kontrast z hamowanym przez wściekłość, wybuchowym głosem wuja.

— Pan widzi, że mecenas jest chory i nie może omawiać żadnych spraw.

Widocznie tylko dla wygody powtórzyła słowa wuja, jednak nawet ktoś nie zainteresowany mógł to poczytać za ironię i wuj zerwał się oczywiście jak ukłuty.

— Ty diablico — powiedział jeszcze dość niewyraźnie, krztusząc się ze zdenerwowania. K. zląkł się, mimo że czegoś podobnego oczekiwał, i podbiegł do wuja, zdecydowany zamknąć mu rękami usta. Na szczęście podniósł się chory, wuj zrobił ponurą minę, jakby połknął coś obrzydliwego, i powiedział potem spokojnie: — Myśmy naturalnie także jeszcze nie stracili rozumu. Gdyby to, czego żądam, nie było możliwe, nie żądałbym tego. Proszę teraz odejść.

Pielęgniarka stała wyprostowana przy łóżku, zwrócona całą twarzą do wuja, jedną ręką głaskała, jak się K. zdawało, rękę adwokata.

— Przy Leni możesz mówić o wszystkim — powiedział adwokat najwyraźniej tonem usilnej prośby.

— Nie mnie to dotyczy — powiedział wuj — nie o moją tajemnicę chodzi — i odwrócił się, jak gdyby nie zamierzał już wchodzić w żadne układy, ale zostawiał jeszcze trochę czasu do namysłu.

— Kogo to dotyczy? — spytał adwokat przygasłym głosem i znowu się położył.

— Mego siostrzeńca — powiedział wuj — dlatego go tu sprowadziłem.

— I zaraz przedstawił: — Prokurent Józef K.

— Och — ożywił się chory i wyciągnął do K. rękę — przepraszam, wcale pana nie zauważyłem. — Idź, Leni — powiedział potem do pielęgniarki, która się już nie ociągała, i podał jej rękę, jakby się żegnał na dłuższy czas. — Więc ty nie przyszedłeś odwiedzić mnie w chorobie — powiedział wreszcie do wuja, który zbliżył się udobruchany — ale masz interes. — Wydawało się, jak gdyby myśl, że odwiedzają go tylko jako chorego, paraliżowała go dotąd, a teraz nagle nabrał sił. Siedział wsparty na łokciu, co musiało być dość natężające, i skubał wciąż jakiś kosmyk w swojej brodzie.

— Już wyglądasz o wiele zdrowiej — powiedział wuj — odkąd wyniosła się ta wiedźma. — Przerwał i szepnął: — Idę o zakład, że podsłuchuje! — i skoczył do drzwi. Lecz za drzwiami nie było nikogo, wuj wrócił nie tyle rozczarowany, ile rozgoryczony, bo fakt, że nie podsłuchiwała, wydawał mu się jeszcze większą złośliwością.

— Nie doceniasz jej — powiedział adwokat, nie wdając się już w obronę pielęgniarki; może chciał tym wyrazić, że nie potrzebuje ona obrony. Ale w o wiele cieplejszym tonie mówił dalej: — Co się tyczy sprawy twego siostrzeńca, to czułbym

się w każdym razie szczęśliwy, gdyby moje siły sprostały temu nadzwyczaj ciężkiemu zadaniu. Bardzo się boję, że nie sprostaję, tak czy owak niczego nie zaniedbam. Jeśli ja nie podołam, można będzie wziąć jeszcze kogo innego. Mówiąc szczerze, zanadto mnie ta sprawa interesuje, abym potrafił zrezygnować z wszelkiego w niej udziału. Jeśli moje serce nie wytrzyma, znajdzie przynajmniej godną okazję, aby odmówić mi posłuszeństwa.

K. miał uczucie, że nie rozumie ani słowa z tej całej mowy, popatrzył na wuja, aby znaleźć jakieś wyjaśnienie, ale ten siedział ze świecą w ręku na szafce nocnej, z której już potoczyła się na dywan flaszka z lekarstwem, i przytakiwał wszystkiemu, co mówił adwokat, ze wszystkim się godził i spoglądał od czasu do czasu na K. z wezwaniem do takiej samej zgody. Może wuj już przedtem opowiadał adwokatowi o procesie? Ale to było niemożliwe, wszystko, co przedtem zaszło, przeczyło temu.

— Nie rozumiem — powiedział zatem K.

— Ach, więc to może ja pana źle zrozumiałem? — spytał adwokat, równie zdziwiony i zmieszany jak K. — Może się zanadto pośpieszyłem? O czymże chciał pan ze mną mówić? Myślałem, że chodzi o pański proces?

— Naturalnie — powiedział wuj i spytał K.: — Czego ty chcesz?

— Tak, ale skąd pan wie o mnie i o moim procesie? — zapytał K.

— Ach tak — powiedział z uśmiechem adwokat — przecież jestem adwokatem, obracam się w sferach sądowych, mówi się tam o wielu procesach, a ciekawsze pamięta się, zwłaszcza jeśli dotyczą siostrzeńca przyjaciela. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

— Czego ty chcesz? — spytał wuj jeszcze raz. — Jesteś taki niespokojny.

— Pan obraca się w sferach sądowych? — spytał K.

— Tak — odpowiedział adwokat.

— Pytasz jak dziecko — rzekł wuj.

— Z kimże miałbym obcować, jak nie z ludźmi mego fachu — dodał adwokat. Brzmiało to tak nieodparcie, że K. nie odpowiedział.

„Ależ pan pracuje w sądzie w pałacu sprawiedliwości, a nie w tym na strychu” — chciał powiedzieć, lecz nie mógł się przemóc, by powiedzieć to rzeczywiście.

— Pan musi zrozumieć — ciągnął dalej adwokat takim tonem, jak gdyby mimochodem i zbyt cicho tłumaczył coś, co się samo przez się rozumie — pan musi zrozumieć, że ja także ciągnę z takich stosunków wiele korzyści dla mojej klienteli, i to pod wielu względami, trudno długo to panu tłumaczyć. Naturalnie teraz przeszkadza mi trochę moja choroba, ale mimo to odwiedzają mnie dobrzy przyjaciele z sądu i

jednak dowiaduję się o tym i owym. Dowiaduję się może nawet więcej od innych, którzy w najlepszym zdrowiu spędzają cały dzień w sądzie. Tak na przykład właśnie teraz mam taką miłą wizytę. — I wskazał w ciemny kąt pokoju.

— Gdzież to? — zapytał K., zaskoczony w pierwszej chwili, prawie gburowato. Oglądał się niepewnie wokoło, światło małej świecy nie docierało do przeciwległej ściany. I rzeczywiście zaczęło się coś tam w kącie ruszać. W świetle świecy, którą wuj trzymał teraz wysoko, widać tam było siedzącego przy małym stoliku starszego pana. Chyba wcale nie oddychał, skoro pozostał tak długo nie zauważony. Teraz wstawał zakłopotany, widocznie niezadowolony z tego, że zwrócono na niego uwagę. Tak wyglądało, jakby rękami, którymi poruszał jak krótkimi skrzydłami, odpierał wszelkie prezentacje i powitania, jakby w żaden sposób nie chciał innym przeszkadzać swoją osobą i jakby prosił usilnie, by go zostawiono z powrotem w ciemności i o obecności jego zapomniano. Ale na to nie można było się teraz zgodzić.

— Panowie nas trochę zaskoczyli — powiedział adwokat na wyjaśnienie i kiwnął zachęcająco na owego pana, by się przybliżył, co ten zrobił powoli, ociągając się i rozglądając się wokół, a jednak z pewną godnością. — Pan dyrektor kancelarii — ach tak, przepraszam, nie przedstawiłem... to mój przyjaciel Albert K., to jego siostrzeniec, prokurent Józef K., a to pan dyrektor kancelarii — otóż pan dyrektor był tak uprzejmy odwiedzić mnie. Wartość tej wizyty potrafi właściwie ocenić tylko wtajemniczony, który wie, jak bardzo drogi pan dyrektor zavalony jest robotą. A jednak przyszedł, rozmawialiśmy spokojnie, o ile na to pozwalała moja słabość, nie zabroniliśmy wprawdzie Leni wpuszczać klientów, bo nie spodziewaliśmy się żadnych, mieliśmy ochotę zostać we dwójkę, lecz potem, Albercie, przyszło twoje walenie pięścią, pan dyrektor cofnął się z krzesłem i stołem do kąta, a teraz okazuje się, że, być może, jeśli trwacie przy waszym życzeniu, mamy do omówienia wspólną sprawę i możemy z powrotem usiąść razem.

— Panie dyrektorze — powiedział ze schyloną głową i unizonym uśmiechem i wskazał na krzesło z oparciem w pobliżu swego łóżka.

— Niestety, mogę zostać tylko jeszcze kilka minut — powiedział dyrektor kancelarii uprzejmie, rozsiadł się szeroko w fotelu i popatrzył na zegar. — Interesy wzywają mnie. W każdym razie nie chcę przepuścić sposobności poznania przyjaciela mego przyjaciela.

Sklonił lekko głowę w kierunku wuja, który zdawał się bardzo zadowolony z nowej znajomości, ale miał taką naturę, że nie umiał wyrażać unizoności i przyjął słowa dyrektora zakłopotanym, lecz głośnym śmiechem. Obrzydliwy widok! K. mógł

spokojnie obserwować wszystko, bo nikt się nim nie zajmował. Dyrektor, jak to widocznie było w jego zwyczaju, zwłaszcza że go już wyciągnięto na światło, objął przewodnictwo rozmowy, adwokat, którego pierwotna słabość miała może tylko temu służyć, by odeprzeć nową wizytę, przysłuchiwał się uważnie z ręką przy uchu, wuj, który objął opiekę nad świecą i balansował nią na udzie — adwokat często patrzył na to z obawą — wkrótce pozbył się zakłopotania i był teraz zachwycony tak sposobem mówienia dyrektora, jak i łagodnymi falistymi ruchami rąk, towarzyszącymi jego słowom. K., wsparty o poręcz łóżka i może naumyślnie całkowicie zaniedbywany przez dyrektora, służył starszym panom tylko jako słuchacz. Zresztą prawie nie wiedział, o czym była mowa, i myślał już to o pielęgniarce i o złym traktowaniu, jakie ją spotkało ze strony wuja, już to o tym, czy nie widział już raz dyrektora, może nawet na zebraniu w czasie pierwszego przesłuchania. Może się mylił, ale ten pan znakomicie pasował do tych uczestników zgromadzenia, którzy siedzieli w pierwszym rzędzie, do starych panów o rzadkich brodach.

Nagle wszyscy nastawili uszu na dochodzący z przedpokoju dźwięk, jakby dźwięk stłuczonej porcelany.

— Pójdę popatrzeć, co się stało — powiedział K. i wyszedł powoli, jakby dawał jeszcze pozostałym sposobność wstrzymania siebie. Ledwie wszedł w korytarz i chciał się zorientować w ciemności, gdy na jego ręce, którą jeszcze trzymał na klamce, spoczęła jakaś mała ręka, o wiele mniejsza od jego dłoni, i cicho zamknęła drzwi. Była to pielęgniarka, która tu czekała.

— Nic się nie stało — szepnęła — rzuciłam tylko talerz o ścianę, aby pana zmusić do wyjścia.

W swoim zakłopotaniu K. powiedział:

— Ja także myślałem o pani.

— Tym lepiej — rzekła pielęgniarka — chodź pan.

Po kilku krokach doszli do jakichś drzwi z matowego szkła, które pielęgniarka otworzyła przed K.

— Niechże pan wejdzie — rzekła. Był to gabinet adwokata. O ile można było widzieć w świetle księżyca, które tworzyło teraz na podłodze jasne czworokąty przed trzema wielkimi oknami, wyposażony on był w ciężkie stare meble.

— Tutaj — powiedziała pielęgniarka i wskazała na ciemną ozdobną skrzynię z rzeźbioną w drzewie poręczą.

Siadając rozglądał się jeszcze wokoło. Był to wysoki, duży pokój, klientela adwokata ubogich musiała tu czuć całą swoją nędzę i nicość. K. zdawało się, że słyszy

drobne kroki, którymi klienci posuwali się do potężnego biurka. Ale potem zapomniał o tym i widział już tylko pielęgniarkę, która siedziała całkiem blisko niego, przypierając go prawie do bocznej poręczy.

— Myślałam — powiedziała — że pan sam do mnie wyjdzie bez mego wywoływania. Przecież to było dziwne. Najpierw przyglądał mi się pan zaraz przy wejściu prawie bez przerwy, a potem kazał mi pan czekać. Proszę mnie zresztą nazywać Leni — dodała prędko i bez związku, jakby szkoda było tracić każdą chwilę tej rozmowy.

— Chętnie — powiedział K. — To jednak, co się pani, Leni, wydaje dziwne, można łatwo wyjaśnić. Po pierwsze, musiałem słuchać gadania tych starych panów i nie mogłem wybiec bez powodu, po wtóre, nie jestem zuchwały, tylko raczej nieśmiały i doprawdy także pani, Leni, wcale nie wyglądała tak, jakby ją można było zdobyć jednym zamachem.

— Nie w tym rzecz — powiedziała Leni, położyła ramię na poręczy i patrzyła na K. — Ale nie podobałam się panu i prawdopodobnie nie podobam się także i teraz.

— Podobać się to jeszcze niewiele — powiedział wymijająco K.

— Och! — odrzekła z uśmiechem i przez uwagę K. oraz przez ten drobny okrzyk zyskała pewną przewagę. K. milczał dlatego przez chwilę. Ponieważ przyzwyczaił się już do ciemności w pokoju, mógł rozróżnić niektóre szczegóły urządzenia. Zwrócił uwagę zwłaszcza na wielki obraz, który wisiał na prawo od drzwi, i nachylił się do przodu, aby go lepiej widzieć. Przedstawiał on mężczyznę w todze sędziowskiej; siedział na wysokim tronowym krześle, którego złocenia w wielu miejscach połyskiwały na obrazie. Niezwykłe było to, że ten sędzia nie siedział tam spokojnie i z godnością, tylko lewą ręką silnie przyciskał do tylnej i bocznej poręczy, a prawe ramię miał zupełnie wolne i jedynie dłonią obejmował boczną poręcz, jakby chciał za chwilę zerwać się gwałtownym, pełnym może oburzenia ruchem, aby powiedzieć jakieś decydujące słowo lub może nawet ogłosić wyrok. Oskarżonego można sobie było wyobrazić u stóp schodów, których najwyższe, żółtym dywanem wysłane stopnie widać jeszcze było na obrazie.

— Może to jest mój sędzia — powiedział K. i pokazał palcem na obraz.

— Ja go znam — rzekła Leni i także spojrzała na obraz. — On tu nieraz przychodzi. Obraz pochodzi z jego młodości, ale on nigdy nie mógł być nawet podobny do tego portretu, bo on jest prawie całkiem malutki. Mimo to dał się na obrazie tak wydłużyć, gdyż jest niedorzecznie próżny, jak wszyscy tu. Ale i ja jestem próżna i bardzo niezadowolona z tego, że się panu wcale nie podobam.

Na ostatnią uwagę odpowiedział K. tylko w ten sposób, że objął Leni i przyciągnął ją do siebie. Oparła cicho głowę na jego ramieniu. Wracając do poprzedniej rozmowy, spytał:

— Jaki on ma stopień?

— On jest sędzią śledczym — powiedziała, chwyciła rękę K., który ją trzymał w objęciu, i bawiła się jego palcami.

— Znowu tylko sędzia śledczy — powiedział K. rozczarowany — wysocy urzędnicy ukrywają się. Ale on siedzi przecież na tronie.

— To wszystko jest zmyślane — powiedziała Leni, pochyliwszy twarz nad ręką K. — W rzeczywistości siedzi na stołku kuchennym, na którym leży złożona stara końska derka. Ale czy musi pan bezustannie myśleć o swoim procesie? — dodała powoli.

— Nie, wcale nie — rzekł K. — ja prawdopodobnie nawet za mało o nim myślę.

— Nie ten błąd pan popełnia — powiedziała Leni — słyszałam, że jest pan zanadto nieustępliwy.

— Kto to powiedział? — spytał K.; czuł jej ciało na swojej piersi i patrzył na jej bujne, ciemne, silnie skręcone włosy.

— Za wiele bym zdradziła, gdybym to powiedziała — odrzekła Leni.

— Niech się pan nie wypytuje o nazwiska, tylko naprawi swój błąd, niech pan już nie będzie taki nieustępliwy, przed tym sądem nie można się przecież obronić, trzeba złożyć zeznanie. Niech pan złoży zeznanie przy najbliższej sposobności. Dopiero potem istnieje możliwość wymknięcia się, dopiero potem. Jednak nawet i to jest niemożliwe bez obcej pomocy, ale o tę pomoc nie potrzebuje się pan trapić, sama gotowa jestem udzielić jej panu.

— Pani się dobrze zna na tym sądzie i na kruczkach, które tu są konieczne — powiedział K. i podniósł ją, ponieważ zanadto na niego napierała, na kolana.

— Tak jest dobrze — powiedziała i usadowiła się wygodnie na jego kolanach, wygładziła spódnicę i obciągnęła bluzkę. Potem uwiesiła się obiema rękami na jego szyi, przechyliła się w tył i długo wpatrywała się w niego.

— A jeśli nie złożę zeznania, to wtedy nie może mi pani pomóc? — spytał na próbę.

„Werbuję sobie pomocnicę — pomyślał prawie zdumiony — najpierw panna Bürstner, potem żona woźnego sądowego, a wreszcie ta mała pielęgniarka, która ma na mnie jakąś niepojętą ochotę. Jak ona tu sobie siedzi na moich kolanach, jakby to było jedyne, dla niej stworzone miejsce!”

— Nie — odpowiedziała Leni i potrząsnęła powoli głową — wtedy nie mogę panu pomóc. Ale pan wcale nie pragnie mojej pomocy, nic panu na tym nie zależy, pan jest uparty i nie daje się przekonać. Czy ma pan kochankę? — spytała po chwili.

— Nie — rzekł K.

— Ejże, chyba jednak tak! — powiedziała.

— Tak, rzeczywiście — przyznał K. — i pomyśleć tylko, że wypieram się jej, a mam nawet jej fotografię przy sobie.

Na jej prośbę pokazał fotografię Elzy. Skulona na jego kolanach przyglądała się fotografii. Było to zdjęcie migawkowe, Elza była uchwycona w tańcu wirowym, który chętnie tańczyła w winiarni, spódnica latała jeszcze wokół niej łopocącą draperią, w jaką owinął ją obrót, ręce położyła na tęgich biodrach i z wyprężoną do tyłu szyją patrzyła w bok, śmiejąc się; dla kogo był przeznaczony ten uśmiech, nie można było rozpoznać z fotografii.

— Jest zbyt obciśnięta — powiedziała Leni i pokazała na miejsce, gdzie było to jej zdaniem widoczne. — Nie podoba mi się, jest niezgrabna i nieokrzesa. Ale może wobec pana jest łagodna i miła, tego można by domyślić się z fotografii. Takie duże, tęgie dziewczęta często po prostu nie umieją być inne. Ale czy umiałyby się dla pana poświęcić?

— Nie — powiedział K. — ona nie jest ani łagodna i miła, ani nie umiałyby się dla mnie poświęcić. Dotychczas też nie żądałem od niej ani jednego, ani drugiego. Nawet nie przyjrzałem się tak dokładnie fotografii, jak pani.

— Więc panu na niej niewiele zależy — powiedziała Leni — a zatem nie jest wcale pana kochanką.

— A jednak — powiedział K. — nie cofam mego słowa.

— Więc niech będzie, że jest pana kochanką teraz, dobrze — powiedziała Leni — ale jeśli pan ją straci albo zamieni na inną, na przykład na mnie, nie będzie jej panu bardzo brak.

— Przypuszczalnie nie — powiedział z uśmiechem K. — ale ona ma wielką zaletę w porównaniu z panią, ona nie wie nic o moim procesie, a nawet gdyby o nim coś wiedziała, nie myślałaby o tym. Nie starałaby się nakłonić mnie do uległości.

— To nie jest zaleta — powiedziała Leni — jeśli nie ma żadnych innych, nie tracę otuchy. Czy ma jakąś usterkę fizyczną?

— Usterkę fizyczną? — spytał K.

— Tak — powiedziała Leni — ja mam bowiem taką małą usterkę, niech pan patrzy. — Rozgięła u prawej ręki palce środkowy i serdeczny, łącząca je skórka sięgała

aż prawie do górnego zgięcia krótkiego palca. K. nie zauważył zaraz w ciemności, co mu chciała pokazać, dlatego sama poprowadziła jego rękę, by tego dotknął.

— Co za wybryk natury — powiedział K. i gdy obejrzał całą rękę, dodał:

— Jaka ładna łapka!

Z pewnego rodzaju dumą przyglądała się Leni, jak K., dziwiąc się, wciąż na nowo składał i rozkładał jej palce, aż w końcu przelotnie je ucałował i puścił.

— Och! — zawołała natychmiast — pan mię pocałował! — Spiesznie, z otwartymi ustami wdrapała się kolanami na jego kolana. K. przyglądał się jej prawie przestraszony; teraz, gdy była tak blisko, szedł od niej gorzki, podniecający zapach, podobny do zapachu pieprzu. Przytuliła jego głowę do siebie, przechyliła się nad nią i gryzła, całowała jego szyję, gryzła nawet jego włosy.

— Więc pan już jednak zrobił zamianę! — wołała od czasu do czasu. — Widzi pan, pan już zamienił ją na mnie!

Wtem pośliznęło się jej kolano, z piskiem zsunęła się prawie na dywan. K. objął ją, aby ją jeszcze zatrzymać, ale pociągnęła go za sobą.

— Teraz należysz do mnie — powiedziała. — Tu masz klucz do mieszkania, przyjdź, kiedy chcesz — były jej ostatnie słowa, i pocałunek, rzucony na oślep, trafił go już przy wyjściu w plecy.

Gdy wyszedł z bramy domu, padał drobny deszcz, chciał zejść na środek ulicy, aby móc może jeszcze zobaczyć Leni w oknie, gdy z automobilu, który czekał przed domem i którego K. w roztargnieniu wcale nie zauważył, wypadł wuj, chwycił go za ramiona i przycisnął do bramy, jakby go tam chciał przygwoździć.

— Chłopcze — zawołał — jak mogłeś to zrobić! Strasznie zaszkodziłeś swojej sprawie, a była już na dobrej drodze. Przepadasz gdzieś z tym małym zepsutym stworzeniem, które ponadto jest widocznie kochanką adwokata, i znikasz na całe godziny. Nawet nie szukasz pretekstu, nic nie ukrywasz, nie, działasz całkiem otwarcie, pędzisz do niej i u niej zostajesz. Tymczasem my tu siedzimy, twój wuj, który się dla ciebie trudzi, adwokat, którego mamy dla ciebie pozyskać, a przede wszystkim dyrektor kancelarii, ten wielki pan, który po prostu trzyma w ręku twoją sprawę w jej obecnym stadium. Chcemy uradzić, jak ci pomóc, ja z mojej strony muszę ostrożnie obchodzić się z adwokatem, ten znowu z dyrektorem, a ty miałbyś chyba wszelkie powody przynajmniej mi pomóc. Zamiast tego ułatwiasz się. W końcu nie daje się to zataić, ale są to grzeczni i obcy ludzie, nie mówią o tym, oszczędzają mnie, wreszcie i oni już nie mogą się opanować, a ponieważ nie mogą mówić o tej sprawie, milkną. Siedzieliśmy długo w milczeniu i nasłuchiwaliliśmy, czy wreszcie nie

wracasz, ale na próżno. Wreszcie dyrektor, który pozostał o wiele dłużej, niż zamierzał pierwotnie, wstaje, żegna się, najwidoczniej współczuje mi, że nie może mi pomóc, czeka w swej niesłychanej uprzejmości jeszcze czas jakiś przy drzwiach, potem odchodzi. Ja byłem naturalnie szczęśliwy, że poszedł, wprost brakło mi już tchu. Na chorego adwokata podziałało to wszystko jeszcze mocniej, ten dobry człowiek nie mógł prawie mówić, gdy się z nim żegnałem. Prawdopodobnie przyczyniłeś się do jego zupełnego załamania i przyśpieszasz w ten sposób śmierć człowieka, na którego jesteś zdany. A mnie, twemu wujowi, pozwalasz dręczyć się i czekać tu całymi godzinami na deszczu, dotknij tylko, jaki jestem przemoczony.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Adwokat — Fabrykant — Malarz

Pewnego zimowego ranka — na dworze padał śnieg — siedział K., mimo wczesnej godziny już nadzwyczaj zmęczony, w swoim biurze. Aby uchronić się przynajmniej od nagabywania niższych urzędników, wydał polecenie woźnym, aby nikogo z nich nie wpuszczali, gdyż jest zajęty poważną pracą. Ale zamiast pracować kręcił się na krześle, przesuwając z wolna przedmioty na stole, w końcu, nie zdając sobie z tego sprawy, wyciągnął ramię na całą długość stołu i siedział tak nieruchomy ze schyloną głową.

Myśl o procesie już go nie opuszczała. Często już zastanawiał się, czy nie byłoby dobrze wypracować obronę na piśmie i przedłożyć ją sądowi. Chciał w niej przedstawić krótko swój życiorys i przy każdym nieco ważniejszym zdarzeniu wyjaśnić, z jakich działał powodów, czy dane postępowanie należało w myśl jego dzisiejszej oceny potępić, czy aprobować, i jakie mógł przytoczyć motywy tego lub owego kroku.

Korzyści z takiej obrony na piśmie w porównaniu z samą obroną adwokata, pozostawiającą zresztą wiele do życzenia, były bezsprzeczne. Przecież K. nic nie wiedział o poczynaniach adwokata; były one prawie żadne, od miesiąca nie wzywał go już do siebie, a także na żadnej poprzedniej konferencji nie odniósł K. wrażenia, żeby ten człowiek mógł dla niego wiele zrobić. Przede wszystkim prawie go wcale nie wypytywał w jego sprawie. A do wypytywania było tu przecież tak wiele. Grunt to pytania. K. miał uczucie, że sam mógłby sformułować wszystkie niezbędne dla sprawy pytania. Adwokat natomiast, zamiast pytać, opowiadał sam albo siedział milczący naprzeciw, nachylał się nieco nad biurkiem, widocznie z powodu słabego słuchu, skubał kosmyk włosów w swojej brodzie i spoglądał na dywan, może właśnie na to miejsce, gdzie K. leżał z Leni. Od czasu do czasu dawał mu błahe przestrogi, jakie się daje dzieciom, równie jałowe, jak nudne oracje, za które K. w obrachunku końcowym nie myślał zapłacić ani grosza.

Gdy się adwokatowi zdawało, że go już dostatecznie upokorzył, zaczynał zazwyczaj trochę go podnosić na duchu. Wiele już podobnych procesów, opowiadał wówczas, wygrał całkowicie lub częściowo, procesów, które, w rzeczywistości może nie tak trudne jak ten, na pozór przedstawiały się jeszcze beznadziejniej. Wykaz tych

procesów ma tu w szufladzie — przy czym pukał w jakąś szufladę stołu — akt jednak, niestety, nie może pokazać, gdyż chodzi tu o tajemnice urzędowe. Mimo to wielkie doświadczenie, jakie nabył dzięki tym licznym procesom, wychodzi teraz K. na dobre. Naturalnie, że zaraz zabrał się do roboty i pierwszy wniosek jest już prawie wykończony. Jest on bardzo ważny, gdyż pierwsze wrażenie, jakie sprawia obrona, decyduje często o całym kierunku postępowania. Niestety, na to musi K. zwrócić uwagę, zdarza się nieraz, że pierwsze wnioski nie są w sądzie wcale czytane. Po prostu odkłada się je do akt, dając do zrozumienia, że na razie o wiele ważniejsze od wszelkich pism jest przesłuchanie i obserwacja oskarżonego. Przy czym, jeśli petent staje się natarczywy, zaznacza się, że przed ostatecznym rozstrzygnięciem, w chwili gdy cały materiał będzie zebrany, przejrzy się wszystkie odnośne akta, a w związku z nimi i pierwszy wniosek. Niestety, najczęściej i to nie jest prawda, pierwsze podanie zazwyczaj się gdzieś zawierusza albo całkiem przepada, a jeśli nawet zachowa się do końca, nie czyta się go wcale, o czym adwokat dowiaduje się zresztą tylko pokątnie. Wszystko to jest wprawdzie przykre, ale nie całkiem pozbawione słuszności.

Niechaj K. nie zapomina, ciągnął dalej, że postępowanie sądowe nie jest jawne, może ono na żądanie sądu być ujawnione, ale ustawa nie nakazuje jawności. Wskutek tego są także akta sądu, przede wszystkim akt oskarżenia, niedostępne oskarżonemu i jego obronie, nie wiadomo zatem na ogół, a przynajmniej nie wiadomo dokładnie, jaki kierunek nadać pierwszemu wnioskowi, właściwie przeto może on tylko przypadkiem zawierać coś, co ma znaczenie dla sprawy. W pełni trafne wnioski z przeprowadzeniem dowodów można opracować dopiero później, gdy w miarę przesłuchania oskarżonego poszczególne punkty oskarżenia i ich uzasadnienie zaczynają się zaznaczać wyraźniej albo można się ich domyślić. Wobec takich warunków obrona jest oczywiście w położeniu bardzo niekorzystnym i trudnym. Ale o to właśnie chodzi. Obrona bowiem nie jest właściwie przez ustawę dozwolona, tylko tolerowana, i nawet to, czy z odnośnego miejsca w tekście ustawy wynika przynajmniej tolerowanie jej, jest kwestią sporną. Dlatego, ściśle biorąc, nie ma żadnych uznanych przez sąd adwokatów, wszyscy, którzy przed tym sądem jako adwokaci występują, są w gruncie rzeczy tylko pokątnymi adwokatami.

To naturalnie wpływa na cały stan adwokacki bardzo ponizająco i gdy K. następnym razem pójdzie do kancelarii sądu, może sobie, dla pełnego obrazu, obejrzeć także izbę adwokatów. Przypuszczalnie przerazi się towarzystwa, które się tam zbiera. Już wyznaczona im ciasna, niska komórka wskazuje na pogardę, jaką sąd ma dla tych ludzi. Światło wpada do tej izby tylko przez mały otwór, który jest tak

wysoko położony, że gdy się chce nim wyrzeć, trzeba wleźć koledze na plecy, przy czym dym z pobliskiego komina gryzie w oczy, czerniąc twarz sadzą. W podłodze tej izby — aby przytoczyć jeszcze tylko jeden przykład tego stanu rzeczy — jest już od przeszło roku dziura, nie tak wielka, aby wpaść mógł człowiek, ale dość wielka, by zapaść się w nią całą nogą. Pokój adwokatów leży na wyższej kondygnacji strychów; gdy więc ktoś wpadnie w dziurę, to noga zwisa z sufitu niższego strychu, i to na korytarz, gdzie czekają strony. Nie jest więc przesadą, jeśli się w kołach adwokackich uważa te stosunki za haniebne. Zażalenia do administracji nie dają najmniejszego rezultatu, mimo to przeprowadzenie jakichkolwiek napraw w pokoju na własny koszt jest adwokatom najsurowiej wzbronione. Ale i takie traktowanie adwokatów ma swoje uzasadnienie. Chodzi o możliwie zupełne wyeliminowanie obrony, obwiniony powinien być zdany we wszystkim na siebie samego. W gruncie rzeczy niezły punkt widzenia, ale nic mylniejszego nad wniosek, że w sądzie tym adwokaci są obwinionym niepotrzebni. Przeciwnie, w żadnym innym sądzie nie są tak potrzebni jak w tym. Postępowanie sądowe bowiem jest na ogół trzymane w tajemnicy nie tylko przed publicznością, ale także przed oskarżonym. Naturalnie w granicach możliwości, ale jest to właśnie możliwe w bardzo szerokim zakresie. Także bowiem oskarżony nie ma wglądu w akta sądowe, a z przesłuchań wnioskować o aktach, będących dla nich punktem wyjścia, jest bardzo trudno, zwłaszcza dla oskarżonego, który jest przecież zalękniony i ma wszelkiego rodzaju kłopoty utrudniające skupienie. Tu więc zaczyna się interwencja obrony. obrońcy na ogół nie mogą być obecni przy przesłuchaniach, muszą dlatego po przesłuchaniu, i to możliwie tuż przy wyjściu oskarżonego z pokoju śledczego, wypytać go o treść przesłuchania i z jego już często bardzo zatartych relacji wybrać to, co jest odpowiednie do obrony. Ale nie to jest najważniejsze, gdyż zbyt wiele nie można się w ten sposób dowiedzieć, choć naturalnie i tu, jak zresztą wszędzie, zdolny człowiek dowie się więcej niż inni. Najważniejszą rzeczą pozostają mimo to nadal osobiste stosunki adwokata, na nich polega główna wartość obrony. Z własnych przeżyć mógł K. zapewne poznać, że najniższe organy sądu nie są całkiem doskonałe, że spotyka się tu urzędników nieobowiązkowych i przekupnych, przez co powstają jak gdyby luki w ścisłej izolacji sądu. Tędy wdziera się większość adwokatów, tutaj się przekupuje i podsłuchuje, ba, zachodziły nawet, przynajmniej dawniej, wypadki kradzieży akt. Nie sposób zaprzeczyć, że w ten sposób daje się osiągnąć pewne chwilowe, nawet zadziwiająco pomyślne rezultaty dla oskarżonego, czym puszą się też owi mali adwokaci i zwabiają nową klientelę — ale dla dalszego ciągu procesu jest to bez znaczenia albo zgoła źle wróży. Za to prawdziwą wartość

mają tylko uczciwe osobiste stosunki, i to z wyższymi urzędnikami, przez co naturalnie rozumie się tylko wyższych urzędników niższych stopni. Tylko w ten sposób można wpłynąć na dalszy ciąg procesu, jeśli nawet zrazu nieznacznie, to później jednak coraz wyraźniej. To potrafi naturalnie tylko niewielu adwokatów i tu wybór K. był bardzo szczęśliwy. Tylko może jeszcze jeden albo dwóch adwokatów mogłoby się wykazać podobnymi stosunkami, co dr Huld. Tych zresztą nie obchodzi zgraja z pokoju dla adwokatów i nie mają z nią nic do czynienia. Tym ściślejszy jest za to ich związek z urzędnikami sądowymi.

Nawet nie zawsze jest konieczne, twierdził Huld, by szedł osobiście do sądu, w przedpokojach sędziów śledczych czekał na ich przypadkowe zjawienie się i zależnie od ich humoru uzyskiwał przeważnie tylko pozorny wynik. Nie, K. przecież sam widział, jak urzędnicy, a między nimi nawet bardzo wysocy, przychodzą sami, chętnie udzielają informacji, wprost albo za pomocą aluzji, omawiają dalszy przebieg procesu, nawet dają się w poszczególnych wypadkach przekonać i chętnie przyjmują cudze zapatrywanie. Mimo to nie powinno im się właśnie w tym ostatnim względzie zbyt ufać, choćby nawet nie wiedzieć jak stanowczo wyrażali swoje nawet przychylne dla obrony zdanie, gdyż gotowi są może pójść stamtąd prosto do swej kancelarii i wydać na drugi dzień orzeczenie, które zawiera coś wręcz przeciwnego i jest może dla obwinionego o wiele surowsze od zamierzonego pierwotnie, od którego, rzekomo, zupełnie odstąpili. Przeciw temu naturalnie nie można się bronić, gdyż to, co powiedzieli w cztery oczy, nie uprawnia jako niejawne do żadnych jawnych roszczeń, nawet gdyby obrona i tak nie musiała drżeć przed niełaską tych panów. Z drugiej zresztą strony prawdą jest również, że ci panowie nie z samej tylko filantropii czy przyjacielskiej sympatii wchodzi w kontakt z obroną, oczywiście jedynie z obroną fachową — są oni raczej pod pewnym względem także na nią zdani. Tu właśnie daje się odczuć ujemna strona organizacji sądownictwa, które nawet w swych początkach stanowiło sąd tajny. Urzędnikom brak styczności z publicznością, do zwykłych, średnich procesów są dobrze przygotowani, taki proces toczy się prawie sam przez się, biegnie swoim torem i tylko tu i ówdzie wymaga popchnięcia, ale wobec całkiem prostych wypadków, jak też wobec szczególnie trudnych są często bezradni, a ponieważ bezustannie dniem i nocą obracają się w ciasnym kole swych ustaw, nie mają właściwego zrozumienia dla stosunków ludzkich, co daje im się we znaki w takich wypadkach. Wtedy przychodzą do adwokata po radę, a woźny dźwiga za nimi akta tak skądinąd tajne. W tym oknie można było widzieć niejednego z tych panów, po których najmniej można się było tego spodziewać, jak wprost bezradnie wyglądali

na ulicę, gdy adwokat przy swoim stole studiował akta, aby móc im dać dobrą radę. Skądinąd właśnie w takich okolicznościach widzi się, jak niesłychanie poważnie traktują ci panowie swój zawód i jak popadają w rozpacz z powodu przeszkód, których skutek ograniczoności własnej natury nie potrafią rozeznaczyć i przewyciężyć. Ich pozycja nie jest zresztą taka łatwa i wyrządziłoby się im krzywdę uważając ją za taką. Porządek rang i stopniowanie w hierarchii sądu są nieskończone i nawet wtajemniczony nie może ich ogarnąć. Postępowanie sądowe przed trybunałami jest jednak na ogół tajne także dla niższych urzędników, dlatego rzadko kiedy są oni w stanie prześledzić sprawy, które opracowują, w ich dalszym pełnym przebiegu. Sprawa sądowa zjawia się więc w ich oddziale, a oni nie wiedzą nawet, skąd przysłała, i idzie dalej, nie wiadomo dokąd. Nauki więc, jakie można wyciągnąć ze studiowania poszczególnych stadiów procesu, z ostatecznego wyroku i jego motywów, wymykają się tym urzędnikom. Mogą się zajmować tylko jedną fazą procesu, tą, która im jest przez ustawę przydzielona, a o dalszym toku sprawy, a więc o wynikach ich własnej pracy, wiedzą przeważnie mniej niż obrona, która przecież z reguły prawie aż do końca procesu pozostaje w kontakcie z oskarżonym. Także i pod tym względem mogą się dowiedzieć od obrony wiele cennych informacji. Jakże więc może K., wywoził adwokat, dziwić się jeszcze rozdrażnieniu urzędników, które przejawia się nieraz w sposób obrażający dla stron, co każdy zna z doświadczenia. Wszyscy urzędnicy są rozdrażnieni, nawet gdy wydają się spokojni. Oczywiście, najwięcej cierpią przez to mali adwokaci. Opowiada się na przykład następującą historyjkę, która ma wszelkie pozory prawdy:

Pewien stary urzędnik, zacny, cichy pan, studiował bez przerwy dzień i noc — ci urzędnicy są rzeczywiście wyjątkowo pilni — pewną trudną sprawę, w szczególny sposób powikłaną przez wnioski adwokatów. Nad ranem, po dwudziestu czterech godzinach widocznie niezbyt owocnej pracy, poszedł ku drzwiom i zaczaiwszy się tam, zrzucił ze schodów każdego adwokata, który chciał wejść. Adwokaci zebrali się u dołu i radzili, co mają robić; z jednej strony nie mieli właściwie żadnego prawa do tego, by ich wpuszczono, dlatego nie mogli prawnie wystąpić przeciw urzędnikowi i musieli także, jak już wspomniano, uważać, by nie rozgniewać na siebie urzędników; z drugiej zaś strony każdy dzień nie spędzony w sądzie jest dla nich stracony i bardzo im na tym zależało, by wejść. Ostatecznie umówili się, by zmęczyć starego człowieka. W tym celu wysyłano coraz nowego adwokata, który wbiegał po schodach na górę i stawiając wszelki możliwy, bierny zresztą opór, dawał się w końcu zrzucić ze schodów, gdzie później łapali go koledzy. Trwało to około godziny, po czym stary człowiek,

wyczerpany przecież także pracą nocną, wrócił wreszcie zmęczony do swojej kancelarii. Ci na dole zrazu nie chcieli temu wierzyć i posłali naprzód jednego, by zajrzał za drzwi, czy jest tam rzeczywiście pusto. Potem dopiero wkroczyli do środka nie śmiejąc pisnąć nawet słówkiem. Gdyż adwokaci — a nawet najmniejszy ma przynajmniej częściowo wgląd w panujące tu stosunki — są jak najdalsi od myśli, aby wprowadzić w sędzie jakieś ulepszenia lub o nie walczyć, gdy tymczasem — i to jest bardzo znamienne — prawie każdy oskarżony, nawet ludzie całkiem ograniczeni zaraz na wstępie procesu zaczynają myśleć o projektach reformy i często marnują na to czas i siły, które o wiele lepiej mogliby inaczej zużytkować. Jedyną właściwą rzeczą jest pogodzić się z istniejącymi stosunkami. Nawet gdyby było możliwe wpłynąć na poprawę pewnych szczegółów — co jest jednak przypuszczeniem niedorzecznym — uzyskałoby się w najlepszym razie coś na przyszłość, ale sobie samemu nieskończenie by się zaszkodziło przez ściąganie uwagi zawsze mściwych urzędników. Tylko nie zwracać uwagi! Zachować się spokojnie, nawet jeśli komuś zupełnie nie idzie po jego myśli! Trzeba starać się zrozumieć, że ten potężny organizm sądowy utrzyma się zawsze w swego rodzaju choćby chwiejnej równowadze i że jeśli człowiek coś samodzielnie na swoim miejscu zmienia, usuwa sobie ziemię spod własnych stóp i może sam runąć, podczas gdy wielki organizm łatwo powetuje sobie to drobne zakłócenie na innym miejscu — wszystko jest przecież we wzajemnym związku — i zostanie nie zmieniony, a nawet, co jest prawdopodobniejsze, stanie się jeszcze bardziej zwarty, jeszcze baczniejszy, jeszcze surowszy i bardziej zawzięty. Trzeba zostawić robotę adwokatowi, zamiast mu w niej przeszkadzać. Wyrzuty niewiele pomagają, zwłaszcza jeśli nie można w pełni ukazać znaczenia ich tła, ale mimo to trzeba podkreślić, jak bardzo K. swojej sprawie zaszkodził przez swoje zachowanie się wobec dyrektora kancelarii. Tego wpływowego człowieka należy już prawie skreślić z listy tych, u których można coś dla K. wskórać. Nawet przelotne wzmianki o procesie pomija on niedwuznacznym milczeniem. W wielu rzeczach urzędnicy są jak dzieci. Często może niewinny żart, a do tej kategorii zachowanie się K. niestety nie należało, tak ich obrazić, że przestają mówić nawet z dobrymi przyjaciółmi, odwracają się od nich, jeśli ich spotykają, i we wszystkich możliwych krokach podstawiają im nogę. Ale potem niespodziewanie, bez szczególnej przyczyny, dają się jakimś błahym żartem, na który się człowiek waży, ponieważ wszystko i tak wydaje się stracone, pobudzić znowu do śmiechu i przejednać. Postępowanie z nimi jest więc równocześnie trudne i łatwe, jakichś zasad pod tym względem nie ma. Nieraz wprost zdumiewa, że jedno jedyne przeciętne życie ludzkie wystarcza, aby ogarnąć tyle sprzeczności i móc jeszcze

pracować z jakimś rezultatem. W każdym razie przychodzą ciężkie godziny, każdy je przeżywa, gdy się wydaje, że nic się nie osiągnęło, że tylko od początku przeznaczone do wygrania procesy kończą się dobrze, co by się i tak bez niczyjej pomocy stało, podczas gdy wszystkie inne przegrywa się mimo całego trudu, mimo wszystkich zabiegów, wszystkich drobnych pozornych sukcesów, które sprawiały im taką radość. Potem wszystko już wydaje się człowiekowi niepewne, i nie miałoby się nawet odwagi zaprzeczyć, gdyby ktoś zapytał, czy procesów o dobrym z natury swej przebiegu nie sprowadziło się na bezdroża właśnie przez własną pomoc. I to jest pewnego rodzaju pewnością siebie, jedyną, jaka potem pozostaje. Na takie napady — to są naturalnie tylko napady, nic więcej — są adwokaci narażeni zwłaszcza wówczas, gdy im się nagle odbiera z ręki proces, który już pomyślnie dość daleko doprowadzili. To jest na pewno najgorsze, co może spotkać adwokata. Nie oskarżony odbiera im proces, to się naprawdę nigdy nie zdarza; oskarżony, który raz wziął już pewnego adwokata, musi przy nim pozostać, cokolwiek by się stało, jakże mógłby on jeszcze w ogóle stać o własnych nogach, skoro już raz skorzystał z pomocy? To się więc nigdy nie zdarza, zdarza się natomiast nieraz, że proces przybiera kierunek, w którym nie wolno już adwokatowi za nim podążyć. Proces i oskarżony, i wszystko zostaje po prostu adwokatowi odebrane; wtedy nawet najlepsze stosunki z urzędnikami nie mogą już pomóc, gdyż oni sami nic nie wiedzą. Proces wszedł w stadium, gdy nie można już udzielić żadnej pomocy, gdy opracowują go niedostępne trybunały, gdy nawet oskarżony staje się już dla adwokata niedosięgly. Przychodzi się wówczas pewnego dnia do domu i znajduje się na stole te wszystkie liczne wnioski, które się z taką gorliwością i nadzieją opracowywało: odesłano je, gdyż nie można ich przenieść w nowe stadium procesu, są już bezwartościowymi szpargałami. Przy tym proces nie musi być już koniecznie przegrany, wcale nie, przynajmniej nie ma żadnej mocnej podstawy dla takiego przypuszczenia, po prostu nie wie się już nic o procesie i niczego się już o nim nie będzie wiedziało. Ale na szczęście takie wypadki należą do wyjątków, i nawet gdyby proces K. był tego rodzaju wypadkiem, na razie jest jeszcze bardzo od tego stadium odległy. Tu jest jeszcze szerokie pole dla pracy adwokata, a że będzie wyzyskane, tego może K. być pewny. Wniosku, o czym już była mowa, jeszcze nie wręczono, lecz to nie nagli; o wiele ważniejsze są wstępne rozmowy z miarodajnymi urzędnikami, a te już miały miejsce. Z różnym skutkiem, to trzeba otwarcie wyznać. Lepiej nie zdradzać na razie szczegółów, nie oddziałują one korzystnie, pod ich wpływem K. byłby albo pełen zbyt nadziei, albo zanadto przestraszony; tyle tylko wystarczy powiedzieć, że niektórzy wyrażali się bardzo przychylnie i okazali się też

bardzo usłużni, podczas gdy inni wyrażali się mniej przychylnie, lecz mimo to swojej współpracy nie odmówili. W całości więc wynik jest bardzo pomyślny, tylko nie można z tego wysnuwać jakichś nadzwyczajnych wniosków, gdyż wszystkie wstępne rozmowy podobnie się zaczynają i dopiero dalszy rozwój sprawy ujawnia ich właściwą wartość. W każdym razie nic nie jest stracone i gdyby się jeszcze udało pozyskać mimo wszystko dyrektora kancelarii — wiele już w tym kierunku podjęto — wówczas, jak mówią chirurdzy, rana byłaby czysta i ze spokojem można by oczekiwać tego, co nastąpi.

W takich i tym podobnych mowach był adwokat niewyczerpany. Powtarzały się przy każdej wizycie. Zawsze były jakieś postępy, ale nigdy nie mógł nic powiedzieć o ich rodzaju. Ustawicznie pracował nad pierwszym wnioskiem, lecz wciąż nie był on gotowy, co się przeważnie przy następnej wizycie okazywało okolicznością pomyślną, ponieważ ostatni czas, czego nie można było przewidzieć, okazał się bardzo niekorzystny dla podań. Jeśli K., zupełnie wyczerpany tymi mowami, zwracał czasem uwagę, że nawet przy uwzględnieniu wszystkich trudności sprawa posuwa się bardzo wolno, odpowiadano mu, że nie idzie wcale tak wolno, ale byłaby już posunięta o wiele dalej, gdyby K. zwrócił się na czas do adwokata. Tego jednak niestety zaniedbał, i to zaniedbanie przyniesie jeszcze dalsze straty, nie tylko czasowe.

Jedyną dobroczynną przerwę w tych wizytach stanowiła Leni, która zawsze umiała tak urządzić, że przynosiła adwokatowi herbatę w obecności K. Potem stawała za K., niby się przypatrując, jak adwokat z pewnego rodzaju chciwością nachylony nisko nad filiżanką, nalewał herbatę i pił, i pozwalała, by K. ujmował po kryjomu jej rękę. Panowało zupełne milczenie. Adwokat pił, K. przyciskał rękę Leni, a Leni ważyła się niekiedy pogłaskać delikatnie włosy K.

— Jeszcze tu jesteś? — pytał adwokat skończywszy pić herbatę.

— Chciałam zabrać filiżankę — odpowiadała Leni, następował ostatni uścisk ręki, adwokat ocierał sobie usta i z nową siłą zaczynał K. przekonywać.

Co chciał adwokat w nim wzbudzić — pociechę czy rozpacz, K. nie wiedział; tak czy owak uważał za pewne, że jego obrona nie była w dobrych rękach. Może i było prawdą wszystko, co opowiadał adwokat, jakkolwiek widać było wyraźnie, że wysuwał swoje zasługi na pierwszy plan i prawdopodobnie nigdy jeszcze nie prowadził tak wielkiego procesu, za jaki K. swój własny uważał. Podejrzane mu były nieustannie podkreślane stosunki osobiste adwokata z urzędnikami. Czy zawsze wyzyskiwane one były wyłącznie na jego korzyść? Adwokat nigdy nie zapominał dodawać, że chodziło tu o urzędników niższej kategorii, urzędników zatem na bardzo zależnym stanowisku,

dla których kariery pewne zwroty w procesie mogły być nie bez znaczenia. Czy nie wykorzystywali oni adwokata w tym celu, aby osiągnąć w procesie takie właśnie zwroty, dla oskarżonego zawsze oczywiście niepomyślnie? Może nie czynili tego w każdym procesie, było to nieprawdopodobne, bywały też pewnie procesy, w których przebiegu czynili adwokatowi za jego usługi pewne korzystne ustępstwa, gdyż musiało im także zależeć na tym, by nie narażać jego opinii. Jeśli tak się rzeczy miały, w jakim sensie zamierzali oddziaływać na bieg procesu K., procesu, który, jak oświadczył adwokat, był bardzo trudny i ważny i od samego początku śledzony przez sąd z wielką uwagą? Nie mogło być wątpliwości, co uczynią. Pewne oznaki były już widoczne w tym, że pierwszy wniosek wciąż jeszcze nie był przekazany, choć proces trwał już od miesięcy, i że wszystko wedle informacji adwokata znajdowało się w stadium początkowym, co oczywiście przyczyniało się w sam raz do tego, by oskarżonego uspić i utrzymać w bezradności, aby go potem nagle zaskoczyć decyzją albo przynajmniej zawiadomieniem, że wyniki niekorzystnie dlań zakończonych dochodzeń przekazane zostały wyższym instancjom.

Było bezwzględnie konieczną rzeczą, by K. interweniował osobiście. Właśnie w stanie wielkiego znużenia, jak tego zimowego przedpołudnia, kiedy myśli bezwolnie krążyły mu przez głowę, przekonanie to stawało się coraz bardziej nieodparte. Pogarda, jaką przedtem żywił dla procesu, znikła bez śladu. Gdyby był sam na świecie, mógłby łatwo zlekceważyć proces, choć pewne było, że w tym wypadku nie byłoby w ogóle do procesu doszło. Teraz jednak wuj zaprowadził go już do adwokata, przemówiły względy familijne; jego pozycja nie była już całkiem niezależna od przebiegu procesu, on sam z niewytłumaczoną satysfakcją uczynił wobec znajomych pewne wzmianki o procesie, inni dowiedzieli się o tym w nieznanym sposobie, stosunek do panny Bürstner wahał się w zależności od faz procesu — słowem, nie było już wyboru: przyjąć albo odrzucić proces, stał w nim po uszy i musiał się bronić. Źle, jeśli go teraz właśnie siły opuszczały.

Do przesadnej troski nie było bądź co bądź na razie powodu. W krótkim stosunkowo czasie potrafił K. wzbic się w banku na swoje wysokie stanowisko i utrzymać się na nim ku powszechnemu uznaniu. Teraz należało tylko zdolności, które mu to umożliwiły, oddać choć trochę na usługi procesu, a nie było wątpliwości, że wszystko musi się dobrze skończyć. Przede wszystkim, jeśli miał cokolwiek osiągnąć, należało wszelką myśl o winie z góry odrzucić. Winy nie było. Proces nie był niczym innym aniżeli wielkim interesem, interesem z gatunku tych, jakie K. nieraz już z korzyścią dla banku ubijał, interesem, w obrębie którego czatowały z reguły różne

niebezpieczeństwa, i te niebezpieczeństwa należało właśnie odeprzeć. W tym jednak celu nie wolno było igrać z myślą o jakiejś winie, tylko z całą stanowczością należało trzymać się myśli o własnej korzyści. Z tego punktu widzenia stawało się rzeczą nieuniknioną odebrać adwokatowi pełnomocnictwo możliwie prędko, najlepiej jeszcze tego wieczora. Było to wprawdzie, według opowiadań adwokata, czymś niesłychanym i prawdopodobnie obraźliwym, ale K. nie mógł dopuścić, by jego wysiłki w procesie napotykały na przeszkody, spowodowane, być może, przez własnego adwokata. Z chwilą uwolnienia się od adwokata należało wystąpić natychmiast z wnioskiem i o ile możliwości, codziennie napierać, aby się nim zajęto. W tym celu nie wystarczało, by K. jak inni siadał w korytarzu i kładł kapelusz pod ławkę. On sam albo kobiety, albo inni posłańcy musieli dzień w dzień nachodzić urzędników i zmuszać ich, by zamiast przez kratę patrzeć na korytarz zasiedli do swoich stołów i studiowali jego podanie. Tych starań nie można było ani na chwilę zaniechać, wszystko trzeba było zorganizować, wszystkiego dopilnować, niechby sąd natknął się raz na oskarżonego, który umiał dochodzić swojego prawa.

Choć K. czuł odwagę, aby to wszystko przeprowadzić, ciężar zredagowania wniosku był ponad jego siły. Przedtem, przed tygodniem jeszcze, mógł tylko z uczuciem wstydu myśleć o tym, że mógłby być kiedyś zmuszony, aby zrobił sam takie podanie. By mogło to być tak trudne, nie podejrzewał nawet. Przypomniawszy sobie, jak pewnego przedpołudnia, gdy właśnie obarczony był robotą, odsunął nagle wszystko na bok, rozłożył notes i starał się naszkicować tok myśli dla podobnego wniosku, aby oddać go ewentualnie do dyspozycji ociężałemu adwokatowi, i właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi do gabinetu dyirekcji i z głośnym śmiechem wszedł zastępca dyrektora. Było mu wówczas niewymownie przykro, chociaż zastępca dyrektora wcale nie śmiał się z podania, o którym nic nie wiedział, lecz z dopiero co usłyszanego dowcipu, który dla zrozumienia wymagał rysunku. Nachylony nad stołem, wziął z rąk K. ołówek i wykonał nim rysunek na notesie przeznaczonym na podanie.

Dziś K. nie znał już wstydu. Wniosek musiał być za wszelką cenę opracowany. Gdyby nie znalazł nań czasu w biurze, co było bardzo prawdopodobne, musiał go przygotować w domu, siedząc po nocach. Gdyby i noce nie wystarczyły, musiałby wziąć urlop. Tylko nie utknąć w połowie drogi. To było nie tylko w interesach, ale wszędzie i zawsze najgłupsze ze wszystkiego. Podanie oznaczało co prawda nieskończony mozół. Nie trzeba było mieć usposobienia zbyt trwożliwego, by jednak dojść do przekonania, że przygotowanie wniosku było niepodobieństwem. Nie z

lenistwa czy kręactwa, które jedynie dla adwokata mogło być przeszkodą w jego wykończeniu, ale z tej przyczyny, iż nie znając oskarżenia i jego możliwych następstw, należało odtworzyć sobie w pamięci całe życie oraz przedstawić je i z wszystkich stron rozpatrzeć w jego najdrobniejszych czynach i zdarzeniach. A ponadto jakże smutna to była praca! Nadawała się może do tego, by kiedyś po przejściu na emeryturę zatrudnić dziecienniały umysł i rozproszyć nudę długich dni starości. Ale teraz, gdy K. potrzebował wszystkich myśli do swojej pracy, gdy w szybkiej karierze stawał się już groźny dla wicedyrektora i każda godzina mijała mu szybko, gdy jako młody człowiek zamierzał cieszyć się krótkimi wieczorami i nocami mijającego życia — teraz miałże zająć się opracowywaniem tego żmudnego podania? Znowu myśl jego przechodziła w skargę. Prawie mimo woli, jedynie aby temu kres położyć, sięgnął palcem do guzika elektrycznego dzwonka, który prowadził do przedpokoju. Naciskając go spojrzął na zegar. Była godzina jedenasta. Dwie godziny, długi, drogocenny czas przemajaczył i był naturalnie jeszcze bardziej znużony niż przedtem. Bądź co bądź czas nie poszedł na marne, powziął postanowienia, które mogły okazać się cenne. Woźni przynieśli oprócz rozmaitych listów dwie karty wizytowe panów, którzy już od dłuższego czasu na K. czekali. Akurat byli to bardzo ważni klienci banku, którym żadną miarą nie należało kazać czekać. Dlaczego przychodzili w tak niestosownej chwili? I dlaczego, zdawali się z kolei pytać czekający za drzwiami panowie, gorliwy prokurent marnuje najlepsze godziny urzędowania na jakieś prywatne zajęcia? Znużony tym, co już minęło, i ze znużeniem czekając na to, co nastąpi, K. powstał, aby przyjąć pierwszego z klientów. Był to mały, żwawy pan, fabrykant, którego K. znał dobrze. Usprawiedliwiał się, że przeszkodził panu prokurentowi w ważnej pracy, a K. ze swej strony ubolewał, że kazał fabrykantowi tak długo czekać. Ale już to ubolewanie wyraził w sposób tak mechaniczny i w tak niemal fałszywym tonie, że gdyby fabrykant nie był tak bardzo zajęty swoim interesem, musiałby był to zauważyć. Zamiast tego wydobyl spiesznie rachunki i tabele ze wszystkich kieszeni, rozpostarł je przed K., wyjaśniał różne pozycje, skorygował mały błąd rachunkowy, który mu przy tym szybkim przeglądzie wpadł w oko, przypomniał K. podobny interes, który z nim przed rokiem zawarł, napomknął mimochodem, że o tę transakcję ubiegał się pewien konkurencyjny bank gotowy do daleko idących ustępstw, i w końcu zamilkł czekając odpowiedzi K. K. szedł z początku z łatwością za tokiem mowy fabrykanta, myśl o ważnym interesie zawładnęła także i nim, niestety nie na długo, rychło przestał słuchać, czas jakiś jeszcze przytakiwał głową na głośnie wykrzykniki fabrykanta, w końcu poniechał i tego i zajął się jedynie oglądaniem łysej, schylonej nad papierami

głowy fabrykanta, zadając sobie pytanie, kiedy ten wreszcie zauważy, że całe jego gadanie jest bezcelowe. Gdy zamilkł, myślał K. w pierwszej chwili rzeczywiście, że zrobił to w tym celu, by dać mu sposobność do wyznania, że nie jest w stanie dłużej słuchać. Z żalem poznał z napiętego wzroku fabrykanta, przygotowanego widocznie na każdą odpowiedź, że musi kontynuować konferencję. Schylił więc głowę jakby przed jakimś rozkazem i zaczął z wolna wodzić ołówkiem tam i z powrotem po papierach, tu i ówdzie zatrzymując się i gapiąc przy jakiejś cyfrze. Fabrykant domyślał się zarzutów, może rzeczywiście cyfry nie zgadzały się, może nie były to jeszcze ostateczne cyfry, w każdym razie fabrykant nakrył papiery ręką i przysuwając się całkiem blisko do K. zaczął na nowo przedstawiać ogólne tło transakcji.

— To trudna sprawa — rzekł K., skrzywił usta i ponieważ papiery, jedyna rzecz dla niego uchwytna, były zakryte — opadł bezwładnie na boczną poręcz. Z wysiłkiem podniósł oczy, gdy drzwi pokoju dyrektorskiego się otworzyły i ukazał się w nich nie całkiem wyraźnie, jakby za zasłoną z gazy, wicedyrektor. K. przestał już myśleć o interesie, śledził tylko z ulgą bezpośredni skutek tego pojawienia się, gdyż fabrykant zerwał się natychmiast z krzesła i podskoczył szybko naprzeciw wicedyrektora, zawsze jeszcze nie dość szybko dla K., który bał się, by wicedyrektor znowu nie zniknął. Obawa była płonna, obydwaj panowie spotkali się, podali sobie ręce i razem podeszli do biurka K. Fabrykant uskarżał się, że znalazł pana prokurenta tak mało skłonny do interesu, i wskazał oczyma K., który pod spojrzeniem wicedyrektora nachylił się znowu nad papierami. Gdy obaj stali oparci o biurko i fabrykant gotował się do pozyskania wicedyrektora dla swej sprawy, miał K. uczucie, jakby ci dwaj mężowie, których postacie mimo woli wyolbrzymiał, pertraktowali ponad jego głową w sprawie jego losu. Powoli podnosząc oczy badał ostrożnie wzrokiem, co się tam w górze nad nim działo, wziął nie patrząc jeden z papierów z biurka, położył go na wyciągniętej płasko dłoni, po czym wstając podniósł go ku obu panom. Nie myślał przy tym nic określonego, kierowało nim tylko uczucie, że tak musiałby się zachować, gdyby kiedyś ukończył swe wielkie podanie, które go miało całkiem z winy oczyścić. Wicedyrektor, cały pochłonięty rozmową, spojrzął przelotnie na papier nie czytając wcale, co tam było napisane — co było ważne dla prokurenta, nie było ważne dla niego — wziął akt z ręki K. i położył go z powrotem na stole ze słowami: — Dziękuję, wiem już wszystko. — K. spojrział nań z boku, rozgoryczony. Wicedyrektor nie zauważył tego lub też zauważywszy nabrał jeszcze lepszego humoru, wybuchał kilkakrotnie głośnym śmiechem, przyparł fabrykanta do muru ciętą odpowiedzią, wybawił go jednak natychmiast z zakłopotania wytaczając przeciwko sobie samemu zarzut i

zapropował mu w końcu, by przeszli do jego własnego biura celem dobicia interesu.

— To jest sprawa niezwyklej wagi — rzekł do fabrykanta — uznaję to w zupełności. Zaś panu prokurentowi — nawet przy tej uwadze zwracał się właściwie tylko do fabrykanta — będzie z pewnością na rękę, gdy go od niej uwolnimy. Sprawa wymaga spokojnej rozwagi, on zaś wydaje się dziś przeciążony pracą, prócz tego czekają nań już od paru godzin ludzie w poczekalni.

K. znalazł jeszcze tyle przytomności, żeby odwrócić się od wicedyrektora i skierować swój uprzejmy, choć zdrętwiały uśmiech wyłącznie na fabrykanta, nie próbował zresztą wtrącać się do rozmowy, stał nad biurkiem wsparty na nim rękoma, pochylony jak subiekt za ladą i patrzył, jak obaj panowie, zabrawszy papiery, wśród dalszej rozmowy oddalili się do pokoju dyrektorskiego. W drzwiach fabrykant odwrócił się, powiedział, że nie żegna się jeszcze, gdyż chce naturalnie zakomunikować panu prokurentowi o wyniku pertraktacji, poza tym ma jeszcze drobną wiadomość dla niego.

K. został wreszcie sam. Nie myślał zgoła o tym, by wpuścić kogoś do siebie, i tylko niejasno uświadomił sobie, jak dobrze się składa, że czekający przekonani są, iż pertraktuje jeszcze z fabrykantem, i wskutek tego nie może nikt, nawet woźny, wejść do niego. Podszedł do okna, usiadł na parapecie, oparł się ręką o klamkę i patrzył w zamyśleniu na plac. Śnieg wciąż padał, nie rozjaśniało się wcale.

Długo siedział tak, nie wiedząc, czym się właściwie trapi, tylko od czasu do czasu patrzył z pewnym przestraczeniem poprzez ramię na zamknięte drzwi przedpokoju, za którymi — zdawało mu się — usłyszał jakiś szelest. Gdy jednak nikt nie wchodził, uspokoił się, podszedł do umywalni, umył się zimną wodą i ze swobodniejszą nieco głową powrócił na swoje miejsce u okna. Decyzja podjęcia samemu swej obrony nabrała dlań teraz większej wagi, niż to w pierwszej chwili przypuszczał. Jak długo zwał całą obronę na adwokata, proces mało go w gruncie rzeczy dotykał, śledził go z daleka, sam bezpośrednio nie dosiężony mógł, kiedy mu się podobało, dowiadywać się, jak sprawy stoją, ale mógł też w każdej chwili cofnąć się, jeśli tylko zapragnął. Teraz natomiast, gdy miał osobiście prowadzić swą obronę, należało przynajmniej chwilowo stanąć twarzą w twarz z sądem. Wynikiem tego miało być wprawdzie później zupełne i ostateczne uwolnienie, ażeby je jednak osiągnąć, musiał chwilowo wystawić się na o wiele większe niż dotychczas niebezpieczeństwo. Właśnie dzisiejsza rozmowa z fabrykantem i wicedyrektorem uchylała wszelką wątpliwość co do tego. Jakże nędznie czuł się siedząc przed nimi, już

samą decyzją podjęcia swej obrony zupełnie sparaliżowany. Czegóż dopiero mógł oczekiwać potem? Jakież przejścia go jeszcze czekały! Czy znajdzie przez to wszystko drogę do szczęśliwego końca? Czy staranna obrona — a wszystko inne nie miało przecież znaczenia — nie była równoznaczna z koniecznością odgradzenia się od wszystkiego innego? Czy zdoła to wszystko szczęśliwie wytrzymać? I jakże miał to przeprowadzić wśród zajęć bankowych? Przecież nie chodziło tylko o napisanie podania, na co wystarczyłby może urlop, choć prośba o urlop w tej właśnie chwili była niemałym ryzykiem — chodziło o cały proces, którego czasu trwania nie dało się przewidzieć. Jakaż przeszkoda stanęła nagle na jego drodze do kariery!

I w takiej chwili miał załatwiać sprawy bankowe? Spojrzał na biurko. W takiej chwili miał przyjmować i pertraktować z klientami? Podczas gdy jego proces się toczył, podczas gdy na strychu urzędnicy sądowi siedzieli nad jego aktami — miał przeprowadzać interesy bankowe? Czy nie wyglądało to na torturę, która, zatwierdzona przez sąd, związana była z procesem i towarzyszyła mu? A czy w ocenie jego pracy w banku uwzględnią w ogóle to jego szczególne położenie? Żadną miarą. Tu i ówdzie wiedziano już coś niecoś o procesie, choć nie było pewne, komu i ile jest wiadome. Aż do wicedyrektora pogłoski te nie mogły chyba dotrzeć, gdyż w przeciwnym razie jawnie i bez skrupułów wykorzystalby to przeciw K. zupełnie nie licząc się z koleżeństwem ani poczuciem ludzkości. A sam dyrektor? Niewątpliwie, był on do K. dobrze usposobiony i dowiedziawszy się o procesie prawdopodobnie pomyślałby, o ile by to od niego zależało, o pewnych ułatwieniach dla K., ale czy potrafiłby poprzeć swą wolę, gdy w miarę jak przeciwwaga, jaką stanowił K., słabła, coraz bardziej ulegał wpływowi wicedyrektora, ten zaś na dobitkę wykorzystywał zły stan zdrowia dyrektora dla powiększenia własnej władzy. Czegóż więc mógł K. się spodziewać? Może przez takie rozważania osłabiał swą odporność, ale trzeba też było koniecznie otrząsnąć się ze złudzeń i widzieć wszystko możliwie jak najjaśniej.

Bez szczególnej przyczyny, byle tylko nie wracać jeszcze do biurka, otworzył okno. Otwierało się trudno, aby przekręcić klamkę, musiał użyć obu rąk. Mgła zmieszana z dymem wtargnęła na całą szerokość i wysokość okna do pokoju i napełniła go lekkim zapachem spalenizny. Kilka płatków śniegu zabłąkało się z mgłą do pokoju.

— Ohydna jesień — odezwał się za plecami K. fabrykant, który powróciwszy od wicedyrektora wszedł niepostrzeżenie do pokoju. K. przytaknął i spojrzał niespokojnie na teczkę fabrykanta oczekując, że wyciągnie z niej papiery, ażeby

zakomunikować mu wynik pertraktacji z wicedyrektorem. Fabrykant jednak idąc za spojrzeniem K. poklepał teczkę i rzekł nie otwierając jej:

— Chce pan usłyszeć, jaki był wynik? Mam już prawie w teczce gotową umowę. Czarujący człowiek z pańskiego wicedyrektora, i jako przeciwnik wcale niebezpieczny.

Zaśmiał się, uściśnął rękę K, chcąc i jego pobudzić do śmiechu. Ale K. wydawało się z kolei podejrzanym, że fabrykant nie chciał mu pokazać papierów, a zresztą nie dostrzegł w uwadze fabrykanta nic śmiesznego.

— Panie prokurencie — rzekł fabrykant — pana pewnie przygnębia niepogoda. Wygląda pan dziś jakby przybity.

— Tak jest — rzekł K. sięgając ręką do skroni. — Ból głowy, troski rodzinne...

— Tak, tak — rzekł fabrykant, który jako człowiek prędko nie umiał nikogo spokojnie słuchać — każdy ma swój krzyż.

K. zrobił mimo woli krok ku drzwiom, jak gdyby chciał fabrykanta odprowadzić, ale ten powiedział:

— Mam jeszcze zakomunikować panu, panie prokurencie, drobną wiadomość. Boję się, że naprzykrzam się może panu, zwłaszcza dziś, ale byłem już w ostatnich czasach dwa razy u pana i za każdym razem zapominałem o tym. Jeśli to i dziś odłożę, rzecz może się zupełnie zdezaktualizować. A szkoda by było, gdyż w gruncie rzeczy moja wiadomość jest może nie bez wartości.

Nim K. miał czas odpowiedzieć, fabrykant podszedł do niego całkiem blisko i lekko pukając palcem w jego pierś, rzekł cicho:

— Pan ma proces, prawda?

K. cofnął się i zawołał natychmiast:

— Wicedyrektor to panu powiedział!

— Ależ nie — rzekł fabrykant. — Skądże by wicedyrektor miał o tym wiedzieć?

— A pan? — spytał K. już bardziej opanowany.

— Tu i ówdzie dochodzą mnie czasem wiadomości z sądu — odpowiedział fabrykant. — Tyczy się to również sprawy, o której chcę panu donieść.

— Tyle ludzi ma stosunki z sądem! — rzekł K. opuściwszy głowę i poprowadził fabrykanta do biurka. Usiedli znowu jak przedtem i fabrykant odezwał się:

— Niestety niewiele tylko mogę panu donieść. Ale w tych sprawach nie należy nawet najmniejszej drobnostki zaniedbać. Ponadto czułem potrzebę przyjścia panu z jakąś pomocą, choćby najskromniejszą. Przecież doskonale zgadzaliśmy się dotychczas w interesach, nieprawdaż? No, właśnie.

K. chciał się usprawiedliwić z powodu swego zachowania w ciągu dzisiejszej konferencji, ale fabrykant nie dał sobie przerwać, przycisnął silniej teczkę pod pachą na znak, że się śpieszy, i ciągnął dalej:

— O pańskim procesie wiem od niejakiego Titorellego. Jest to malarz, Titorelli to tylko jego pseudonim, jego prawdziwego nazwiska nie znam nawet. Już od lat zachodzi on od czasu do czasu do mego biura i przynosi małe obrazki, za które — jest on prawie żebrakiem — wręczam mu zawsze coś w rodzaju jałmużny. Zresztą są to ładne obrazki, krajobrazy przedstawiające łąki i podobne motywy. Te transakcje — obaj jużśmy do nich przywykli — odbywały się całkiem gładko. Raz jednak, gdy te wizyty stały się za częste, robiłem mu wyrzuty, zaczęliśmy rozmawiać, byłem ciekaw, w jaki sposób potrafi on utrzymać się jedynie z malarstwa, i ku memu zdziwieniu dowiedziałem się, że jego głównym źródłem dochodów jest malowanie portretów. Opowiadał mi, że pracuje dla sądu. — Dla jakiego sądu? — zapytałem. Zaczął mi więc opowiadać o sędzie. Pan sobie najlepiej może wyobrazić, jak zdziwiony byłem tymi opowiadaniem. Odtąd dowiaduję się przy każdej jego wizycie nowin z sądu i uzyskuję w ten sposób stopniowo coraz lepszy wgląd w te rzeczy. Zresztą jest on gadatliwy i muszę go nieraz hamować, nie tylko dlatego, że z pewnością czasem kłamie, lecz przede wszystkim dlatego, że człowiek jak ja, uginający się prawie od ciężarów własnych trosk i interesów, nie może się zbyt zajmować obcymi sprawami. Ale to tylko mimochodem. Może, myślałem sobie, będzie panu Titorelli w czymś pomocny, zna on wielu sędziów, a choć nie ma sam wielkiego wpływu, mógłby jednak udzielić panu rad, w jaki sposób dotrzeć do rozmaitych wpływowych ludzi. A gdyby nawet te rady same w sobie nie miały decydującego znaczenia, w pańskich rękach okażą się, jak sądzę, nader cenne. Jest pan przecież prawie adwokatem. Zawsze mówię: prokurent K. to prawie adwokat. O, nie mam obaw co do pańskiego procesu. Mimo to pójdzie pan jednak do Titorellego? Na moje polecenie zrobi na pewno wszystko, co może. Myślę, że powinien pan rzeczywiście pójść. Nie musi to być dzisiaj — może kiedyś, przy sposobności. W każdym razie, chcę jeszcze panu powiedzieć, przez to, że daję panu tę radę, nie jest pan bynajmniej zobowiązany udawać się do Titorellego. Wcale nie. Jeśli pan może się obejść bez niego, to z pewnością lepiej by było go uniknąć. Może ma pan już dokładny plan działania, a on mógłby panu go zepsuć. Nie, w takim razie niech pan żadną miarą doń nie idzie! Bądź co bądź wymaga to przewyciężenia — przyjmować rady od takiej kreatury. Więc jak pan chce. Tu ma pan list polecający, a tu adres.

Rozczarowany, wziął K. list i włożył go do kieszeni. Nawet w najlepszym razie korzyść, którą mu polecenie przynieść mogło, była nieporównanie niniejsza od szkody, tkwiącej w tym, że fabrykant wiedział o jego procesie i że malarz mógł dalej o nim rozpowiadać. Nie mógł się wprost zdobyć na podziękowanie fabrykantowi, który już zmierzał do drzwi.

— Pójdę do niego — rzekł żegnając się przy drzwiach z fabrykantem — albo napiszę mu, ponieważ jestem teraz bardzo zajęty, by kiedyś przyszedł do mnie do biura.

— Wiedziałem — rzekł fabrykant — że pan znajdzie najlepsze wyjście. Myślałem jednak, że zechce pan raczej uniknąć zapraszania ludzi tego rodzaju co Titorelli do banku, aby tu mówić o procesie. Jest też czasem ryzykowne oddawać swoje listy w ręce takich ludzi. Ale pan pewnie wszystko przemyślał i wie, co ma robić.

K. przytaknął i odprowadził fabrykanta jeszcze przez przedpokój. Ale mimo pozornego spokoju był przerażony sobą. To, że napisze do Titorellego, powiedział właściwie tylko dlatego, by fabrykantowi jakoś pokazać, że umie ocenić jego polecenia i zaraz weźmie pod rozwagę możliwość spotkania się z Titorellim, ale gdyby pomoc Titorellego uważał rzeczywiście za cenną, nie wahałby się też naprawdę doń napisać. Niebezpieczeństwa, jakie by z tego mogły wyniknąć, zrozumiał dopiero dzięki uwadze fabrykanta. Czy rzeczywiście już tak mało mógł polegać na swoim rozumie? Jeśli mógł niedwuznacznie zaprosić listem tak wątpliwego człowieka do banku, ażeby oddzielony tylko drzwiami od wicedyrektora, prosić o rady w sprawie procesu, czyż nie było możliwe, a nawet prawdopodobne, że przeoczał i inne czyhające nań niebezpieczeństwa? Nie zawsze stał ktoś obok niego, żeby go ostrzec. I właśnie teraz, gdy powinien skupić wszystkie swoje siły, musiały go nachodzić tego rodzaju, obce mu dotąd powątpiewania co do własnej czujności! Czyżby miały się teraz zacząć w procesie te same trudności, których doznawał w wykonywaniu swej pracy biurowej? Teraz w samej rzeczy nie mógł pojąć, jak było możliwe, iż chciał pisać do Titorellego i zaprosić go do banku.

Potrząsał jeszcze nad tym głową, gdy przystąpił do niego woźny i zwrócił mu uwagę na trzech panów siedzących w przedpokoju na ławce. Czekali już długo na to, by ich dopuszczono do K. Obecnie, kiedy woźny rozmawiał z K., powstali i każdy z nich chciał wyzyskać korzystny moment, ażeby przed innymi dostać się przed K. Ponieważ w banku nie miano dla nich względów i pozwalano im tracić czas w poczekalni, i oni nie chcieli kierować się żadnymi względami.

— Panie prokurencie — rzekł już jeden z nich, ale K. kazał woźnemu przynieść palto zimowe i wdziwając je przy jego pomocy, zwrócił się do całej trójki:

— Wybaczcie, panowie, nie mam chwilowo niestety czasu przyjąć panów. Proszę panów bardzo o wybaczenie, ale mam do załatwienia pilny interes na mieście i muszę natychmiast wyjść.

Widzieli panowie sami, jak długo mnie właśnie zatrzymano. Czy nie zechcieliby panowie przyjść łaskawie jutro lub kiedykolwiek indziej? A może omówimy te sprawy telefonicznie? Albo może powiedzą mi teraz panowie pokrótce, o co chodzi, a ja udzielę panom dokładnej odpowiedzi na piśmie. Najlepiej byłoby, gdyby panowie przyszli innym razem.

Te propozycje wprawiły panów, którzy tak zupełnie nadaremnie czekali, w takie zdumienie, że bez słowa spoglądali na siebie.

— Więc zgoda? — spytał K. oglądając się za woźnym, który przyniósł mu również kapelusz.

Przez otwarte drzwi widać było, jak śnieżycą na dworze gwałtownie się wzmogła. K. postawił więc wysoko kołnierz płaszcza i zapiał go pod samą szyję.

Wówczas wyszedł właśnie z przyległego pokoju wicedyrektor, popatrzył z uśmiechem na K. rozmawiającego w płaszczu z klientami i zapytał:

— Pan wychodzi teraz, panie prokurencie?

— Tak jest — rzekł K. prostując się — mam interes na mieście.

Ale wicedyrektor już zwrócił się do panów.

— A panowie — pytał — czekają już, zdaje mi się, długo.

— Jużśmy się porozumieli — rzekł K.

Teraz jednak nie dali się już panowie dłużej powstrzymać, otoczyli K. i oświadczyli, że nie byliby godzinami czekali, gdyby ich sprawy nie były ważne i nie musiały być natychmiast, i to szczegółowo, w cztery oczy omówione. Wicedyrektor przysłuchiwał się im chwilę, przypatrując się również odchodzącemu K., który trzymał kapelusz w ręku i strzepywał z niego tu i ówdzie jakiś pyłek, i rzekł potem:

— Moi panowie, jest łatwe wyjście, jeżeli ja panom wystarczę, chętnie zajmę się tą sprawą zamiast pana prokurenta. Sprawy panów muszą być naturalnie natychmiast omówione, jesteśmy, tak jak i panowie, ludźmi interesu i umiemy czas cenić. Czy zechcą panowie wejść? — I otworzył drzwi do przedpokoju swego gabinetu.

Jakże umiał wicedyrektor wszystko sobie przywłaszczyć, czego K. musiał z konieczności się wyrzec. Czy jednak K. nie za prędko rezygnował z rzeczy, co do których nie zachodziła konieczność wyrzeczenia się?

Podczas gdy z nieokreśloną i, jak sam musiał przyznać, znikomą nadzieją biegł do jakiegoś nieznanego malarza, jego stanowisko doznawało tutaj niepowetowanej szkody. Na pewno byłoby o wiele lepiej zdjąć palto i odzyskać dla siebie przynajmniej tych dwóch panów, którzy przecież jeszcze musieli czekać. K. byłby może spróbował to zrobić, gdyby nagle nie spostrzegł w swoim pokoju wicedyrektora szukającego, jak gdyby był u siebie, czegoś na półce z książkami. Gdy K. zirytowany tym zbliżał się do drzwi, zawołał on:

— Ach, pan jeszcze nie wyszedł! — zwrócił ku niemu swą twarz, której liczne głębokie zmarszczki zdawały się świadczyć raczej o sile niż o starości, i zaczął natychmiast dalej szukać. — Szukam odpisu umowy, który, jak twierdzi przedstawiciel firmy, znajduje się podobno u pana. Czy nie pomoże mi pan go znaleźć? — K. zrobił krok naprzód, ale wicedyrektor rzekł: — Dziękuję, już znalazłem — i skierował się ku wyjściu z wielkim stosem akt zawierającym nie tylko szukany kontrakt, ale zapewne i wiele innych papierów.

„Teraz nie mogę mu dać rady — rzekł K. sam do siebie — skoro tylko jednak usunę moje osobiste trudności, on będzie zaprawdę pierwszym, który to poczuje, i to możliwie gorzko”. — Nieco uspokojony tą myślą, polecił woźnemu, który od dawna trzymał drzwi na korytarz otwarte do wyjścia, by zameldował dyrektorowi, że wyszedł na miasto w interesie, i opuścił bank, niemal szczęśliwy, że przez czas jakiś będzie mógł oddać się całkowicie swej sprawie.

Pojechał natychmiast do malarza, który mieszkał na przedmieściu położonym w całkiem przeciwnej części miasta aniżeli kancelarie sądowe. Była to jeszcze biedniejsza dzielnica, domy były tu jeszcze ciemniejsze, ulice pełne brudu, który zlewał się z topniejącym śniegiem. W domu, w którym malarz mieszkał, było otwarte tylko jedno skrzydło wielkiej bramy, w drugim zaś znajdował się u dom wyłom, którędy, w chwili gdy K. się zbliżył, wytoczyła się raptem żółta, dymiąca, smrodliwa ciecz. Kilka szurów, przestraszonych tym, czmychnęło do pobliskiego kanału. Przed schodami leżało dziecko na brzuchu i płakało, ale nikt go nie słyszał w hałasie pochodzącym z warsztatu blacharskiego po drugiej stronie sieni. Drzwi warsztatu były otwarte, trzech czeladnicy stali w półkolu dookoła jakiegoś kawałka żelaza, które obrabiali młotami. Wielki arkusz blachy cynkowej, wiszący na ścianie, rzucał blady refleks, który oświecał twarze i fartuchy robotników. K. tylko pobieżnie spojrzął na wszystkie te szczegóły, chciał jak najprędzej uporać się z tą wizytą, w kilku słowach wybadać malarza i natychmiast wrócić do banku. Jeśliby wyciągnąć stąd zdołał bodaj najmniejszą korzyść, wyszłoby to jeszcze tego dnia na dobre jego pracy biurowej. Na

trzecim piętrze musiał zwolnić kroku, schody i piętra były nadmiernie wysokie, a malarz mieszkał podobno w mansardzie pod samym dachem. Powietrze było ciężkie, schody zamknięte z obu stron murami, w których tu i ówdzie tylko, wysoko umieszczone, świeciły małe okienka. Właśnie gdy K. przystanął na chwilę, wyleciały małe dziewczynki z jednego z mieszkań i pobiegły ze śmiechem schodami w górę. K. szedł za nimi powoli, zrównał się z jedną z dziewczynek, która potknęła się i została w tyle za innymi, i spytał idąc obok niej po schodach:

— Czy mieszka tu niejaki malarz Titorelli?

Dziewczynka, może trzynastoletnia, nieco garbata, trąciła go na to łokciem i spojrzała nań z ukosa. Ani młodość, ani kalectwo nie zdołały jej uchronić przed zupełnym zepsuciem. Nawet nie uśmiechała się do K., lecz patrzyła mu w oczy ostrym, prowokującym spojrzeniem. K. udawał, że nie dostrzega jej zachowania, i zapytał:

— Czy znasz malarza Titorellego?

Przytaknęła i zapytała:

— Czego pan chce od niego?

K. uznał, że dobrze będzie dowiedzieć się na poczekaniu czegoś o malarzu.

— Chcę, aby namalował mój portret — rzekł.

— Namalował portret? — zapytała dziewczynka, otworzyła szeroko usta, machnęła lekko ręką w kierunku K., jak gdyby usłyszała coś bardzo niespodziewanego czy niezręcznego, podniosła oburącz jeszcze wyżej swą króciutką sukienkę i pobiegła, jak mogła najprędzej, za innymi dziewczynkami, których niewyraźny krzyk gubił się już w górze. Przy najbliższym jednak zakręcie schodów napotkał K. już znowu wszystkie dziewczynki razem. Powiadomione zapewne przez garbatą o jego zamiarze, oczekiwały go po obu stronach schodów, przyciśnięte do muru, ażeby K. mógł między nimi przejść, i wyglądały rękoma swe fartuszki. Twarze tych dziewcząt, tworzących teraz szpaler po obu stronach, zdradzały jakąś mieszaninę dziecinności i niegodziwości. W górze, na czele dziewcząt, roześmianych znowu i zbitych w gromadkę za plecami K., stała garbata, która widocznie objęła nad nimi dowództwo. Jej zawdzięczał K., że od razu trafił na właściwą drogę. W chwili bowiem, gdy chciał się wspinać wyżej, wskazała mu, że musi wejść na boczne schody, ażeby dostać się do Titorellego. Schody do niego prowadzące były szczególnie wąskie, długie, bez zakrętu, można je było aż do góry objąć wzrokiem, i kończyły się przed drzwiami malarza. Te drzwi, w przeciwieństwie do reszty schodów, oświetlone dosyć jasno poprzez ukośnie umieszczone nad nimi okienko, zrobione były z nie bielonych belek, na których

nazwisko „Titorelli” namalowane było grubo czerwoną farbą. K. nie doszedł jeszcze ze swoim orszakiem do połowy schodów, gdy w górze, widocznie wywołany hałasem wielu nóg na schodach, ukazał się w szparze drzwi mężczyzna ubrany prawdopodobnie w samą koszulę nocną.

— Och! — zawołał zobaczywszy nadchodzącą gromadkę i znikł.

Garbata klaskała z radości w ręce, a reszta dziewcząt stłoczyła się popychając K. naprzód.

Jeszcze nie doszli do góry, gdy malarz otworzył drzwi na oścież i z głębokim ukłonem zaprosił K. do wejścia. Dziewczęta natomiast odsunął od drzwi i nie chciał żadnej z nich wpuścić, mimo że prosiły i usiłowały, jeśli nie za jego pozwoleniem, to gwałtem wtargnąć. Tylko garbatej udało się pod jego wyciągniętym ramieniem prześliznąć do środka, ale malarz pognał za nią natychmiast, pochwycił ją za spódnicę, okręcił raz dookoła siebie i odstawił za drzwi między inne dziewczęta, które nie ośmieliły się przekroczyć progu. K. nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, odnosiło się wrażenie, jak gdyby działo się to po przyjaźni i w najlepszej zgodzie. Dziewczęta przed drzwiami wyciągały jedna za drugą szyje ku górze wykrzykując w stronę malarza jakieś żartobliwe słowa, których K. nie rozumiał, i sam malarz śmiał się wywijając młyńca garbatą. Następnie zamknął drzwi, ukłonił się raz jeszcze przed K., podał mu rękę przedstawiając się: „Artysta-malarz Titorelli”. K. wskazał na drzwi, za którymi dziewczęta szeptały, i rzekł:

— Pan cieszy się w tym domu wielką wziętością.

— Ach, te trzpioty! — rzekł malarz usiłując bezskutecznie zapiąć koszulę pod szyją. Był zresztą bosy, ubrany tylko w szerokie, żółtawe spodnie płócienne, ściągnięte rzemieniem, którego długi koniec obijał się na wszystkie strony.

— Te smarkule są dla mnie prawdziwą plagą — zaczął znowu poniechawszy koszuli, której ostatni guzik właśnie odleciał, przyniósł krzesło dla K. i zmusił go do zajęcia miejsca.

— Malowałem raz jedną z nich — nie ma jej dziś między nimi — i od tego czasu wszystkie mnie prześladują. Jeśli jestem w domu, wchodzi tylko wtedy, gdy na to pozwolę, ale skoro tylko opuszczę pokój, już co najmniej jedna siedzi w środku. Dorobiły klucz do mieszkania, który sobie wzajemnie pożyczają. Nie można sobie wyobrazić, jakie z tym mam utrapienie. Przychodzę na przykład z damą, którą mam malować, otwieram drzwi moim kluczem i znajduję, dajmy na to, garbatą, malującą sobie moim pędzlem usta na czerwono, podczas gdy jej małe rodzeństwo, którym ma się opiekować, łązi po wszystkich kątach i zanieczyszcza cały pokój. Albo przychodzę,

jak mi się to wczoraj zdarzyło, późno w nocy do domu — pan wybaczy dlatego mój stan i nieporządek w pokoju — przychodzę zatem późno w nocy do domu i chcę się pakować do łóżka, gdy nagle coś szczypie mnie w łydkę, schylam się pod łóżko i wyciągam takie maleństwo. Dlaczego tak się do mnie garną — nie mam pojęcia, że ich nie wabię do siebie, mógł pan dopiero co zauważyć. Naturalnie, że przeszkadza to i w robocie. Gdyby nie to, że dają mi tę pracownię bezpłatnie, dawno bym się wyprowadził.

Za drzwiami odezwał się cienki i bojaźliwy głosik:

— Titorelli, czy możemy już wejść?

— Nie — odpowiedział malarz.

— Ja sama także nie? — pytał głosik dalej.

— Także nie — odrzekł malarz, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

K. rozejrzał się tymczasem po pokoju, nigdy by sam nie wpadł na myśl, że można było ten nędzny mały pokoik nazwać pracownią. Więcej niż dwa kroki niepodobna w nim było zrobić wzdłuż i wszerz. Wszystko, podłoga, ściany, sufit, były z drzewa, między belkami świeciły wąskie szpary. Naprzeciw K. było ustawione łóżko, zawalone różnokolorową pościelą. W środku pokoju stał na sztalugach obraz zakryty koszulą, której rękaw zwisał do ziemi. Za głową K. umieszczone było okno, przez które we mgle widniał tylko dach przeciwległego domu pokryty śniegiem.

Na zgrzyt klucza w zamku przypomniał sobie K., że chciał wnet odejść. Wyjął więc list fabrykanta z kieszeni, podał go malarzowi i rzekł:

— Dowiedziałem się o panu od tego oto pańskiego znajomego i przyszedłem za jego radą.

Malarz przeczytał pobieżnie list i rzucił go na łóżko. Gdyby fabrykant nie był o Titorellim mówił jak o swym znajomym, biednym człowieku zdanym na jego jałmużnę, można by w istocie myśleć, że Titorelli nie zna fabrykanta lub nie może go sobie przypomnieć. Na domiar wszystkiego malarz zapytał:

— Czy pan chce kupić obrazy, czy zamówić portret?

K. spojrział zdumiony na malarza. Co zawierał właściwie list? K. uważał za samo przez się zrozumiałe, że fabrykant poinformował malarza, iż K. nic innego nie chciał, jak dowiedzieć się czegoś o swoim procesie. Po cóż biegł tutaj z tak nieopatrzny pośpiechem? Na pytanie malarza trzeba było jednak coś odpowiedzieć, więc rzekł rzuciwszy spojrzenie na sztalugi:

— Pan pracuje właśnie nad jakimś obrazem?

— Tak jest — rzekł malarz i zrzucił koszulę wiszącą na obrazie, podobnie jak list, na łóżko. — To jest portret. Dobra robota, ale jeszcze nie całkiem gotowa.

Przypadek był dla K. przychylny, możliwość rozmowy o sędzie nasuwała się wprost sama, gdyż portret przedstawiał najwyraźniej sędziego. Obraz był zresztą zdumiewająco podobny do obrazu wiszącego w gabinecie adwokata. Co prawda, chodziło tu o innego sędziego, grubego mężczyznę z krzaczastą gęstą brodą, która po bokach zarastała wysoko policzki. Tamten obraz był też obrazem olejnym, podczas gdy ten naszkicowany blado i niewyraźnie pastelami, ale wszystko inne było podobne, bo i tu podnosił się właśnie sędzia groźnie ze swego tronu, wspierając dłonie na jego poręczach. „To jest przecież sędzia”, o mało co nie powiedział K., ale na razie powstrzymał się jeszcze i zbliżył do obrazu, jak gdyby chciał go w szczegółach obejrzeć. Nie mógł sobie wytłumaczyć wielkiej niewyraźnej figury, która stała na środku za krzesłem, i zapytał o nią malarza. Malarz odpowiedział, że musi ją jeszcze wykończyć, wziął ze stolika kredkę pastelową i kreskował nieco wzdłuż konturów figury, nie czyniąc jej przez to dla K. wyraźniejszą. — To jest Sprawiedliwość — oświadczył w końcu.

— Teraz poznaję już — rzekł K. — tu jest przepaska na oczach, a tu jest waga. Ale czy nie ma ona u nóg skrzydeł i czy nie jest przedstawiona w biegu?

— Tak jest — rzekł malarz — musiałem na zamówienie tak ją namalować, jest to właściwie bogini sprawiedliwości i zwycięstwa w jednej osobie.

— To nie jest dobre połączenie — rzekł K. z uśmiechem — sprawiedliwość musi spoczywać, inaczej chwieje się waga i sprawiedliwy wyrok staje się niemożliwy.

— Poddaję się w tym woli zamawiającego — rzekł malarz.

— Pewnie — rzekł K., który nikogo nie chciał swą uwagą urazić — pan malował tę figurę w tej pozycji, w jakiej ona rzeczywiście za tronem stała.

— Nie — rzekł malarz — nie widziałem ani tronu, ani figury, to wszystko jest wymysł, ale dano mi wskazówki, co mam malować.

— Co? — pytał K.; umyślnie udawał, że nie rozumie malarza dokładnie. — Przecież to jest sędzia siedzący na sędziowskim krześle.

— Tak — rzekł malarz — ale nie jest to wysoki sędzia, nie siedział nigdy na takim tronie.

— I mimo to daje się malować w tej uroczystej pozie? Toż siedzi on jak prezes sądu.

— Tak, ci panowie są próżni — rzekł malarz. — Ale mają oni zezwolenie z góry na to, aby dać się w ten sposób malować. Każdemu wyznaczono dokładnie, jak wolno

mu się malować, tylko nie można niestety na tym obrazie widzieć szczegółów stroju i miejsca, pastele nie nadają się do przedstawiania tego.

— Tak, to dziwne, że obraz wykonany jest pastelami — rzekł K.

— Sędzia życzył sobie tego — rzekł malarz — portret przeznaczony jest dla damy.

Widok obrazu wzbudził, zdaje się, w malarzu ochotę do pracy, zakasał rękawy, wziął kilka kredek do ręki i K. widział, jak pod ich drżącymi ostrymi końcami dookoła głowy sędziego utworzyła się czerwona poświata, która ku brzegom obrazu przechodziła w promienie. Stopniowo objęła ta gra cieni głowę przypominając błyszczącą ozdobę albo wysokie odznaczenie. Dookoła figury Sprawiedliwości pozostało jednak tło jasne, nieznacznie tylko zacieniowane, i z tej jasności postać zdawała się występować w sposób szczególnie wyrazisty. Nie przypominała już wcale bogini sprawiedliwości ani też bogini zwycięstwa, wyglądała teraz raczej zupełnie jak bogini łowów.

K. czuł się pracą malarza zafascynowany bardziej, niż chciał, w końcu zaczął sobie czynić wyrzuty, że tak długo już tu stoi i nic nie robi dla swojej sprawy.

— Jak nazywa się ten sędzia? — zapytał nagle.

— Tego nie wolno mi powiedzieć — rzekł malarz.

Głęboko pochylony nad obrazem wyraźnie ignorował gościa, którego przecież z początku z takimi względami przyjął. K. uważał to za kaprys malarza i irytowało go to, gdyż tracił z tego powodu czas.

— Pan jest pewnie mężem zaufania sądu? — zapytał.

W tej chwili malarz odłożył pastele, podniósł się i pocierając ręce o siebie patrzył z uśmiechem na K.

— Tylko od razu bez ogródek — rzekł. — Pan chce się dowiedzieć czegoś o sędzie, jak wyczytałem zresztą z listu polecającego, a zaczął pan od moich obrazów, aby mnie ująć. Nie biorę tego panu za złe, nie mógł pan o tym wiedzieć, że w moim wypadku to niepotrzebne. O, proszę — rzekł z wzbraniającym gestem, gdy K. chciał oponować. Potem ciągnął dalej: — Zresztą pańska uwaga była zupełnie słuszna, jestem mężem zaufania sądu.

Zrobił pauzę, jakby w tym celu, by K. miał czas pogodzić się z tym faktem. Znowu słyhać było dziewczęta chichoczące za drzwiami. Prawdopodobnie cisnęły się do dziurki od klucza, może też zerkały przez szpary między belkami. K. zaniechał wszelkich usprawiedliwień, nie chciał odwozić malarza od tematu, nie chciał też z

drugiej strony, by malarz zbyt się wywyższał i czynił się niejako niedosiężnym, zapytał przeto:

— Czy to jest oficjalnie uznane stanowisko?

— Nie — rzekł malarz krótko, jakby odebrało mu to pytanie mowę.

K. nie chciał, by zamilkł, i rzekł:

— Często takie nieoficjalne stanowiska są bardziej wpływowe niż oficjalne.

— Tak jest właśnie ze mną — rzekł malarz przytakując ze ściągniętymi brwiami. — Mówiłem właśnie wczoraj z fabrykantem o pańskiej sprawie, pytał mnie, czy nie mógłbym panu pomóc, odpowiedziałem: Niech do mnie przyjdzie — i teraz cieszę się, że mogłem pana tak prędko u mnie powitać. Jak widzę, wziął pan sobie sprawę bardzo do serca, wcale się temu nie dziwię. Czy nie zechce pan może najpierw zdjąć palta?

Jakkolwiek K. zamierzał tu tylko krótko się zatrzymać, przyjął z ochotą propozycję malarza. Powietrze stawało się stopniowo coraz bardziej duszne, ze zdziwieniem spoglądał na mały, bez wątpienia zimny piecyk żelazny w kącie, nie mógł sobie wytłumaczyć wzrastającej duszności. Podczas gdy zdejmował palto i rozpinął jeszcze ponadto surdut, malarz rzekł tonem usprawiedliwienia:

— Muszę mieć ciepło. Tu jest bardzo przytulnie, nieprawda? Pokój jest pod tym względem doskonale położony.

K. nie odpowiedział, ale czuł się nieswojo, nie tyle z powodu gorąca, ile z powodu dusznego, zapierającego oddech powietrza. Pokój widocznie od dawna nie był przewietrzany. Przykre uczucie wzrosło, gdy malarz prosił go, by usiadł na łóżku, podczas gdy on sam zasiadł na jedynym w pracowni krześle, przed sztalugami. Prócz tego malarz tłumaczył sobie fałszywie okoliczność, że K. pozostał na skraju łóżka, prosił go, by się rozsiadł wygodnie, a gdy K. się ociągał, podszedł do niego i wepchnął go głęboko między pierzyny i poduszki. Następnie powrócił na swoje miejsce i postawił pierwsze rzeczowe pytanie, które zapytanemu zaparło oddech w piersi.

— Czy jest pan niewinny? — zapytał.

— Tak jest — rzekł K.

Odpowiedź na to pytanie sprawiła mu wprost radość, zwłaszcza że dana była osobie prywatnej, niejako bez żadnej odpowiedzialności. Nikt jeszcze nie pytał go tak otwarcie. Ażeby tę radość przedłużyć, dodał jeszcze:

— Jestem całkowicie niewinny.

— Tak — rzekł malarz, spuścił głowę i zdawał się rozmyślać. Nagle podniósł głowę i rzekł:

— Jeżeli pan jest niewinny, to sprawa jest całkiem prosta.

K. spuścił wzrok, rozczarowany: ten rzekomy mąż zaufania sądu mówił jak nieświadome dziecko.

— Moja niewinność nie upraszcza sprawy — rzekł. Musiał mimo wszystko uśmiechnąć się i potrząsał powoli głową. — Chodzi tu o różne subtelności, w które sąd wnika. W końcu jednak wywleka skądś, gdzie pierwotnie nic nie było, jakąś wielką winę.

— Tak, tak, bez wątpienia — rzekł malarz, jak gdyby K. niepotrzebnie mącił tok jego myśli. — Ale pan jest niewinny?

— No, tak — rzekł K.

— To jest najważniejsze — rzekł malarz.

Nie można go było przekonać żadnymi argumentami, ale mimo jego stanowczości nie było jasne, czy mówił tak z przekonania, czy z obojętności. To chciał K. przede wszystkim rozstrzygnąć i rzekł dlatego:

— Pan zna sąd zapewne o wiele lepiej ode mnie, co do mnie, to wiem tylko tyle, ile od różnych ludzi słyszałem. W tym jednak byli wszyscy zgodni, że nie wdraża się lekkomyślnych skarg i jeśli sąd występuje już raz ze skargą, trudno go odwieść od przekonania o winie oskarżonego.

— Trudno? — zapytał malarz i wyrzucił rękę do góry. — Nigdy nie da się odwieść sądu od tego przekonania. Jeżeli namaluję tu jednego przy drugim wszystkich sędziów i pan będzie się przed tym płótnem bronił, więcej pan wskóra przed nim niż przed prawdziwym sądem.

— Tak — rzekł K. do siebie i zapomniał, że chciał tylko wybadać malarza.

Zza drzwi znów zaczęła dopytywać się jakaś dziewczynka:

— Titorelli, czy on już wnet pójdzie?

— Cicho! — odrzekł malarz w kierunku drzwi — czy nie widzicie, że rozmawiam z panem?

Ale dziewczynka nie dała się tym zbyć i pytała dalej:

— Będziesz go malował?

A gdy malarz nie odpowiadał, powiedziała jeszcze:

— Nie maluj, proszę, takiego brzydkiego człowieka.

Dał się słyszeć gwar niezrozumiale przytakujących głosów. Malarz podskoczył do drzwi, otworzył je na szerokość szpary — widać było przez nią złożone błagalnie ręce dziewcząt — i rzekł:

— Jeżeli nie będziecie cicho, zrzucę was wszystkie ze schodów. Siadajcie na stopniach i zachowujcie się spokojnie. — Prawdopodobnie nie od razu posłuchały, tak że musiał zakomenderować: — Siadać na stopniach! — Wtedy dopiero uciszyło się.

— Niech pan wybaczy — rzekł malarz powróciwszy na swoje miejsce.

K. nie odwracał się nawet do drzwi, nie troszczył się o to, czy i jak weźmie go malarz w obronę przed dziewczętami. Nie poruszył się także i teraz, gdy malarz nachylając się nad nim, by nie być z zewnątrz słyszany, rzekł:

— Także te dziewczęta należą do sądu.

— Co? — zapytał K., odchylił głowę w bok i popatrzył na malarza. Ale malarz usiadł z powrotem na krześle i rzekł na wpół żartem, na wpół dla wyjaśnienia:

— Wszystko przecież należy do sądu.

— Tego nie zauważyłem jeszcze — rzekł krótko K.; ogólna uwaga malarza odebrała wiadomości o dziewczętach jej niepokojący charakter. Mimo to popatrzył K. przez moment na drzwi, za którymi dziewczęta siedziały cicho na stopniach. Tylko jedna wetknęła w szparę źdźbło słomy i wodziła nim wzdłuż szpary do góry i na dół.

— Pan nie ma, zdaje się, jeszcze właściwego poglądu na sąd — rzekł malarz. Rozstawiwszy nogi wypukiwał palcami takt na podłodze. — Ponieważ jest pan jednak niewinny, nie będzie pan tego potrzebował. Ja sam pana wyciągnę.

— Jak pan to chce zrobić? — zapytał K. — Skoro pan przed chwilą sam utrzymywał, że sąd jest zupełnie niedostępny dla argumentów.

— Niedostępny tylko dla argumentów, które podnosi się oficjalnie przed sądem — rzekł malarz podnosząc palec, jak gdyby K. nie zauważył subtelного rozróżnienia. — Inaczej ma się sprawa z tym, co przedsięwzię się pod tym względem za plecami sądu, a więc w salach obrad, na korytarzach albo nawet tu, w pracowni.

To, co malarz teraz mówił, nie wydawało się nieprawdopodobne, zgadzało się w wysokim stopniu z tym, co K. i skądinąd słyszał. To budziło nawet pewne nadzieje. Jeśli sędzia powodował się tak łatwo osobistymi względami, jak to adwokat przedstawiał, to stosunki malarza z próżnymi sędziami mogły mieć znaczenie, nie należało ich w żadnym wypadku lekceważyć. W takim razie można było włączyć malarza w krąg pomocników, których K. stopniowo dookoła siebie gromadził. Chwalono raz w banku jego talent organizacyjny. Tu, gdzie był zdany wyłącznie na siebie, ukazywała się sposobność wypróbowania go do najdalszych granic. Malarz obserwował wrażenie, jakie to oświadczenie uczyniło na gościu, i rzekł potem z pewnym wahaniem:

— Czy nie uderza pana, że mówię niemal jak prawnik? Sprawia to nieustanny kontakt z panami z sądu. Odnoszę stąd niemałą korzyść, ale rozmach twórczy zanika w znacznej mierze.

— Jak pan wszedł po raz pierwszy w kontakt z sędziami? — zapytał K. Chciał naprzód pozyskać zaufanie malarza, zanim go wprost miał zwerbować do swojej służby.

— To jest bardzo proste — rzekł malarz — ten kontakt odziedziczyłem. Już mój ojciec był malarzem sądowym. To jest stanowisko, które się dziedziczy. Nie można do tego użyć nowych ludzi. Dla malowania różnych urzędowych rang ustanowione są tak rozmaite, liczne i przede wszystkim tajemne reguły, że znajomość ich nie wychodzi w ogóle poza pewne rodziny. Tam w szufladzie, na przykład, mam notatki mego ojca, których nikomu nie pokazuję. Ale tylko ten, kto je zna, powołany jest do malowania sędziów. Jednak nawet gdybym je zgubił, pozostało mi tyle reguł w głowie, iż nikt mnie nie może wyprzeć z mego stanowiska. Przecież każdy sędzia chce być tak malowany, jak malowano dawnych wielkich sędziów, a to tylko ja potrafię.

— To jest godne zazdrości — rzekł K. myśląc o swoim stanowisku w banku. — Pańskie stanowisko jest zatem nie do zachwiania?

— Nie do zachwiania — rzekł malarz i podniósł dumnie ramiona. — Dlatego też mogę tu i ówdzie pomóc jakiemuś nieborakowi, który ma proces.

— I jak pan to czyni? — pytał K., jak gdyby to nie jego nazwał ten człowiek nieborakiem. Ale malarz nie dał się odwieść od swego toku myśli:

— W pańskim wypadku na przykład, ponieważ pan jest niewinny, przedsięwziąłbym rzecz następującą...

Ciągle wspomnianie jego niewinności stało się dla K. ciężarem. Zdawało mu się, jakoby malarz czynił pomyślny wynik procesu warunkiem swej pomocy, która przez to naturalnie traciła swój sens. Mimo tych wątpliwości opanował się i nie przerywał malarzowi. Zrzec się tej pomocy nie myślał, był zdecydowany ją przyjąć, nie wydawała mu się bardziej wątpliwa niż pomoc adwokata. K. stawiał ją nawet wyżej, bo ofiarowano mu ją w sposób prostszy i bardziej otwarty.

Malarz przysunął krzesło bliżej do łóżka i ciągnął dalej przyciszonym głosem:

— Zapomniałem pana zapytać na wstępie, jakiego rodzaju uwolnienia pan pragnie. Istnieją trzy możliwości, mianowicie: prawdziwe uwolnienie, pozorne uwolnienie i przewleczenie. Prawdziwe uwolnienie jest naturalnie najlepsze, ale na tego rodzaju rozwiązanie nie mam najmniejszego wpływu. Moim zdaniem, nie ma człowieka, który by na to miał wpływ. Tu decyduje, zdaje się, jedynie istotna

niewinność oskarżonego. Ponieważ jest pan niewinny, mógłby pan w istocie zdać się może wyłącznie na swą niewinność. W takim razie jednak ani moja, ani żadna inna pomoc nie jest panu potrzebna.

Tym systematycznym wykładem był K. z początku zaskoczony, potem jednak rzekł tak samo cicho jak malarz:

— Zdaje mi się, że pan sobie przeczy.

— Jakże to? — zapytał malarz cierpliwie i oparł się z uśmiechem o poręcz. Ten uśmiech obudził w K. uczucie, jak gdyby zamierzał wykazywać sprzeczności już nie w słowach malarza, lecz w samym postępowaniu sądowym. Mimo to nie cofnął się i rzekł:

— Zrobił pan poprzednio uwagę, że sąd jest dla argumentów niedostępny, potem ograniczył pan to do sądu występującego *ex officio*, a teraz mówi pan nawet, że niewinny nie potrzebuje pomocy. Już w tym tkwi sprzeczność. Prócz tego powiedział pan przedtem, że można wpłynąć osobiście na sędziów, a teraz przeczy pan temu, jakoby można kiedykolwiek osiągnąć rzeczywiste uwolnienie przez osobiste wpływy. W tym tkwi druga sprzeczność.

— Te sprzeczności łatwo wyjaśnić — rzekł malarz. — Mowa tu o dwóch różnych rzeczach: o tym, co powiedziane jest w prawie, i o tym, czego ja sam osobiście się dowiedziałem. Tego nie wolno panu mieszać. Z jednej strony powiedziane jest w prawie — ja sam nie czytałem go zresztą — że niewinny zostaje uwolniony, z drugiej natomiast nie jest tam powiedziane, że na sędziów można wpłynąć. Tymczasem moje doświadczenie poucza mnie o czymś przeciwnym. Nie znam ani jednego wypadku prawdziwego uwolnienia, natomiast wiele wypadków wpłynięcia na sąd. Możliwe jest naturalnie, że wśród wszystkich znanych mi spraw nie było wypadku niewinności. Ale czy to nie jest nieprawdopodobne? Wśród tylu spraw ani jednego wypadku niewinności? Już jako dziecko przysłuchiwałem się pilnie ojcu, gdy opowiadał w domu o procesach, także sędziowie, którzy przychodzili do pracowni, opowiadali o sądzie, w naszych kołach nie mówi się w ogóle o niczym innym; ile razy miałem sam sposobność pójść do sądu, korzystałem z niej zawsze, przysłuchiwałem się niezliczonym procesom w najważniejszych stadiach i śledziłem je, o ile były widoczne, a jednak — muszę wyznać — ani jednego prawdziwego uwolnienia nie widziałem.

— Ani jednego uwolnienia — rzekł K., jakby mówił do siebie i swoich nadziei. — To jednak potwierdza mniemanie, jakie mam o sądzie. A zatem i z tej strony jest to bezcelowe. Jedyńy oprawca mógłby zastąpić cały sąd.

— Nie powinien pan uogólniać — rzekł malarz z niezadowoleniem — mówiłem przecież tylko o moich doświadczeniach.

— To wystarcza — rzekł K. — A może słyszał pan o uwolnieniach w dawniejszych czasach?

— Takie uwolnienia podobno się dawniej zdarzały — odpowiedział malarz. — Tylko trudno jest to stwierdzić. Ostateczne decyzje sądu nie są ogłaszane, nie są one dostępne nawet sędziom. Z tego powodu zachowały się o starych sprawach sądowych jedynie legendy. Te zawierają nawet w większości wypadków uwolnienia, można w nie wierzyć, ale sprawdzić ich się nie da. Mimo to nie należy ich całkiem lekceważyć, jakąś tam prawdę zawierają one na pewno, przy tym są bardzo piękne, ja sam malowałem kilka obrazów, które mają za treść takie legendy.

— Same legendy nie mogą zmienić mego zdania — rzekł K. — Nie można się też chyba na nie powoływać przed sądem?

Malarz zaśmiał się.

— Nie, tego nie można — rzekł.

— W takim razie jest bezcelowe o tym mówić — rzekł K.

Chciał on na razie przyjąć wszystkie mniemania malarza za dobrą monetę, nawet jeśli je uważał za nieprawdopodobne i jeśli przeczyły innym relacjom. Nie miał teraz czasu badać, do jakiego stopnia jest prawdziwe wszystko, o czym malarz mówił, albo też zbijać jego twierdzenia. Dużo by już osiągnął, gdyby go skłonić potrafił, by mu w jakikolwiek, choćby nie decydujący sposób pomógł. Rzekł przeto:

— Pomińmy więc rzeczywiste uniewinnienie, wspomniał pan jeszcze o dwóch innych możliwościach.

— Pozorne uwolnienie i przewleczenie. Tylko o to może chodzić — rzekł malarz. — Czy nie chce pan jednak, zanim o tym będziemy mówili, zdjąć surduta? Na pewno jest panu gorąco.

— Tak — rzekł K. Dotychczas na nic innego nie zważał, jak tylko na wyjaśnienia malarza, ale teraz, gdy mu przypomniano gorąco, obfity pot wystąpił mu na czoło. — Jest nie do wytrzymania.

Malarz przytakiwał, jak gdyby rozumiał dobrze przykre uczucie gościa.

— Czy nie można by otworzyć okna? — spytał K.

— Nie — odrzekł malarz — jest to tylko na stałe wprawiona szyba, nie można jej otworzyć.

Teraz dopiero przyłapał się K. na tym, że przez cały czas spodziewał się, że malarz albo on sam podejdzie nagle do okna i otworzy je. Był gotów chwycić nawet

mgłę otwartymi ustami. Uczucie braku powietrza przyprawiało go o zawrót głowy. Poklepał lekko pierzynę obok siebie i rzekł słabym głosem:

— To przecież niewygodne i niezdrowe.

— Wcale nie — powiedział malarz na obronę swego okna — przecież to, że nie można go otwierać, trzyma ono ciepło lepiej niż podwójne okno, choć to tylko pojedyncza szyba. Jeśli jednak chcę wietrzyć, co nie bardzo jest konieczne, bo zewsząd napływa powietrze przez szpary — mogę otworzyć jedno z moich drzwi albo nawet jedno i drugie.

K., pocieszony nieco tym wyjaśnieniem, obejrzał się, aby odnaleźć drugie drzwi. Malarz zauważył to i rzekł:

— Są one za panem, musiałem zastawić je łóżkiem.

Dopiero teraz zobaczył K. małe drzwi w ścianie.

— Jest tu wszystko za małe jak na pracownię — rzekł malarz, jak gdyby chciał uprzedzić przyganę gościa. — Musiałem się urządzać, jak się dało. Łóżko przy ścianie stoi naturalnie w bardzo złym miejscu. Sędzia na przykład, którego teraz maluję, wchodzi zawsze przez te właśnie drzwi przy łóżku, dałem mu nawet klucz do pracowni, ażeby, gdy mnie nie ma w domu, mógł wejść i czekać tu na mnie. Otóż przychodzi on zwykle rano, gdy jeszcze śpię. Wyrzywa mnie to oczywiście z najgłębszego snu, gdy drzwi koło łóżka się otwierają. Straciłby pan wszelki szacunek dla sędziów, gdyby pan słyszał przekleństwa, jakimi go witam, kiedy wczesnym rankiem przełazi przez moje łóżko. Mógłbym mu, co prawda, odebrać klucz, ale to byłoby jeszcze gorzej. Wszystkie drzwi dają się tu bez trudności wyważyć z zawiasów.

Podczas całej tej mowy zastanawiał się K., czy ma zdjąć surdut, w końcu doszedł do przekonania, że jeśli tego nie uczyni, nie będzie w stanie dłużej tu wytrzymać, ściągnął więc marynarkę, położył ją sobie jednak na kolanach, ażeby móc, gdyby rozmowa się skończyła, wdziać ją z powrotem. Zaledwie jednak to uczynił, zawołała jedna z dziewczynek:

— Już zdjął surdut — i słyhać było, jak się wszystkie tłoczyły do szpary, ażeby na własne oczy to widzieć.

— Dziewczęta myślą, że będę pana malował i że dlatego pan się rozbiera.

— Tak? — rzekł K. nie bardzo tym ubawiony, gdyż choć siedział bez surduta, nie czuł się lepiej niż dotychczas. — Jak pan nazwał dwie inne możliwości? — Już znowu zapomniał te określenia.

— Pozorne uwolnienie i przewleczenie — rzekł malarz. — Od pana zależy wybór. I jedno, i drugie może pan z moją pomocą osiągnąć, naturalnie nie bez trudu,

różnica polega tu na tym, że pozorne uwolnienie wymaga jednorazowego skupienia sił, przewleczenie natomiast wysiłku mniejszego, ale ciągłego. Najpierw więc pozorne uwolnienie. Jeśli pan tego pragnie, poświadczę na arkuszu papieru pisemnie pańską niewinność. Tekst takiego poświadczenia przekazał mi ojciec, jest ono nie do zaczepienia. Z tym poświadczeniem obejdę znanych mi sędziów. Zacznę więc od tego, że dziś wieczór, gdy przyjdzie mi pozować, przedłożę to poświadczenie sędziemu, którego teraz maluję. Przedłożę mu poświadczenie, oświadczę mu, że jest pan niewinny, i poręcę mu za pańską niewinność. To jest jednak nie tylko formalna, ale prawdziwa, wiążąca poręka. — W oczach malarza leżał jakby wyrzut, że K. żąda od niego wzięcia na siebie ciężaru tej poręki.

— To byłoby bardzo uprzejmie — rzekł K. — I sędzia wierzyłby panu, a mimo to nie uniewinniłby mnie naprawdę?

— Jak powiedziałem — rzekł malarz. — Zresztą nie jest bynajmniej pewne, że każdy z nich wierzyłby mi na słowo, któryś z nich może zażądałby na przykład, żebym pana do niego przyprowadził. Wtedy musiałyby pan ze mną pójść. Co prawda, w tym wypadku sprawa jest do połowy wygrana, zwłaszcza że poinformowałbym pana przedtem dokładnie, jak się pan ma u danego sędziego zachować. Gorzej jest z tymi sędziami, którzy — i to się nieraz zdarza — z góry mi odmówią. Z tych sędziów musimy zrezygnować, chociaż z mojej strony niczego nie poniecham, aby ich do tego skłonić; wolno nam zresztą to zrobić, gdyż pojedynczy sędziowie nie mogą tu na szali zaważyć. Gdy już zatem będę miał na poświadczeniu dostateczną ilość podpisów, udam się do sędziego, który pańską sprawę właśnie prowadzi. Możliwe, że uzyskam i jego podpis, wtedy sprawa potoczy się jeszcze prędzej. Na ogół pozostaje już wtedy niewiele trudności do przezwyciężenia, jest to czas największej otuchy dla oskarżonego. Dziwne to, ale prawdziwe: ci ludzie są wtedy ufniejsi i spokojniejsi niż nawet po uwolnieniu. Teraz już nie trzeba szczególnych wysiłków. Sędzia posiada na piśmie porękę pewnej ilości sędziów, może pana bez obawy uwolnić i uczyni to też po przeprowadzeniu różnych formalności, ażeby mnie i innym znajomym dogodzić. Pan zaś wychodzi z sądu i jest wolny.

— Wówczas zatem jestem wolny — rzekł K. powoli.

— Tak — rzekł malarz — ale tylko pozornie albo lepiej powiedziawszy, czasowo wolny. Niżsi sędziowie, do których należą moi znajomi, nie mają prawa uniewinniać w sposób ostateczny. To prawo ma tylko najwyższy, dla pana, dla mnie, dla nas wszystkich niedosięgły sąd. Jak z nim się ma rzecz, tego nie wiemy i — otwarcie mówiąc — nie chcemy wiedzieć. Najwyższego prawa uniewinnienia, uwolnienia od

oskarżenia nie mają więc nasi sędziowie, mają natomiast prawo zwolnienia. To znaczy, jeśli pan w ten sposób zostanie zwolniony, uchodzi pan chwilowo mocy oskarżenia, ale ono unosi się nad panem dalej i może, gdy tylko zostanie dany rozkaz z góry, wejść w moc prawną. Ponieważ jestem w dobrych stosunkach z kancelariami, mogę też panu powiedzieć, w czym ta różnica między rzeczywistym a pozornym uwolnieniem objawia się pod względem czysto formalnym. Przy rzeczywistym uwolnieniu akta procesowe podobno zostają zupełnie odłożone, znikają całkowicie z postępowania, nie tylko oskarżenie, ale i uwolnienie, i sam proces, wszystko zostaje zniszczone. Inaczej przy pozornym uwolnieniu. Z aktem tym nic nie uległo zmianie, sprawa wzbogaca się tylko o poświadczenie niewinności, o zwolnienie i uzasadnienie zwolnienia. Poza tym jednak pozostaje w obrębie procedury, skierowuje się ją, jak tego nieustanny tok postępowania wymaga, do wyższych instancji, stamtąd wraca znowu do niższych i wędruje tak wśród większych i mniejszych wahań, wśród większych i mniejszych przestojów, tam i z powrotem. Te drogi są nieobliczalne. Kiedy patrzeć z zewnątrz, może się wydawać, że o wszystkim dawno zapomniano, akt zaginął, a uwolnienie jest całkowite. Wtajemniczony jednak wie, co o tym myśleć. Żaden akt nie ginie, nie ma u sądu zapomnienia. Pewnego dnia — nikt się tego nie spodziewa — jakiś sędzia bierze akt do ręki, poznaje, że w tym wypadku oskarżenie nie utraciło mocy, i zarządza natychmiastowe aresztowanie. Przyjąłem tu, że upłynął długi czas między pozornym uwolnieniem a ponownym aresztowaniem. To jest możliwe, znam takie wypadki, ale równie możliwe jest, że oskarżony, który dopiero co uzyskał zwolnienie, przychodzi do domu, tam czekają na niego, aby go ponownie aresztować. Wówczas naturalnie koniec ze swobodą.

— I proces zaczyna się na nowo? — spytał K. z niedowierzaniem.

— Bez wątplenia — rzekł malarz — proces zaczyna się na nowo, ale znowu zachodzi możliwość uzyskania raz jeszcze, jak przedtem, pozornego uwolnienia. Trzeba znowu zebrać wszystkie siły, nie wolno się poddawać. — Te ostatnie słowa powiedział malarz może widząc przygnębienie, w jakie popadł K. przygarbiony na łóżku.

— Czy jednak uzyskanie powtórnego uwolnienia — rzekł K., jakby chcąc uprzedzić dalsze jego relacje — nie przychodzi trudniej niż za pierwszym razem?

— Nie można w tym względzie powiedzieć nic pewnego — odrzekł malarz. — Pan myśli zapewne, że sędzia może się z powodu drugiego aresztowania uprzedzić do oskarżonego? Tak nie jest. Sędziowie przewidzieli to aresztowanie już przy zwolnieniu. Ta okoliczność zatem nie wchodzi w rachubę. Niemniej jednak mogły się

tymczasem, z niezliczonych innych przyczyn, nastroj sędziów, jak też ich ocena prawna wypadku gruntownie zmienić, starania o powtórne zwolnienie muszą się zatem dostosować do zmienionych warunków i należy w zasadzie prowadzić je z tą samą energią jak za pierwszym razem.

— Ale to drugie uwolnienie znowu nie jest ostateczne — rzekł K. i pokręcił głową z niezadowoleniem.

— Oczywiście, że nie — rzekł malarz — po drugim uwolnieniu następuje trzecie, po trzecim uwolnieniu ewentualnie czwarte i tak dalej. To leży już w pojęciu pozornego uwolnienia.

K. milczał.

— Pozorne uwolnienie nie wydaje się panu korzystne, jak widzę — rzekł malarz — może panu będzie lepiej odpowiadało przewleczenie. Czy mam panu wyjaśnić istotę przewleczenia?

K. skinął głową. Malarz rozparł się szeroko w krześle, koszula na jego piersi rozchyliła się. Wsunąwszy rękę gładził się po piersi i po bokach.

— Przewleczenie — rzekł i patrzył chwilę przed siebie, jak gdyby szukał najtrafniejszego wyrażenia — przewleczenie polega na tym, że przetrzymuje się proces stale w najniższym stadium procesowym. Aby to osiągnąć, konieczne jest, aby oskarżony i jego protektor, w szczególności jednak protektor, pozostawał w nieustannym kontakcie osobistym z sądem. Powtarzam, nie trzeba tu takiego wysiłku jak przy staraniach o pozorne uwolnienie, natomiast potrzeba znacznie większej uwagi i czujności. Nie wolno tracić procesu z oczu, należy w regularnych odstępach, a prócz tego przy specjalnych okazjach, chodzić do odnośnego sędziego i wszystkimi sposobami starać się zachować jego życzliwość. Jeśli nie zna się osobiście sędziego, trzeba wpływać na niego przez znajomych sędziów, a mimo to nie wolno poniechać bezpośredniego kontaktu. Jeśli niczego się w tym względzie nie zaniedba, to można ze znaczną pewnością przyjąć, że proces nie wyjdzie poza swoje stadium początkowe. Proces nie kończy się wprawdzie, ale oskarżony jest prawie w tym samym stopniu zabezpieczony przed skazaniem, jak gdyby był uwolniony. W zestawieniu z pozornym uwolnieniem daje przewleczenie tę korzyść, że przyszłość oskarżonego jest mniej niepewna, jest on zabezpieczony przed grozą nagłych aresztowań, nie potrzebuje się obawiać, że w chwili, gdy okoliczności może właśnie najmniej temu sprzyjają, wypadnie mu wziąć na siebie trudności i irytacje związane z osiągnięciem pozornego uwolnienia. Z drugiej strony ma także i przewleczenie dla oskarżonego pewne strony ujemne, których nie wolno nie doceniać. Nie myślę w tej chwili o tym, że oskarżony

nigdy nie jest w tym wypadku wolny, nie jest nim przecież naprawdę i przy pozornym uwolnieniu. Chodzi o inną rzecz. Proces nie może stać w miejscu bez upozorowania tego jakimiś przyczynami. Trzeba przeto, aby na zewnątrz coś się w procesie działo. Od czasu do czasu muszą więc wychodzić jakieś zarządzenia, odbywać się dodatkowe badania oraz przesłuchiwanie oskarżonego. Proces musi po prostu kręcić się wciąż w tym małym kręgu, do którego go sztucznie zacieśniono. To pociąga za sobą naturalnie różne nieprzyjemności dla oskarżonego, których jednak nie powinien pan malować sobie w zbyt czarnych kolorach. Wszystko to przecież jest tylko dla formy, więc na przykład przesłuchania są całkiem krótkie, jeśli się raz, drugi nie ma czasu lub ochoty pójść na przesłuchanie, można się usprawiedliwić, można nawet z niektórymi sędziami wspólnie ułożyć procedurę na dłuższy czas z góry. W gruncie rzeczy chodzi o to, żeby od czasu do czasu — skoro się jest oskarżonym — zgłaszać się u sędziego.

Już podczas ostatnich słów K. przewiesił sobie surdut przez ramię i wstał. Natychmiast zawołały głosy za drzwiami: — On już wstaje.

— Pan chce już odejść? — zapytał malarz, który wstał także. — To zapewne powietrze stąd pana wypędza. Bardzo mi przykro. Miałbym panu jeszcze to i owo do powiedzenia. Musiałem się streszczać. Mam nadzieję jednak, że tłumaczyłem się jasno.

— O, zapewne — rzekł K., którego od natężenia, z jakim zmuszał się do słuchania, głowa bolała. Mimo tego potwierdzenia malarz jeszcze raz zreasumował wszystko, jak gdyby chciał dać gościowi pociechę na drogę:

— Obie metody mają to wspólne — rzekł — że zapobiegają skazaniu oskarżonego.

— Ale zapobiegają też prawdziwemu uwolnieniu — rzekł K. cicho, jak gdyby się wstydził, że doszedł do tej prawdy.

— Pan trafił w sedno rzeczy — rzekł malarz prędko.

K. położył rękę na płaszczu, nie mogąc się nawet zdecydować wdziać surdut. Najchętniej byłby wszystko to zwinął i wybiegł z tym na świeże powietrze. Także głosy dziewcząt oznajmiające przedwcześnie, że się ubiera, nie mogły go skłonić, by wciągnął surdut. Malarzowi zależało widocznie na tym, żeby podsunąć jakiś pretekst dla stanu, w którym się K. znajdował. Rzekł przeto:

— Pan się jeszcze nie zdecydował co do moich propozycji. Pochwalam to. Odradzałbym panu nawet natychmiast się zdecydować. Różnice są cienkie jak włos. Trzeba je dokładnie ocenić. Z drugiej strony nie należy też tracić za dużo czasu.

— Przyjdę do pana wkrótce — rzekł K., który z nagłym postanowieniem wciągnął surdut, zarzucił płaszcz na ramię i śpieszył do drzwi, za którymi dziewczęta zaczęły krzyczeć. Zdawało mu się, że widzi je poprzez drzwi.

— Ale musi pan dotrzymać słowa — rzekł malarz nie odprowadzając go — inaczej przyjdę do banku, aby się samemu dowiedzieć.

— Niechże pan drzwi otworzy — rzekł K. szarpiąc za klamkę, na której, jak po oporze wyczuwał, uwiesiły się dziewczęta.

— Chce pan, by pana dziewczęta opadły? — zapytał malarz. — Niech pan lepiej użyje tego wyjścia — i wskazał na drzwi za łóżkiem. K. przystał na to i cofnął się w stronę łóżka. Malarz jednak, zamiast otworzyć drzwi, wlaź pod łóżko i pytał spod niego:

— Jeszcze tylko moment, czy nie chce pan obejrzeć obrazu, który mógłbym panu sprzedać?

K. nie chciał być nieuprzejmy, malarz rzeczywiście zaopiekował się nim i obiecał w dalszym ciągu pomagać, w roztargnieniu zapomniał też K. poruszyć sprawę wynagrodzenia za pomoc, nie mógł więc teraz odmówić i zdecydował się obejrzeć obraz, choć drżał z niecierpliwości, by opuścić pracownię. Malarz wydobył spod łóżka stos nie oprawionych obrazów, tak pokrytych kurzem, że gdy zdmuchnął go z tego, który leżał na wierzchu, kurz wzbił się obłokiem przed oczyma K. zapierając mu oddech.

— Pejzaż polny — rzekł malarz i podał obraz gościowi. Na krajobrazie widoczne były dwa wątle drzewa stojące w dużym oddaleniu od siebie wśród ciemnej trawy. W głębi był kolorowy zachód słońca.

— Ładne — rzekł K. — kupuję ten obraz. — Mimo woli wyraził się tak krótko i ucieszył się, gdy malarz, zamiast wziąć mu to za złe, podniósł drugi obraz z podłogi.

— Oto pendant do tamtego — rzekł malarz.

Może było to pomyślane jako dopełnienie tamtego, ale nie było najmniejszej różnicy między jednym a drugim, tu były drzewa, trawa, a tam zachód słońca. K. nie zważał na to.

— Piękne krajobrazy — rzekł. — Kupuję oba i powieszę je w moim biurze.

— Motyw, widzę, podoba się panu — rzekł malarz i wydobył trzeci obraz.

— Dobrze się składa, bo mam jeszcze jeden podobny obraz.

Ale obraz nie był podobny, był to raczej zupełnie identyczny pejzaż polny. Malarz wykorzystywał nieźle sposobność pozbycia się starych obrazów.

— Biorę i ten — rzekł K. — Ile kosztują te trzy obrazy?

— O tym pomówimy później. Pan się teraz śpieszy, a pozostaniemy przecież w kontakcie. Zresztą cieszy mnie, że się panu obrazy podobają. Dam panu wszystkie obrazy, które mam tu pod łóżkiem. Są to same pejzaże pól, namalowałem już wiele takich pejzaży. Niektórzy ludzie nie chcą tych obrazów, bo są za ponure, ale inni — i pan właśnie do nich należy — lubią właśnie to, co ponure.

Ale K. nie miał teraz cierpliwości do zawodowych doświadczeń tego malarza-żebraka.

— Niech pan zapakuje wszystkie te obrazy! — rzekł K. przerywając mu. — Jutro przyjdzie mój woźny i zabierze je.

— To niepotrzebne — rzekł malarz — spodziewam się, że znajdę panu tragarza, który zaraz je panu odniesie. — To mówiąc przechylił się przez łóżko i otworzył wreszcie drzwi. — Niech pan bez żenady wejdzie na łóżko — rzekł — robi to każdy, kto tu wchodzi.

K. byłby to zrobił i bez zaproszenia, postawił już nawet nogę na pierzynie, ale nagle wyjrzał przez otwarte drzwi i cofnął nogę z powrotem.

— Cóż to jest? — zapytał malarza.

— Czemu się pan dziwi? — odpowiedział tamten, ze swej strony zdziwiony. — To są kancelarie sądowe. Nie wiedział pan, że tu są kancelarie sądowe? Kancelarie sądowe są przecież na każdym strychu, dlaczegoż akurat tu miałyby ich nie być? Właściwie i moja pracownia należy także do kancelarii sądowych, ale sąd oddał mi ją do dyspozycji.

K. przeraził się nie tyle tego, że znalazł i tu kancelarie sądowe, ile swojej ignorancji w sprawach sądu. Jako podstawową regułę zachowania się oskarżonego uważał, aby być zawsze na wszystko gotowym, nie dać się nigdy zaskoczyć — i przeciw tej regule wciąż na nowo wykraczał. Przed nim rozciągał się długi korytarz, napływało zeń powietrze, z którym porównane powietrze pracowni wydawało się orzeźwiającej. Ławki ciągnęły się wzdłuż ścian korytarza jak w poczekalniach sądu rozpatrującego jego sprawę. Widocznie istniały dokładne przepisy co do urządzenia kancelarii. Chwilowo ruch stron nie był tu zbyt duży. Jakiś mężczyzna siedział tam prawie leżąc na ławce, z twarzą ukrytą w dłoniach, i zdawał się spać; drugi stał w cieniu na końcu korytarza. K. przedostał się wreszcie przez łóżko, malarz szedł za nim z obrazami. Wnet spotkali woźnego — K. poznawał już teraz wszystkich woźnych sądu po złotym guziku, który mieli wśród zwykłych guzików na swoich cywilnych ubraniach, i malarz polecił mu nieść obrazy za K. K. ślaniał się idąc, przyciskał chustkę do ust. Byli już blisko wyjścia, gdy dziewczęta zabiegły im drogę — i to go nie ominęło. Zobaczyły

widocznie, że malarz otworzył drugie drzwi pracowni, i pobiegły okreśną drogą, ażeby wtargnąć do środka z tamtej strony.

— Nie mogę panu dalej towarzyszyć! — wołał malarz śmiejąc się, zewsząd napierany przez dziewczęta. — Do widzenia! I niech pan się zbyt długo nie namyśla.

K. nawet nie obejrzał się za nim. Na ulicy wziął pierwszą dorożkę, którą spotkał. Zależało mu na tym, by pozbyć się woźnego, raził go złoty guzik, którego nikt zresztą może i nie zauważał. W swej gorliwości chciał woźny wspiąć się na kozioł, ale K. spędził go z dorożki. Południe dawno minęło, gdy K. zajechał pod bank. Byłby chętnie zostawił obrazy w dorożce, bał się jednak, że malarz przy jakiejś okazji zechce je widzieć. Kazał je zatem zanieść do biura i zamknął w dolnej szufladzie, ażeby je przynajmniej na najbliższe dni ukryć przed oczami wicedyrektora.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kupiec Block — K. wypowiada adwokatowi

Wreszcie K. zdecydował się jednak odebrać adwokatowi pełnomocnictwo. Wprawdzie wątpliwości, czy takie postępowanie było słuszne, nie udało mu się całkiem w sobie wytepić, ale przekonanie o konieczności tego kroku przeważało. Decyzja kosztowała K. wiele sił. Tego dnia, w którym chciał pójść do adwokata, pracował niezwykle powoli, musiał do późna pozostać w biurze i było już po dziesiątej godzinie, gdy wreszcie stanął przed drzwiami adwokata. Nim jeszcze zadzwonił, rozważał, czy nie byłoby lepiej wypowiedzieć adwokatowi telefonicznie lub listownie. Osobista rozmowa, przewidywał, będzie na pewno bardzo przykra. Mimo to nie chciał K. ostatecznie z niej zrezygnować. Gdyby posłużył się jakimkolwiek innym sposobem wypowiedzenia, zostałyby ono przyjęte w milczeniu albo zbyte kilkoma formalnymi słowami i nigdy by się K. nie dowiedział, chyba że z Leni dałoby się to i owo wyciągnąć, jak adwokat przyjął wypowiedzenie i jakie jego zdaniem mogły być tego skutki. Ale mając naprzeciw siebie adwokata zaskoczonego wypowiedzeniem, choćby nawet niewiele udało się z niego wydobyć, mógł K. z jego twarzy i jego zachowania łatwo wyczuć wszystko, o co mu chodziło. Nie było wykluczone, że jeśli adwokat go przekona, iż jednak dobrze byłoby zostawić mu obronę, cofnie wypowiedzenie.

Pierwsze pukanie do drzwi adwokata było jak zwykle bezcelowe. „Leni mogłaby się trochę pośpieszyć” — pomyślał K. Ale dobrze już było, że nie wmieszała się druga strona, jak to się zazwyczaj działo, że nie naprzykrzał się ani człowiek w szlafroku, ani

nikt inny. Naciskając powtórnie guzik odwrócił się K. do drugich drzwi, ale tym razem nie otworzyły się. Wreszcie zjawilo się w otworze w drzwiach adwokata dwoje oczu, lecz nie były to oczy Leni. Ktoś otworzył drzwi, jednak przytrzymał je jeszcze i zawołał w głąb mieszkania: — To on! — i dopiero potem otworzył je całkowicie. K. nacisnął drzwi, bo słyszał już, jak za nim we drzwiach drugiego mieszkania pośpiesznie przekręcano klucz w zamku. Dlatego, gdy się wreszcie przed nim drzwi otwarły, wpadł jak burza do przedpokoju, aby dostrzec jeszcze, jak przez korytarz biegnący między pokojami uciekła w koszuli Leni, do której odnosiło się ostrzeżenie człowieka otwierającego drzwi. Chwilę patrzył za nią i obejrzał się potem na mężczyznę. Był to mały, wyschły człowieczek z długą brodą, trzymał świecę w ręku.

— Pan jest tu na służbie? — spytał K.

— Nie — odpowiedział człowieczek — jestem tu obcy, adwokat jest moim obrońcą, jestem tu w pewnej sprawie sądowej.

— Bez surduta? — spytał K. i wskazał ruchem ręki na jego niekompletny strój.

— Ach, przepraszam — rzekł ów człowiek i przyjrzał się sobie w świetle świecy, jakby dopiero teraz po raz pierwszy zobaczył swój stan.

— Leni jest pana kochanką? — spytał krótko K. Rozkraczył nogi, ręce, w których trzymał kapelusz, splótł z tyłu. Już przez posiadanie solidnego palta odczuwał swoją bezsprzeczną wyższość nad chudym, małym człowieczkiem.

— O Boże — powiedział tamten i zasłonił jedną ręką twarz w geście trwożnej obrony — nie, nie, co też panu na myśl przychodzi?

— Pan wygląda na człowieka prawdomównego — powiedział z uśmiechem K. — mimo to chodź pan ze mną. — Skinął na niego kapeluszem i puścił go przed sobą. — Jak się pan nazywa? — spytał po drodze.

— Block, kupiec Block — powiedział człowieczek i przedstawivszy się tak odwrócił się do K., ale ten mu nie pozwolił przystanąć.

— Czy to prawdziwe pana nazwisko? — spytał K.

— Pewnie — brzmiała odpowiedź — dlaczego wątpi pan o tym?

— Myślałem, że może pan mieć powód do zatajenia nazwiska — powiedział K. Czuł się tak swobodny, jak to zwykle bywa, gdy z dala od stron rodzinnych rozmawia się z ludźmi niższej kondycji. Wszystko, co osobiście człowieka dotyczy, zamyka się wówczas w sobie i tylko obojętnie mówi się o sprawach drugich, przez co wywyższa się ich we własnym mniemaniu, ale też, jeśli przyjdzie ochota, poniża. Przy drzwiach do gabinetu adwokata przystanął, otworzył je i zawołał na kupca, który posłusznie szedł dalej:

— Nie tak spiesznie! Poświęć pan tu!

K. myślał, że Leni mogła się tu schować, kazał kupcowi przeszukać wszystkie kąty, ale pokój był pusty. Przed obrazem sędziego zatrzymał K. kupca z tyłu za szelki.

— Zna pan tego tu? — spytał i podniósł palec wskazujący w górę. Kupiec uniósł świecę, popatrzył w górę mrużąc oczy i powiedział:

— To jest sędzia.

— Wysoki sędzia? — spytał K. i stanął z boku, aby obserwować wrażenie, jakie zrobił na nim obraz. Kupiec patrzył z podziwem w górę.

— To jest wysoki sędzia — powiedział.

— Pan nie ma żadnego wglądu w te sprawy — powiedział K. — Pomiędzy niższymi sędziami śledczymi jest on najniższy.

— Teraz sobie przypominam — powiedział kupiec i zniżył świecę — już to słyszałem.

— Ależ naturalnie! — zawołał K. — Zupełnie zapomniałem, z pewnością musiał pan słyszeć o tym.

— Ale dlaczego, dlaczego? — pytał kupiec popędzany przez K. ruchem rąk ku drzwiom. Na korytarzu K. powiedział:

— Pan wie jednak, gdzie się ukrywa Leni?

— Ukrywa? — powiedział kupiec. — Nie, jest pewnie w kuchni i gotuje zupę adwokatowi.

— Dlaczego pan tego od razu nie powiedział? — spytał K.

— Ależ ja chciałem pana tam zaprowadzić, tylko pan mnie zawołał z powrotem — odpowiedział kupiec, jakby zbałamucony sprzecznymi rozkazami.

— Panu się zdaje, że jest pan bardzo chytry — powiedział K. — Więc prowadź mnie pan!

W kuchni nie był jeszcze K. nigdy, była zdumiewająco duża i dostatnio urządzona. Samo ognisko kuchenne było trzy razy większe od zwyczajnych, zresztą dalszych szczegółów nie było widać, bo kuchnia była oświetlona tylko małą lampką wiszącą u wejścia. Przy ognisku stała Leni w białym fartuchu, jak zawsze, i rozbijała jaja do garnka stojącego na maszynie spirytusowej.

— Dobry wieczór, Józefie — powiedziała rzucając mu spojrzenie z ukosa.

— Dobry wieczór — powiedział K. i ręką wskazał kupcowi stojące na boku krzesło; kupiec usiadł na nim posłusznie. K. natomiast stanął tuż za plecami Leni, nachylił się przez jej ramię i spytał:

— Kto to jest ten człowiek?

Leni objęła K. jedną ręką, drugą przyrządzała zupę, przyciągnęła go przed siebie i powiedziała:

— To jest pożałowania godny człowiek, biedny kupiec, niejaki Block. Spójrz tylko na niego.

Oboje się odwrócili. Kupiec siedział na krześle, które mu wskazał K., zdmuchnął świecę, której światło było zbyt ciche, i gniótł palcami knot, by stłumić dym.

— Byłaś w koszuli — powiedział K. i ręką odwrócił znowu jej głowę w stronę ogniska. Milczała. — On jest twoim kochankiem? — spytał.

Chciała wziąć garnek z zupą, ale K. chwycił obie jej ręce i rzekł:

— No, odpowiedz!

Powiedziała:

— Chodź do gabinetu, wszystko ci wytłumaczę.

— Nie — powiedział K. — chcę, byś mi tu wytłumaczyła. — Uwiesiła się na nim i chciała go pocałować. K. jednak uchylił się i powiedział: — Nie chcę, byś mnie teraz całowała.

— Józefie — odezwała się Leni patrząc mu błagalnie, a jednak otwarcie w oczy — chyba nie jesteś zazdrosny o pana Blocka. — Rudi — powiedziała potem zwracając się do kupca — pomóż mi, widzisz, jak się mnie podejrzewa, zostaw świecę.

Można było sądzić, że kupiec na nic nie uważał, zagadnięty jednak, doskonale wiedział, o co chodzi.

— Sam nie wiem w istocie, dlaczego miałby pan być zazdrosny — powiedział dość niedołąźnie.

— Właściwie, to ja także nie wiem — powiedział K. i popatrzył z uśmiechem na kupca. Leni śmiała się głośno, wyzyskała nieuwagę K., aby uwiesić się u jego ramienia, i szepnęła:

— Zostaw go teraz, widzisz przecież, co to za człowiek. Zajął się nim, ponieważ jest ważnym klientem adwokata, z żadnego innego powodu. A ty? Chcesz jeszcze dzisiaj mówić z adwokatem? Jest dzisiaj bardzo chory; jeśli chcesz, zgłoszę cię jednak. Ale przez noc zostaniesz na pewno u mnie. Już tak dawno nie byłeś u nas, nawet adwokat pytał sam o ciebie. Nie zaniedbuj procesu! Także i ja mam ci do powiedzenia niejedno, o czym posłyszałam. Ale przede wszystkim zdejm płaszcz!

Pomogła mu się rozebrać, wzięła jego kapelusz, pobiegła z rzeczami do przedpokoju, powiesiła je, przybiegła z powrotem i zajrzała do zupy.

— Czy mam cię wprawdzie oznajmić, czy podać wprawdzie zupę?

— Zamelduj mnie najpierw — powiedział K.

Był zły, zamierzał początkowo dokładnie omówić z Leni swoją sprawę, zwłaszcza kwestię ewentualnego wypowiedzenia adwokatowi, ale obecność kupca odebrała mu do tego ochotę. Teraz jednak uznał swoją sprawę za zbyt ważną, aby ten mały kupiec miał swą obecnością rozstrzygająco na nią wpłynąć, i dlatego zawołał z powrotem Leni, która już była na korytarzu.

— Zanieś mu jednak najpierw zupę — powiedział — niech się posili przed rozmową, to mu się przyda.

— Pan jest także klientem adwokata — powiedział po cichu ze swego kąta kupiec, jakby stwierdzając fakt. Ale K. nie przyjął tego życzliwie.

— Co to pana obchodzi — powiedział, a Leni rzekła:

— Będziesz cicho! Wobec tego zaniosę mu najpierw zupę — powiedziała do K. i naląła zupę na talerz. — Boję się tylko, że potem od razu zaśnie, po jedzeniu wkrótce zasypia.

— To, co mu powiem, rozbudzi go w zupełności — powiedział K., wciąż chciał dać do zrozumienia, że zamierza rozmówić się z adwokatem o czymś ważnym, chciał, by go Leni spytała, co to takiego, a potem dopiero zapytać ją o radę. Ale ona wykonywała tylko dokładnie jego rozkazy. Gdy przechodziła koło niego z filiżanką, naumyślnie trąciła go łagodnie i szepnęła:

— Gdy zje zupę, natychmiast cię zamelduję, abym o ile możliwości miała cię znów prędko dla siebie.

— Idź już — powiedział K. — idź już.

— Mógłbyś być grzeczniejszy — rzekła i odwróciła się raz jeszcze we drzwiach.

K. patrzył za nią; teraz już stanowczo postanowił sobie odprawić adwokata, lepiej się też może stało, że nie mógł przedtem mówić o tym z Leni; wątpliwe, czy miała dostateczny pogląd na całość sprawy, na pewno by odradzała, nie było wykluczone, że rzeczywiście wstrzymałaby tym razem K. od wypowiedzenia, przez co nadal pozostawaliby w niepewności i niepokojach, a w końcu po jakimś czasie mimo to przeprowadziłby swoje postanowienie, narzucające się zbyt nieodparcie. „Im wcześniej przeprowadzę tę decyzję, tym łatwiej zapobiegnę szkodzi” — myślał. Może zresztą kupiec mógł o tym coś powiedzieć.

K. odwrócił się ku niemu; ledwie to kupiec spostrzegł, chciał natychmiast powstać.

— Niech pan siedzi — powiedział K. i przysunął doń krzesło. — Pan już jest od dawna klientem adwokata? — spytał.

– Tak – powiedział kupiec – jestem bardzo starym klientem.

– Ile już lat broni on pana? – spytał K.

– Nie wiem, jak pan to rozumie – powiedział kupiec – w handlowych sprawach prawnych – mam skład zboża – zastępuje mnie adwokat, już odkąd objąłem przedsiębiorstwo, a więc od dwudziestu lat mniej więcej; w moim własnym procesie, o który panu prawdopodobnie chodzi, broni mnie także od początku, dłużej już niż pięć lat. Tak, o wiele dłużej niż pięć – dodał i wyjął stary portfel. – Tu mam wszystko zapisane, jeśli pan chce, podam panu dokładne daty. Trudno to wszystko spamiętać. Mój proces trwa, zdaje się, już o wiele dłużej, zaczął się zaraz po śmierci mojej żony, a to już więcej niż pięć i pół roku.

K. przysunął się bliżej do niego.

– Adwokat podejmuje się więc także zwyczajnych zagadnień prawnych? – spytał. To połączenie prawa i interesów wydało się K. niezwykle uspokajające.

– Pewnie – powiedział kupiec i szepnął potem: – Nawet mówią, że on w tych handlowych sprawach mocniejszy jest niż w innych.

Ale potem, jakby pożałował tego, co powiedział, położył rękę na plecach K. i rzekł:

– Bardzo proszę, niech mnie pan nie zdradzi. K. poklepał go dla uspokojenia po udzie i odparł:

– Nie, nie jestem zdrajcą.

– On, trzeba panu wiedzieć, jest mściwy – rzekł kupiec.

– Takiemu wiernemu klientowi na pewno nic nie zrobi – powiedział K.

– A jednak – rzekł kupiec – gdy jest zirytowany, nie zna różnic, zresztą nie jestem mu właściwie wierny.

– Jak to nie? – spytał K.

– Czy mogę panu zaufać? – spytał kupiec z powątpiewaniem.

– Myślę, że tak – powiedział K.

– Wobec tego – powiedział kupiec – powierzam panu częściowo ten sekret, ale pan musi mi także powiedzieć jakąś tajemnicę, abyśmy się nawzajem przeciwko adwokatowi trzymali w szachu.

– Pan jest bardzo ostrożny – rzekł K. – ale powiem panu pewną tajemnicę, która pana zupełnie uspokoi. Na czym więc polega pańska niewierność wobec adwokata?

– Ja mam – powiedział z wahaniem kupiec tonem, jakby wyznawał jakiś niehonorowy postępek – ja mam oprócz niego jeszcze innych adwokatów.

— W tym nie ma nic złego — zauważył K. trochę rozczarowany.

— Owszem — powiedział kupiec, który oddychał jeszcze ciężko po swoim wyznaniu, ale wskutek uwagi K. nabrał więcej zaufania. — Tu tego nie wolno. Osobliwie zaś nie wolno obok tak zwanego adwokata brać jeszcze adwokatów pokątnych. A właśnie to zrobiłem, mam jeszcze oprócz niego pięciu pokątnych adwokatów.

— Pięciu! — zawołał K., dopiero ta ilość wprawiła go w zdumienie — pięciu adwokatów oprócz tego? Kupiec przytaknął.

— Właśnie pertraktuję jeszcze z szóstym.

— Ale do czego potrzeba panu tylu adwokatów? — spytał K.

— Potrzebuję wszystkich — rzekł kupiec.

— Zechce mi pan to może wytłumaczyć? — spytał K.

— Chętnie — odrzekł kupiec. — Przede wszystkim nie chcę przecież przegrać mego procesu, to jest zrozumiałe. Wskutek tego nie mogę zaniedbać niczego, z czego bym mógł skorzystać; nawet jeśli nadzieja korzyści w pewnym określonym wypadku jest minimalna, nie mogę jej odrzucić. Dlatego wszystko, co posiadam, zużyłem na proces. Tak, na przykład, wycofałem wszystkie pieniądze z mojej firmy; niegdyś lokale biurowe mego przedsiębiorstwa zajmowały prawie całe piętro, dziś wystarcza mi mała komórka w oficynie, gdzie pracuję z jednym terminatorem. Do tego upadku przyczyniło się naturalnie nie tylko wycofanie pieniędzy, ale bardziej jeszcze wycofanie się moje własne jako siły roboczej. Gdy się chce zrobić coś dla swego procesu, nie można się czym innym tak bardzo zajmować.

— Więc pan pracuje też sam w sądzie? — spytał K. — Właśnie o tym pragnąłbym się czegoś dowiedzieć.

— O tym mogę niewiele powiedzieć — odrzekł kupiec. — Początkowo rzeczywiście próbowałem tego, ale wkrótce to zarzuciłem. To jest zbyt wyczerpujące i nie daje wielkiego rezultatu. Samemu działać tam i pertraktować okazało się, przynajmniej dla mnie, zupełnie niemożliwe. Już samo siedzenie w sądzie i wyczekiwanie to wielki wysiłek. Pan sam zna zresztą ciężkie powietrze kancelarii.

— Jak to, skąd pan wie, że ja tam byłem? — spytał K.

— Byłem właśnie w poczekalni, gdy pan przechodził.

— Co za przypadek! — zawołał K., przejęty tym, co słyszał, i zapominając zupełnie o poprzedniej śmieszności kupca. — Więc pan mnie widział! Pan był w poczekalni, gdy ja przechodziłem. Tak, w istocie raz tamtędy przechodziłem.

— To nie jest tak dziwny przypadek — powiedział kupiec — jestem tam prawie każdego dnia.

— Ja także będę tam widocznie musiał częściej zaglądać — rzekł K. — tylko że już mnie nie przyjmą z takim uszanowaniem jak wtedy. Wszyscy wstali. Z pewnością myślano, że jestem sędzią.

— Nie — powiedział kupiec — ukłoniliśmy się wtedy woźnemu sądowemu. Że pan jest oskarżony, wiedzieliśmy. Takie wiadomości rozchodzą się prędko.

— Więc pan to już wiedział — powiedział K. — Wobec tego wydało się panu moje zachowanie może zbyt wyniosłe. Nie mówiono o tym?

— Nie — powiedział kupiec — przeciwnie. Ale to są głupstwa.

— Cóż znowu za głupstwa? — spytał K.

— Dlaczego pan się o to pyta? — powiedział kupiec z niechęcią. — Pan, jak widać, nie zna jeszcze tamtych ludzi i może to sobie źle tłumaczyć. Pan musi zrozumieć, że w tym postępowaniu sądowym coraz bardziej nabierają wagi pewne rzeczy, dla objęcia których nie wystarcza już rozum, po prostu jest się zbyt zmęczonym i niezdolnym do wielu spraw i dla rekompensaty oddaje się człowiek przesądom. Mówię o innych, a sam wcale nie jestem lepszy. Jest taki przesąd, na przykład, że wielu usiłuje wyczytać wynik procesu z twarzy oskarżonego, zwłaszcza z rysunku jego ust. Ludzie tacy stwierdzili więc, że pan będzie, wnosząc z ust, z pewnością wkrótce zasądzony. Powtarzam, to jest śmieszny przesąd i w przeważnej ilości wypadków całkowicie obalony przez fakty, ale gdy się żyje w tamtym towarzystwie, trudno jest oprzeć się tym przesądom. Proszę więc sobie wyobrazić, jak silnie taki zabobon oddziaływa. Pan odezwał się do jednego z tamtych, prawda? Otóż on ledwie mógł panu odpowiedzieć. Naturalnie istnieje tam wiele powodów do zmieszania, ale jednym z nich był również widok pańskich ust. Opowiadał on potem, że na pana ustach widział również znak swego własnego skazania.

— Moje usta? — spytał K., wyjął lusterko kieszonkowe i przyglądał się sobie. — Nie mogę poznać nic nadzwyczajnego z moich ust. A pan?

— Ja także nie — powiedział kupiec — nic zupełnie.

— Jakże przesądni są ci ludzie! — wykrzyknął K.

— Czy nie mówiłem tego? — pytał kupiec.

— Czy tak wiele ze sobą przestają i dzielą się swoimi poglądami? — spytał K. — Co do mnie, dotychczas trzymałem się całkiem na uboczu.

— Na ogół nie przestają ze sobą — rzekł kupiec — to jest niemożliwe, jest ich przecie i tak wielu. Mało też mają wspólnych interesów. Gdy już raz w jakiejś grupie

wytworzy się przekonanie o istnieniu wspólnego celu, to wkrótce okazuje się ono pomyłką. Wspólnie nie można nic wskórać przeciw sądowi. Każdy wypadek bywa badany sam w sobie, to jest przecież najsumienniejszy sąd. Wspólnie tedy nic nie da się przeprowadzić, tylko odosobnione jednostki nieraz uzyskują coś potajemnie i dopiero potem, gdy to już osiągnięto, dowiadują się o tym inni: nikt nie wie, jak to się stało. Nie ma zatem żadnej wspólnoty. Wprawdzie stykamy się tu i ówdzie w poczekalniach, ale tam mało się dyskutuje. Przesądne zapatrywania utrzymują się już od dawien dawna i rozmnażają się wprost same z siebie.

— Widziałem tych panów tam w poczekalni — powiedział K. — ich czekanie wydało mi się takie bezcelowe.

— Czekanie nie jest takie bezcelowe — powiedział kupiec — bezcelowe jest tylko samodzielne wtrącanie się. Powiedziałem już, że mam obecnie oprócz tego jeszcze pięciu adwokatów. Można było sądzić, sam tak pierwotnie myślałem, że teraz mogę w zupełności zdać się na nich. Pogląd całkiem mylny. Na tych wszystkich jeszcze mniej można się zdać, niż gdybym miał tylko jednego. Pan tego na pewno nie rozumie?

— Nie — powiedział K. i położył uspokajająco rękę na jego rękę, aby wstrzymać kupca w jego prędkiej mowie. — Chciałbym prosić, by pan mówił trochę wolniej, są to przecież dla mnie same ważne rzeczy, a nie mogę za panem nadążyć.

— Dobrze, że mi pan to przypomina — rzekł kupiec — pan jest przecież nowicjuszem, uczniem. Pański proces ma pół roku, nieprawda? Tak, słyszałem o tym. Co za młody proces! Ja natomiast przemyślałem te sprawy niezliczone razy, dla mnie są one najzrozumialsze w świecie.

— Jest pan z pewnością zadowolony, że pański proces posunął się już tak daleko naprzód? — spytał K., nie chciał zapytać wprost, jak stoją sprawy kupca. Ale nie dostał też wyraźnej odpowiedzi.

— Tak, przez pięć lat toczę już mój proces — powiedział kupiec i schylił głowę — to nie jest byle co.

Potem umilkł przez chwilę. K. nasłuchiwał, czy nie nadchodzi już Leni. Z jednej strony nie chciał, by nadeszła, bo miał jeszcze o wiele spraw się zapytać, a nie chciał też, by go Leni zastała na tej poufnej rozmowie z kupcem, z drugiej strony gniewało go to, że mimo jego obecności pozostaje tak długo u adwokata, o wiele dłużej, niż było to konieczne dla podania zupy.

– Przypominam sobie jeszcze dokładnie ten czas – zaczął znowu kupiec, K. cały zamienił się w słuch – gdy mój proces miał tyle miesięcy, ile teraz pański. Miałem wtedy tylko tego adwokata, ale nie byłem z niego zadowolony.

„Teraz dowiem się wszystkiego” – pomyślał K. i przytaknął żywo głową, jakby mógł tym zachęcić kupca do powiedzenia wszystkiego, co warto wiedzieć.

– Mój proces – ciągnął dalej kupiec – nie postępował naprzód, mimo że odbywały się dochodzenia, a ja na każde przychodziłem, zbierałem materiał, przedłożyłem wszystkie moje księgi handlowe sądowi, co, jak się później dowiedziałem, nie było nawet konieczne, wciąż biegałem do adwokata, który składał także różne podania...

– Różne podania? – spytał K.

– Tak, naturalnie – odpowiedział kupiec.

– To jest dla mnie bardzo ważne – powiedział K. – w moim wypadku pracuje on wciąż jeszcze nad pierwszym podaniem. Nic jeszcze nie zrobił, teraz widzę, jak on mnie haniebnie zaniedbuje.

– To, że podanie jeszcze nie jest gotowe, może mieć różne uzasadnione przyczyny – powiedział kupiec. – Zresztą później okazało się, że moje wnioski były zupełnie bez wartości. Sam czytałem nawet jeden, dzięki uprzejmości pewnego urzędnika sądowego. Był wprawdzie bardzo uczony, ale właściwie bez treści. Przede wszystkim bardzo wiele łaciny, której nie rozumiem, potem całe stronice pełne ogólnikowych apelów do sądu, potem pochlebstwa pod adresem poszczególnych urzędników, którzy wprawdzie nie byli wymienieni, ale których wtajemniczony musiał natychmiast odgadnąć, potem pochwały dla siebie jako adwokata, przy czym wprost jak pies płaszczył się przed sądem, a wreszcie analiza wypadków prawnych z dawnych czasów, które były jakoby podobne do mego. Zresztą analizy te, na ile je mogłem pojąć, były opracowane bardzo starannie. Nie chcę na podstawie tego wszystkiego wydawać sądu o pracy adwokata, podanie, które czytałem, było tylko jednym z wielu, ale w każdym razie, i o tym chcę teraz mówić, nie widziałem wtedy żadnego postępu w moim procesie.

– A jaki postęp chciał pan widzieć? – spytał K.

– Pyta się pan całkiem rozsądnie – powiedział kupiec uśmiechając się – w tym postępowaniu rzadko kiedy widzi się postępy. Lecz wtedy nie wiedziałem tego. Jestem kupcem, a wtedy byłem nim o wiele więcej niż dziś, chciałem mieć namacalne postępy, niechby to wszystko zmierzało do jakiegoś kresu albo przynajmniej niechby wzięło bieg prawidłowy. Zamiast tego odbywały się tylko przesłuchania, które miały

przeważnie jednakową treść; odpowiedzi umiałem już na pamięć jak litanie; kilka razy w tygodniu przychodzili posłańcy sadowi do mego sklepu, do mego mieszkania albo gdzie tylko mogli mnie zastać, co mi naturalnie było bardzo nie na rękę (dziś jest pod tym względem o wiele lepiej, telefoniczne wezwanie mniej przeszkadza). Pomiędzy moimi klientami, a zwłaszcza pomiędzy krewnymi, zaczęły szerzyć się pogłoski o procesie, były więc szkody z różnych stron, natomiast najmniejsza oznaka nie przemawiała za tym, aby choć pierwsza rozprawa miała się w najbliższym czasie odbyć. Poszedłem więc do adwokata i poskarżyłem się. Dawał mi wprawdzie długie wyjaśnienia, ale odmówił stanowczo zrobienia czegoś podług mego życzenia; nikt, twierdził, nie ma wpływu na ustalenie terminu rozprawy, a nalegać na to w podaniu, jak tego żądałem, jest po prostu czymś niesłychanym i zgubiłoby mnie i jego. Myślałem więc: czego ten adwokat nie chce czy nie może, zechce i potrafi uczynić inny. Obejrzałem się więc za innym adwokatem. Muszę zaraz z góry uprzedzić: żaden nie żądał ani nie uzyskał ustalenia terminu rozprawy głównej. Jest to, z pewnym zastrzeżeniem, o czym jeszcze będę mówił, rzeczywiście niemożliwe. Co do tego więc punktu ten adwokat mnie nie zawiódł; zresztą nie miałem czego żałować, że zwróciłem się do innych adwokatów. Z pewnością słyszał pan od dra Hulda już niejedno o adwokatach pokątnych, on ich panu z pewnością przedstawił jako godnych pogardy, i takimi są rzeczywiście. Ale zawsze, gdy o nich mówi i dla porównania przeciwstawia im siebie i swoich kolegów, popełnia drobny błąd, na który chcę panu, zresztą całkiem ubocznie, zwrócić uwagę. On wtedy nazywa zawsze adwokatów swego koła dla odróżnienia od tamtych „wielkimi adwokatami”. To pomyłka, naturalnie każdy może się nazwać „wielkim”, jeśli mu się podoba, ale w tym wypadku rozstrzyga tylko sądowy zwyczaj. Według niego zaś istnieją oprócz adwokatów pokątnych jeszcze mali i wielcy adwokaci. Ten jednak adwokat i jego koledzy są tylko małymi adwokatami. Natomiast wielcy adwokaci, o których tylko słyszałem i których nigdy nie widziałem, mają w hierarchii bez porównania większą przewagę nad małymi adwokatami aniżeli ci nad pogardzanymi adwokatami pokątnymi.

— Wielcy adwokaci? — spytał K. — Kimże są oni? Jak się do nich dociera?

— Więc pan o nich nigdy jeszcze nie słyszał — powiedział kupiec. — Nie ma ani jednego oskarżonego, który by, gdy się już o nich dowiedział, nie marzył o nich czas jakiś. Niech pan się lepiej nie da zwieść. Kto to są ci wielcy adwokaci, nie wiem, i nie można chyba do nich wcale dotrzeć. Nie znam ani jednego wypadku, o którym dałoby się z całą pewnością stwierdzić, że interweniowali w nim. Niektórych bronią, ale własną wolą nie można tego osiągnąć, oni bronią tylko tego, kogo chcą bronić.

Sprawa, za którą się ujmują, musi jednak wyjść już poza sąd niższy. Poza tym lepiej jest o nich nie myśleć, gdyż wówczas konferencje z innymi adwokatami, ich rady i pomoc wydają się tak odrażające i daremne — sam się o tym przekonałem — że najchętniej chciałoby się wszystko rzucić, położyć się w domu do łóżka i o niczym więcej nie słyszeć. Ale to znowu byłoby oczywiście najgłupsze, nie miałyby się zresztą na długo spokoju i w łóżku.

— Więc pan wtedy nie myślał o tych wielkich adwokatach? — spytał K.

— Niedługo — powiedział kupiec i uśmiechnął się znowu. — Zupełnie o nich zapomnieć niestety nie można, zwłaszcza noc sprzyja takim myślom. Ale wtedy chciałem przecież natychmiastowych wyników, poszedłem przeto do adwokatów pokątnych.

— Jak wy tu siedzicie jeden obok drugiego! — zawołała Leni, która wróciła z filiżanką i stanęła w drzwiach.

Siedzieli rzeczywiście ciasno przy sobie, przy najmniejszym ruchu musieliby uderzyć się głowami, kupiec, który przy swoim małym wzroście jeszcze zgarbił plecy, K. nisko nad nim nachylony, by móc wszystko słyszeć.

— Jeszcze chwilkę! — zawołał K. wstrzymując Leni i potrząsnął niecierpliwie ręką, która wciąż jeszcze leżała na ręce kupca.

— On chciał, bym mu opowiedział o moim procesie — rzekł kupiec do Leni.

— Opowiadaj, opowiadaj — powiedziała.

Mówiła do kupca uprzejmie, a przecież protekcyjnie. To się K. nie podobało; jak zdołał poznać, miał ten człowiek jednak pewną wartość, przede wszystkim miał doświadczenie, którym umiał się z innymi dzielić. Leni oceniła go widocznie niesprawiedliwie. Popatrzył z gniewem, jak Leni odebrała teraz kupcowi świecę, którą ten cały czas trzymał, jak mu obtarła fartuchem rękę, a potem uklękła obok niego, aby zeskrobać trochę wosku, który nakapał ze świecy na jego spodnie.

— Chciał mi pan opowiedzieć o adwokatach pokątnych — powiedział K. i odsunął bez słowa rękę Leni.

— Czego chcesz? — spytała Leni, uderzyła lekko K. i robiła swoje dalej.

— Tak, o adwokatach pokątnych — powiedział kupiec i przejechał ręką po czole, jakby się namyślał.

K. chciał mu pomóc, więc rzekł:

— Pan chciał mieć natychmiastowe wyniki i poszedł dlatego do pokątnych adwokatów.

— Całkiem słusznie — rzekł kupiec i urwał.

„Może nie chce mówić wobec Leni” — myślał K., opanował swoją niecierpliwość, zrezygnował na razie z usłyszenia dalszego ciągu i nie nastawał już więcej.

— Zgłosiłaś mnie? — spytał Leni.

— Naturalnie — odpowiedziała — on czeka na ciebie. Zostaw teraz Blocka, z Blockiem możesz także później mówić, on przecież tu zostaje.

K. wahał się jeszcze.

— Pan tu zostaje? — spytał kupca; chciał jego własnej odpowiedzi, nie chciał, by Leni mówiła o kupcu jak o kimś nieobecnym, czuł dzisiaj do Leni wiele tajonego gniewu. I znowu odpowiedziała tylko Leni:

— On tu sypia często.

— Sypia tu? — zawołał K.; myślał, że kupiec tu tylko na niego zaczeka, on szybko załatwi rozmowę z adwokatem, a potem zaraz wyjdą i wszystko gruntownie, bez przeszkód omówią.

— Tak — powiedziała Leni — nie każdy jest tak jak ty, Józefie, w dowolnej porze dopuszczany do adwokata. Zdajesz się temu zupełnie nie dziwić, że adwokat mimo choroby przyjmuje cię jeszcze o jedenastej godzinie w nocy. Uważasz to, co przyjaciele dla ciebie robią, za coś, co się samo przez się rozumie. Zresztą twoi przyjaciele, przynajmniej ja, robimy to chętnie. Nie chcę i nie potrzebuję też żadnej innej podzięki, jak tylko, byś mnie kochał.

„Ciebie kochać? — pomyślał K. w pierwszej chwili, dopiero potem wpadło mu do głowy: — No tak, kocham ją”. Mimo to powiedział, pomijając wszystko inne:

— Przyjmuje mnie, ponieważ jestem jego klientem. Gdyby i do tego także była potrzebna cudza pomoc, musiałoby się na każdym kroku zawsze równocześnie żebrać i dziękować.

— Jaki on jest dzisiaj niedobry, prawda? — zwróciła się Leni do kupca.

„Teraz ja jestem tym nieobecnym” — pomyślał K. i natychmiast prawie rozgniewał się na kupca, gdy ten, podejmując ton Leni, powiedział:

— Adwokat przyjmuje go także z innych powodów. Jego wypadek bowiem jest ciekawszy od mego. Poza tym jego proces jest w zaczątkach, a więc widocznie jeszcze nie bardzo zagmatwany, dlatego adwokat zajmuje się nim jeszcze chętnie. Później będzie inaczej.

— Tak, tak — mówiła Leni i patrzyła śmiejąc się na kupca. — Jak on plecie! Nie powinienes mu — tu zwróciła się do K. — zupełnie wierzyć. Jest równie miły, jak gadatliwy. Może dlatego adwokat go nie znosi. W każdym razie przyjmuje go tylko,

gdy jest w dobrym humorze. Wiele zadałam już sobie trudu, aby to zmienić, lecz to niemożliwe. Pomyśl tylko, nieraz zgłaszam Blocka, a on przyjmuje go dopiero na trzeci dzień. A jeśli w tym czasie, w którym go wywołuje, Blocka nie ma na miejscu, wszystko stracone i musi zgłaszać się na nowo. Dlatego pozwoliłam Blockowi spać tu, już się bowiem zdarzało, że dzwonił po niego w nocy. Teraz jest więc Block i w nocy pod ręką. Zresztą zdarza się teraz znowu, że adwokat, jeśli się okazuje, iż Block tu jest, odwołuje swoje wezwanie.

K. spoglądał pytająco na kupca. Ten potaknął i powiedział tak szczerze, jak przedtem rozmawiał z K., może trochę zmieszany ze wstydu:

— Tak, później staje się człowiek bardzo zależny od swego adwokata.

— On uważa się tylko dla pozorów — powiedziała Leni. — Bardzo chętnie tu sypia, nieraz już mi to wyznał. — Podeszła do jakichś małych drzwi i pchnęła je. — Chcesz zobaczyć jego sypialnię? — spytała.

K. podszedł tam i z progu rzucił okiem na niski pokój bez okna, zupełnie wypełniony wąskim łóżkiem. Do tego łóżka musiało się wchodzić przez poręcz. U wezłowania łóżka było zagłębienie w murze, tam stały w pedantycznym porządku: świeca, kałamarz i pióro, jak również plik papierów, widocznie akta procesu.

— Pan śpi w pokoju dla służącej? — spytał K. i odwrócił się do kupca.

— Leni mi go odstąpiła — odpowiedział kupiec — to dla mnie bardzo dogodnie.

K. długo patrzył na niego; pierwsze wrażenie, jakie zrobił na nim kupiec, było może jednak najtrafniejsze; doświadczenie zdobył, bo jego proces trwał długo, ale drogo to doświadczenie okupił. Nagle nie mógł K. już dłużej ścierpieć widoku kupca.

— Wsadźże go do łóżka! — zawołał do Leni, która zdawała się zupełnie go nie rozumieć. Sam zaś chciał pójść do adwokata i przez wypowiedzenie pełnomocnictwa uwolnić się nie tylko od adwokata, ale i od Leni, i kupca. Lecz nim jeszcze zbliżył się do drzwi, przemówił do niego kupiec cichym głosem:

— Panie prokurencie. — K. odwrócił się ze złą miną. — Pan zapomniał o swej obietnicy — powiedział kupiec i wyciągnął ze swego miejsca błagalnie ręce — pan miał mi jeszcze powiedzieć jakąś tajemnicę.

— W istocie — powiedział K. i zmierzył spojrzeniem Leni, która uważnie mu się przypatrywała. — A więc, proszę słuchać, zresztą nie jest to już prawie tajemnicą. Idę teraz do adwokata, by mu wypowiedzieć.

— On mu wypowiada! — zawołał kupiec, zeskoczył z krzesła i biegał dookoła kuchni ze wzniesionymi ramionami. Wciąż na nowo wykrzykiwał: — On wypowiada adwokatowi!

Leni chciała od razu rzucić się na K., ale kupiec zabiegł jej drogę, za co uderzyła go pięściami. Jeszcze z zaciśniętymi pięściami pobiegła za K., który jednak mocno ją wyprzedził. Był już w pokoju adwokata, gdy go Leni dopędziła. Zamykał już za sobą drzwi, ale Leni, która nogą zastawiła otwarte skrzydło, chwyciła go za ramię i chciała go odciągnąć. Wtedy tak silnie ścisnęła jej w przegubie rękę, że musiała go z jękiem puścić. Nie śmiała wejść od razu do pokoju, a K. zamknął tymczasem drzwi na klucz.

— Już bardzo długo czekam na pana — powiedział z łóżka adwokat, odłożył na nocny stolik pismo, które czytał przy świetle świecy, i nasadził okulary, przez które ostro popatrzył na K.

Zamiast się usprawiedliwić, K. powiedział:

— Wkrótce odejdę.

Adwokat puścił mimo uszu uwagę K., ponieważ nie była usprawiedliwieniem, i powiedział:

— Na drugi raz nie przyjmę pana o tak późnej godzinie.

— To odpowiada memu życzeniu — powiedział K.

Adwokat spojrzał na niego pytająco.

— Proszę usiąść — powiedział.

— Skoro pan sobie tego życzy — odrzekł K., przysunął krzesło do stolika nocnego i usiadł.

— Zdawało mi się, że pan zamknął drzwi — powiedział adwokat.

— Tak — odrzekł K. — to z powodu Leni. — Nie miał zamiaru nikogo oszczędzać. Lecz adwokat zapytał:

— Znowu była natrętna?

— Natrętna? — spytał K.

— Tak — odpowiedział adwokat, śmiał się przy tym, dostał napadu kaszlu i zaczął, gdy ten atak przeszedł, znowu się śmiać. — Chyba pan zauważył jej natarczywość? — spytał i poklepał K. po ręce, którą ten w roztargnieniu oparł na nocnym stoliku, a teraz szybko cofnął.

— Nie przypisuje pan temu wiele znaczenia — powiedział adwokat, gdy K. milczał — tym lepiej. Bo inaczej musiałbym może ja usprawiedliwiać się wobec pana. Jest to dziwactwo Leni, które zresztą już jej dawno wybaczyłem i o którym też nie mówiłbym, gdyby pan właśnie teraz nie zamknął drzwi. To dziwactwo — zresztą panu właściwie najmniej powinienem je tłumaczyć, ale pan patrzy na mnie tak zdumiony i właśnie dlatego to robię — otóż dziwactwo polega na tym, że w oczach Leni prawie wszyscy oskarżeni są piękni. Narzuca się wszystkim, kocha wszystkich, zresztą

wszyscy ją też, zdaje się, kochają; aby mnie rozerwać, nieraz mi o tym później opowiada, jeśli pozwalam. Nie dziwię się temu wszystkiemu, tak jak pan zdaje się dziwić. Jeśli się ma dobre pod tym względem oko, rzeczywiście widzi się, jak piękni bywają często oskarżeni. Zresztą jest to dziwne, do pewnego stopnia przyrodnicze zjawisko. Wskutek oskarżenia nie zachodzi, rozumie się, widoczna jakaś, bliżej określona zmiana w wyglądzie zewnętrznym. Nie jest tu przecież tak jak w innych sprawach sądowych, przeważna ilość oskarżonych pozostaje nadal przy swoim zwyczajnym trybie życia i jeśli mają dobrego adwokata, który się za nich stara, niezbyt nawet odczuwają proces jako przeszkodę. Mimo to ci, którzy mają w tym doświadczenie, są w stanie w największym tłumie poznać oskarżonych co do jednego. Po czym? — zapytał pan. Moja odpowiedź nie zadowoli pana. Oskarżeni są właśnie najpiękniejsi. Nie może ich tak upiększać wina, bo — tak muszę przynajmniej mówić jako adwokat — nie wszyscy są przecież winni, nie może też czynić ich już teraz tak pięknymi słuszną karą, bo przecież nie wszyscy są karani — może to więc polegać tylko na wdrożonym przeciw nim postępowaniu, to ono wyciska na nich jakieś piętno. W każdym razie są między pięknymi także wyjątkowo piękni. Ale piękni są wszyscy, nawet Block, ten nędzny robak.

Gdy adwokat skończył, K. był już zupełnie zdecydowany, ostatnim słowem nawet ostentacyjnie przytakiwał potwierdzając tak sobie swe dawne zapatrywanie, że adwokat zawsze, także i tym razem, usiłuje z pomocą różnych wiadomości nie należących do sprawy rozerwać go i odwieść od głównego pytania: co właściwie pozytywnego zrobił w sprawie K.? Adwokat chyba zauważył, że mu K. tym razem stawia większy opór niż zawsze, bo zamilkł teraz, by dać K. możliwość mówienia, a gdy K. nadal milczał, spytał:

— Czy pan przyszedł dziś do mnie z jakimś określonym zamiarem?

— Tak — odrzekł K. i zasłonił nieco ręką świecę, aby lepiej widzieć adwokata. — Chciałem panu powiedzieć, że z dniem dzisiejszym odbieram panu pełnomocnictwo w mojej sprawie.

— Czy dobrze rozumiem? — spytał adwokat, podniósł się na wpół w łóżku i oparł się jedną ręką na poduszce.

— Przypuszczam — powiedział K., który siedział wyprostowany i naprężony jak na czatach.

— No, możemy także i ten zamiar przedyskutować — powiedział po chwili adwokat.

— To już nie jest zamiar — rzekł K.

— Być może — powiedział adwokat — ale mimo to nie chcemy działać zbyt pośpiesznie. — Użył słowa „my”, jakby nie miał zamiaru opuścić K. i jakby chciał zostać przynajmniej jego doradcą, jeśli już nie mógł być obrońcą.

— Nie działałam zbyt pośpiesznie — powiedział K., wstał powoli i stanął za swoim krzesłem. — Dobrze to rozważyłem i może nawet za długo. Moja decyzja jest ostateczna.

— Wobec tego proszę mi pozwolić jeszcze tylko kilka słów — powiedział adwokat, odrzucił pierzynę i siadł na brzegu łóżka. Jego boscie nogi z siwymi włosami drżały z zimna. Poprosił K., by mu podał koc z kanapy. K. przyniósł koc i powiedział:

— Pan się zupełnie zbyt mocno naraża na przeziębienie.

— Przyczyna jest dość ważna — rzekł adwokat osłaniając górną część ciała pierzyną, a potem owijając nogi kocem. — Pański wuj jest moim przyjacielem, a i pana z biegiem czasu polubiłem. Wyznaję to otwarcie. Nie mam się czego wstydzić.

Te kłliwe słowa starego człowieka były dla K. bardzo nie na rękę, bo zmuszały go do dokładniejszego wyjaśnienia, którego chciał uniknąć, i prócz tego zbijały go z tropu, do czego się szczerze przyznawał, choć wcale nie były w stanie cofnąć jego postanowienia.

— Dziękuję panu za jego dobre intencje — powiedział. — Uznaję także, że pan zajmował się moją sprawą, na ile pana stać było i na ile się panu to wydawało dla mnie korzystne. Ja jednak doszedłem w ostatnich czasach do przekonania, że to nie wystarcza. Naturalnie nie będę nigdy usiłował przekonywać pana, o tyle starszego i bardziej doświadczonego ode mnie, o słuszności mego zapatrywania; jeśli czasem mimo woli tego próbowałem, to proszę mi wybaczyć, jednak sprawa, jak pan się sam wyraził, jest dość ważna i moim zdaniem należy o wiele energiczniej zabrać się do procesu, niż to się dotychczas działo.

— Rozumiem pana — powiedział adwokat — pan się niecierpliwi.

— Nie niecierpliwię się — rzekł K. trochę rozdrażniony i nie uważał już tak bardzo na swoje słowa. — Pan zapewne już w czasie mojej pierwszej wizyty z wujem zauważył, że nie zależało mi tak bardzo na tym procesie; gdy mi go gwałtem niejako nie przypominano, zupełnie o nim zapomniałem. Ale mój wuj nalegał, bym panu oddał pełnomocnictwo w mej sprawie, zrobiłem to, aby mu sprawić przyjemność. I teraz miałem bądź co bądź prawo spodziewać się, że odtąd łatwiej mi pójdzie ów proces niż dotychczas, gdyż daje się przecież pełnomocnictwo adwokatowi, aby zrzucić z siebie częściowo ciężar procesu. Ale stało się wprost przeciwnie. Nigdy dotąd nie miałem tak wielkich trosk z powodu procesu, jak od czasu, gdy pan przejął

obronę. Póki byłem sam, nie przedsiębrałem nic w mojej sprawie, a mimo to prawie nie czułem jej istnienia, teraz natomiast miałem obrońcę, wszystko było tak pomyślane, by coś się stało, nieustannie i z coraz większym napięciem oczekiwałem pana interwencji, lecz ona nie następowała. Otrzymywałem wprawdzie od pana różne informacje o sądzie, których nikt nie mógłby mi udzielić, ale to mi nie może wystarczyć, gdyż obecnie proces niewidzialnie, wprost z dnia na dzień coraz bliżej i ciaśniej mnie osacza.

K. odtrącił od siebie krzesło i stał wyprostowany, z rękami w kieszeniach surduta.

— Od pewnego momentu praktyki — powiedział cicho i spokojnie adwokat — nie zdarza się już nic istotnie nowego. Iluż klientów w podobnych stadiach procesu stało przede mną i mówiło podobnie jak pan!

— W takim razie — rzekł K. — mieli wszyscy ci podobni do mnie klienci również rację. To wcale nie stoi w sprzeczności z tym, co mówię.

— Nie chciałem tym odeprzeć pańskiego zarzutu — powiedział adwokat — chciałem tylko jeszcze dodać, że spodziewałem się po panu więcej krytycyzmu niż po innych, zwłaszcza że dałem panu lepszy wgląd w sądownictwo i w moją działalność, niż to na ogół zwykłem czynić wobec stron. A teraz muszę stwierdzić, że pan mimo wszystko nie ma do mnie dość zaufania. Pan mi nie ułatwia sprawy.

Jak się adwokat upokarzał przed K.! Bez wszelkiego względu na godność swego stanu, która na pewno jest najczulsza właśnie w tym punkcie. I dlaczego to robił? Był przecież, sądząc z pozoru, wziętym adwokatem, a ponadto bogatym człowiekiem, nie mogło mu wiele zależeć ani na utracie zarobku, ani na utracie klienta. Poza tym był chorowity i powinien był sam na to uważać, by mu nieco ujęto ciężaru pracy. A mimo to trzymał się jego, K., tak kurczowo! Dlaczego? Byłóż to może osobiste współczucie dla wuja, czy też rzeczywiście uważał proces K. za tak niezwykły i spodziewał się w nim odznaczyć albo na korzyść K., albo — ta możliwość nigdy nie dawała się wykluczyć — na korzyść przyjaciół w sądzie? Po nim samym niczego nie można było poznać, mimo że K. z tak surową badawczością wbijał w niego wzrok. Można było wprost przypuszczać, że z opanowaną twarzą czeka umyślnie na wrażenie swoich słów. Ale widocznie zbyt korzystnie dla siebie tłumaczył milczenie K., gdyż dalej tak ciągnął:

— Pan musiał zauważyć, że choć mam wielką kancelarię, jednak nie zatrudniam pomocników. Przedtem było inaczej, był czas, gdy kilku młodych prawników pracowało dla mnie, dziś pracuję sam. Wiąże się to po części ze zmianą

mojej praktyki, coraz bardziej bowiem ograniczam się do spraw sądowych tego rodzaju co pańska, po części z coraz głębszym zrozumieniem, jakie nabyłem w tych sprawach prawnych. Uważałem, że nie mogę nikomu powierzyć tej roboty, jeśli nie chcę sprzeniewierzyć się moim klientom i zadaniu, którego się podjąłem. Decyzja jednak wykonywania całej pracy samemu pociągnęła za sobą normalne skutki: musiałem odrzucać prawie wszystkie prośby o podjęcie się obrony i mogłem przyjmować tylko te, które mnie szczególnie blisko obchodziły — no, a dość jest kreatur, które rzucają się na każdy odpadek, jaki im spadnie — nie potrzebuję daleko szukać. Później, w dodatku, zachorowałem z przepracowania. Lecz mimo to nie żałuję mojej decyzji, możliwe, że mogłem być odrzucić jeszcze więcej spraw, niż to zrobiłem, ale to, że oddałem się całkowicie powierzonym mi procesom, okazało się bezwzględnie konieczne i zostało wynagrodzone powodzeniem. W jednym z pism znalazłem kiedyś świetnie wyrażoną różnicę, jaka zachodzi między obroną w zwyczajnych a obroną w tych właśnie sprawach. Brzmiało to tak: jeden adwokat prowadzi swego klienta po nitce do wyroku, drugi natomiast od razu bierze klienta na plecy i niesie go, nie zszadzając, aż do wyroku i jeszcze dalej. Tak jest. Ale przesadzałem mówiąc, że nigdy nie żałuję tej wielkiej pracy. Jeśli, jak w pańskim wypadku, ktoś jej tak zupełnie nie docenia, natenczas prawie żałuję.

K. bardziej zniecierpliwilo, niż przekonało to gadanie. Zdawało mu się, że z brzmienia głosu adwokata wyczuwa, co by go czekało, gdyby ustąpił. Znowu zaczęłyby się pocieszenia, wskazywanie na postępy w pracy nad podaniem, na lepszy nastrój urzędników sądowych, ale także na wielkie trudności, które piętrzą się dookoła zadania, słowem, znowu powtarzałyby wszystko, co K. aż do przesyty już znał, aby dalej łudzić nieokreślonymi nadziejami i dręczyć nieokreślonymi groźbami. Temu musiał stanowczo przeszkodzić, dlatego powiedział:

— Co zamierza pan w mojej sprawie przedsięwziąć, jeśli zatrzyma ją pan nadal?

Adwokat nagiął się nawet do tego obrażającego pytania i odrzekł:

— Kontynuować to, co już dla pana przedsięwziąłem.

— Wiedziałem to — powiedział K. — wobec tego każde dalsze słowo jest zbyteczne.

— Zrobię jeszcze jedną próbę — powiedział adwokat, tak jak gdyby to, co irytowało K., spotkało nie K., ale jego. — Mam bowiem podejrzenie, że nie tylko do fałszywej oceny mojej pomocy prawnej, ale w ogóle do pańskiej postawy doprowadziło pana to, że mimo stanu oskarżenia jest pan traktowany za dobrze albo,

lepiej się wyraziwszy, za pobłażliwie, pozornie pobłażliwie. Także i to ostatnie ma swoją przyczynę; często lepiej jest być na łańcuchu niż na wolności. Ale ja chciałbym jednak pokazać panu, jak traktuje się innych oskarżonych, może wystarczy to panu, by wyciągnąć z tego naukę. Zawołam teraz mianowicie Blocka, proszę odemknąć drzwi i usiąść tu obok nocnego stolika!

— Chętnie — powiedział K. i wykonał to, czego żądał adwokat; do nauki był zawsze gotów. Aby się jednak na wszelki wypadek upewnić, spytał jeszcze: — Ale pan przyjął do wiadomości, że odbieram panu moją sprawę?

— Tak — powiedział adwokat. — Lecz pan może to dziś jeszcze odwołać.

Położył się z powrotem do łóżka, naciągnął pierzynę aż pod brodę i odwrócił się do ściany. Potem zadzwonił.

Prawie równocześnie z głosem dzwonka zjawiała się Leni, szybkimi spojrzeniami starała się wybadać, co zaszło; uspokoiło ją widocznie to, że K. siedział cicho przy łóżku adwokata. Kiwnęła do zagapionego na nią K. z uśmiechem głową.

— Zawołaj Blocka — rzekł adwokat.

Lecz zamiast pójść po niego, stanęła tylko przed drzwiami i zawołała:

— Block! Do adwokata! — a ponieważ adwokat leżał wciąż odwrócony do ściany i nic go nie obchodziło, wsunęła się za krzesło K. Odtąd przeszkadzała mu przechylając się przez poręcz krzesła albo gładząc rękami, zresztą bardzo delikatnie i ostrożnie, jego włosy i głaszcząc go po twarzy. W końcu K. próbował jej w tym przeszkodzić schwyciwszy ją za rękę, którą po krótkim oporze zostawiła w jego dłoni.

Block przyszedł na pierwsze zawołanie, ale zatrzymał się przed drzwiami, jakby zastanawiał się, czy ma wejść. Podniósł wysoko brwi i schylił głowę, jak gdyby nasłuchiwał, czy rozkaz wzywający go do adwokata się powtórzy. K. mógłby go zachęcić do wejścia, ale postanowił zerwać nieodwołalnie nie tylko z adwokatem, lecz ze wszystkim, co w tym mieszkaniu się działo — siedział dlatego nieruchomo. Również i Leni milczała. Block wyczuł, że go w każdym razie nikt nie wygania, i wszedł na czubkach palców, z naprężoną miną, z rękoma kurczowo splecionymi na plecach. Drzwi dla ewentualnego odwrotu zostawił otwarte. Nie patrzył wcale na K., tylko wciąż na wysoką pierzynę, pod którą adwokat, przysunięty całkiem blisko do ściany, nawet nie był widoczny. Wtem usłyszano jego głos:

— Block, tu? — spytał.

To pytanie było dla Blocka, który już znacznie posunął się ku środkowi, jakby ciosem w samą pierś czy w plecy — zatoczył się, przystanął nisko zgarbiony i powiedział:

— Do usług.

— Czego chcesz? — spytał adwokat. — Przychodzisz nie w porę.

— Czy nie zostałem wezwany? — spytał Block bardziej siebie niż adwokata, trzymał przed sobą ręce jak dla obrony i był gotów wybiec.

— Zostałeś wezwany — powiedział adwokat — mimo to przychodzisz nie w porę. — A po chwili dodał: — Zawsze przychodzisz nie w porę.

Odkąd adwokat zaczął mówić, Block przestał patrzeć na łóżko, wlepił wzrok gdzieś w kąt i nasłuchiwał tylko, jak gdyby nawet spojrzenie mówiącego było zbyt oślepiające, by mógł je znieść. Ale i przysłuchiwanie się było trudne, bo adwokat mówił w kierunku ściany, a do tego cicho i prędko.

— Czy pan chce, bym odszedł? — spytał Block.

— No, ponieważ już tu jesteś — powiedział adwokat — zostań!

Można by przypuszczać, że adwokat spełniał nie prośbę Blocka, ale groził mu biciem, bo teraz zaczął Block rzeczywiście się trząść.

— Byłem wczoraj — mówił adwokat — u trzeciego sędziego, mego przyjaciela, i stopniowo skierowałem rozmowę na ciebie. Chcesz wiedzieć, co powiedział?

— O, proszę — rzekł Block. Ale ponieważ adwokat nie zaraz odpowiedział, powtórzył Block jeszcze raz prośbę i schylił się, jakby chciał uklęknąć. Na to rzucił się na niego K.

— Co robisz? — zawołał.

Ponieważ Leni chciała mu przeszkodzić w odezwaniu się, chwycił także jej drugą rękę. Nie był to uścisk miłości, toteż wzdychając starała się wydrzeć mu rękę. Za okrzyk K. został ukarany Block, gdyż adwokat spytał go:

— Któż jest twoim adwokatem?

— Pan nim jest — odrzekł Block.

— A prócz mnie? — spytał adwokat.

— Nikt prócz pana — odpowiedział Block.

— Wobec tego nie słuchaj też nikogo innego — rzekł adwokat.

Block uznał to w zupełności, zmierzył K. złym spojrzeniem i gwałtownie potrząsnął w jego kierunku głową. Gdyby te gesty przetłumaczyć na słowa, byłyby to same ordynarne zniewagi. I z tym człowiekiem chciał K. mówić po przyjacielsku o swojej własnej sprawie!

— Już ci nie będę przeszkadzał — powiedział K. opierając się znowu w krześle.

— Klęcz albo czołgaj się na czworakach, rób, co chcesz, nic mnie to już nie obchodzi.

Ale Block miał mimo wszystko poczucie honoru, przynajmniej w stosunku do K., bo podszedł do niego odgrażając się pięściami i krzyczał tak głośno, jak na to tylko mógł się odważyć w pobliżu adwokata:

— Nie wolno panu tak ze mną mówić, nie jest to dozwolone. Dlaczego pan mnie obraża? I do tego jeszcze tu przed panem adwokatem, który nas obu, pana i mnie, tylko z litości toleruje! Pan wcale nie jest lepszym człowiekiem ode mnie, bo pan także jest oskarżony i ma także proces. A jeśli pan mimo to jest jeszcze panem, to ja jestem takim samym panem, o ile nawet nie większym. I żądam też, by tak się do mnie odzywali wszyscy, zwłaszcza pan. Ale jeśli pan się uważa za kogoś lepszego przez to, że pan tu siedzi i wolno się panu spokojnie przysłuchiwać, podczas gdy ja, jak pan się wyraża, czolgam się na czworakach, to przypominam panu starą maksymę prawną: dla podejrzanego lepszy jest ruch niż spokój, bo ten, kto spoczywa, może każdej chwili nie wiedząc o tym znajdować się na szali wagi i być ważonym wraz ze swoimi grzechami.

K. nic nie odpowiedział, patrzył tylko ze zdumieniem na tego nieprzytomnego wprost człowieka. Co za zmiany zaszły w nim już tylko w ostatniej godzinie! Czy to proces tak nim miotał i nie pozwalał dostrzec, gdzie wróg, a gdzie przyjaciel? Czyż nie widział, że adwokat z rozmysłem go upokarza i tym razem nie ma nic innego na celu, jak tylko chełpić się przed K. swoją władzą i przez to może go i pozyskać? Jeśli jednak Block nie był w stanie sobie tego uświadomić albo jeśli tak bardzo bał się adwokata, że mu ta świadomość nic nie mogła pomóc, jak to się stało, że był jednak tak chytry czy tak odważny, by oszukiwać adwokata i przemilczeć, że oprócz niego miał jeszcze innych adwokatów, którzy dla niego pracowali? I jak śmiał zaatakować K., skoro ten mógł natychmiast zdradzić jego tajemnicę? Ale on odważył się na jeszcze więcej, podszedł do łóżka adwokata i zaczął się tam żalić na K.:

— Panie adwokacie — powiedział — czy słyszał pan, jak ten człowiek ze mną mówił? Jego proces liczy się dopiero na godziny, a on już chce dawać nauki mnie, człowiekowi, który ma za sobą pięć lat procesu. Nawet znieważa mnie. Nie wie nic, a znieważa mnie, który, na ile pozwalają moje słabe siły, dokładnie przestudiowałem, czego wymaga przyzwoitość, obowiązek i zwyczaj sądowy.

— Nie troszcz się o nikogo — rzekł adwokat — i rób, co ci się wydaje słuszne.

— Pewnie — powiedział Block, jakby sam sobie dodawał odwagi, i ukląkł pod wpływem krótkiego spojrzenia z ukosa tuż przy łóżku. — Już klęczę, mój adwokacie — powiedział. Ale adwokat milczał. Block ostrożnie głaskał ręką pierzynę. W ciszy, która teraz zapanowała, powiedziała Leni uwalniając się z rąk K.:

— Sprawiasz mi ból. Puść mnie. Idę do Blocka.

Podeszła i siadła na brzegu łóżka. Block bardzo się ucieszył jej przyjściem i zaraz żywą, choć milczącą gestykulacją poprosił ją, by wstawiła się za nim u adwokata. Widocznie potrzebował koniecznie informacji adwokata, ale może tylko w tym celu, by dać je do wykorzystania innym swoim adwokatom. Leni prawdopodobnie dobrze wiedziała, jak sobie dać radę z adwokatem, wskazała na jego rękę i ułożyła wargi w dziób jak do pocałunku. Natychmiast poszedł Block za zachętą Leni i na jej znak powtórzył pocałunek jeszcze dwa razy. Lecz adwokat wciąż jeszcze milczał. Wtedy pochyliła się Leni nad adwokatem — gdy się tak wyprężyła, uwidoczniła się piękna budowa jej ciała — i pogłaskała, nisko schylona, jego długie, białe włosy. Tym wymusiła na nim jednak odpowiedź.

— Nie wiem, czy mu o tym powiedzieć — rzekł adwokat i widać było, jak potrząsnął lekko głową, może, by silniej doznać nacisku ręki Leni. Block słuchał ze spuszczoną głową, jakby przekraczał przez to słuchanie jakiś zakaz.

— Dlaczego się wahasz? — spytała Leni.

K. odnosił wrażenie, że słyszy wystudiowaną rozmowę, która się już wiele razy odbyła, która się jeszcze wiele razy powtórzy, a tylko dla Blocka nie może utracić smaku nowości.

— Jak on się dziś zachowywał? — spytał adwokat zamiast odpowiedzi.

Nim Leni wyraziła swoją opinię, popatrzyła w dół na Blocka i obserwowała chwilę, jak wzniosł do niej ręce i błagalnie jedną o drugą ocierał. W końcu skinęła poważnie, zwróciła się do adwokata i powiedziała:

— Był dziś spokojny i pilny.

Stary kupiec, mężczyzna z długą brodą, błagał młodą dziewczynę o przychylne świadectwo. Choćby nawet miał przy tym jakieś ukryte myśli, nic go nie mogło usprawiedliwić w oczach świadka. K. nie pojmował, jak mógł adwokat przypuszczać, że tym przedstawieniem go pozyska. Gdyby nie przepędził go wcześniej, uczyniłby to po tej scenie. Obrażał wprost poczucie godności widza. Tak więc metoda adwokata, na którą K. na szczęście nie był zbyt długo narażony, sprawiała, że klient w końcu zapomniał o całym świecie i tylko na tym manowcu spodziewał się dowlec do końca procesu. Nie był to już klient, lecz pies adwokata. Gdyby mu ten rozkazał wleźć pod łóżko jak do psiej budy i stamtąd czekać, byłby to zrobił z ochotą. K. przysłuchiwał się badawczo i z poczuciem wyższości, jak gdyby miał polecenie wszystko, co tu się mówiło, dokładnie wrazić sobie w pamięci donieść o tym w raporcie wyższej instancji.

— Co robił w ciągu całego dnia? — spytał adwokat.

— Zamknęłam go — powiedziała Leni — aby mi w robocie nie przeszkadzał, do pokoju służącej, gdzie zwykle przebywa. Przez szparę mogłam od czasu do czasu sprawdzić, co on robi. Klęczał ciągle na łóżku, rozłożył pisma, które mu pożyczyłeś, na parapecie i czytał je. Zrobiło to na mnie dobre wrażenie, okno bowiem wychodzi na powietrzny komin i nie daje prawie żadnego światła. Że Block mimo to czytał, świadczyło, jak jest posłuszny.

— Miło mi to słyszeć — powiedział adwokat — ale czy czytał aby ze zrozumieniem?

W ciągu tej rozmowy Block poruszał nieustannie ustami, widocznie formułował odpowiedzi, których oczekiwał od Leni.

— Na to naturalnie nie mogę odpowiedzieć z pewnością — rzekła Leni. — W każdym razie widziałam, że czytał gruntownie. Przez cały dzień czytał tę samą stronę i przy czytaniu wodził palcem wzdłuż wierszy. Ilekroć do niego zaglądałam, wzdychał, jakby mu czytanie sprawiało wiele trudu. Pisma, które mu pożyczyłeś, są prawdopodobnie trudne do zrozumienia.

— Tak — powiedział adwokat — rzeczywiście są trudne, nie sądzę też, by coś z nich rozumiał. Mają dać mu tylko wyobrażenie, jak ciężka jest walka, którą w jego obronie toczę. I dla kogóż to toczę tę walkę? Wprost śmieszne to powiedzieć — dla Blocka. Powinien to sobie dobrze uświadomić. Czy studiował bez przerwy?

— Prawie bez przerwy — odpowiedziała Leni — tylko raz poprosił mnie o wodę do picia. Podałam mu przez otwór szklanę. O ósmej godzinie wypuściłam go potem i dałam mu coś do zjedzenia.

Block obrzucił K. spojrzeniem z ukosa, jakby opowiadano tu o nim coś chlubnego, co musi także na K. sprawić wrażenie. Zdawał się być teraz pełen nadziei, poruszał się swobodniej i posuwał się na kolanach tu i tam. Tym większe było jego osłupienie, kiedy odezwał się znowu adwokat:

— Chwalisz go — powiedział adwokat. — Ale właśnie to utrudnia mi mówienie, sędzia bowiem nie wyraził się korzystnie ani o samym Blocku, ani o jego procesie.

— Niekorzystnie? — spytała Leni. — Jak to możliwe?

Block patrzył na nią z takim napięciem, jakby jej przypisywał zdolność obrócenia jeszcze teraz na jego korzyść dawno wypowiedzianych słów sędziego.

— Niekorzystnie — powtórzył adwokat. — Był nawet niemile zdziwiony, gdy zacząłem mówić o Blocku. „Nie mów pan o Blocku”, powiedział. „On jest moim klientem”, powiedziałem. „Pan daje się wyzyskiwać”, powiedział. „Nie uważam jego sprawy za przegraną”, powiedziałem. „Pan daje się wyzyskiwać”, powtórzył. „Nie

sądzę, powiedziałem, Block jest w procesie bardzo pilny i gorliwie dogląda swojej sprawy. Prawie że mieszka u mnie, aby zawsze być poinformowanym o toku sprawy. Nie zawsze spotyka się tyle gorliwości. Pewnie, osobiście nie jest sympatyczny, ma wstrętne obejście i jest brudny, ale jeśli idzie o proces, jest bez zarzutu”. Powiedziałem: „bez zarzutu”, z rozmysłem przesadziłem. Na co odpowiedział: „Block jest tylko chytry. Zebrał wiele doświadczenia i umie przewlekać proces. Ale jego ignorancja jest jeszcze o wiele większa od jego chytrości. Co by na to powiedział, gdyby się dowiedział, że jego proces jeszcze się wcale nie zaczął, gdyby mu powiedziano, że nawet nie było dzwonka na znak jego rozpoczęcia”.

— Cicho, Block! — powiedział adwokat, gdyż ten właśnie zaczął się podnosić na niepewnych kolanach i widocznie chciał prosić o przebaczenie. Po raz pierwszy zwrócił się adwokat w dłuższych słowach wprost do Blocka. Zmęczonymi oczami patrzył przed siebie bez celu, to znowu na Blocka, który pod wpływem tego wzroku znowu powoli osunął się na kolana.

— To oświadczenie sędziego nie ma dla ciebie żadnego znaczenia — rzekł adwokat. — Nie przerażajże się za każdym słowem. Jeśli to się powtórzy, nic ci więcej nie zdradzę. Nie można zacząć zdania, żebyś nie patrzył zaraz takim wzrokiem, jakby teraz miał zapaść ostateczny wyrok na ciebie. Wstydzilibyś się wobec mego klienta! Podważasz też zaufanie, które on we mnie pokłada. Czego właściwie chcesz? Żyjesz jeszcze, jeszcze jesteś pod moją opieką. Bezmyślny strach! Wyczytałeś gdzieś, że wyrok ostateczny w niektórych wypadkach przychodzi znienacka, z dowolnych ust, o dowolnym czasie. Z wieloma zastrzeżeniami jest to zresztą prawdą, ale równie dobrze jest prawdą, że twój strach napawa mnie wstrętem i widzę w tym brak niezbędnego zaufania. Cóż ja takiego powiedziałem? Powtórzyłem oświadczenie jednego z sędziów. Wiesz, że mnożą się najrozmaitsze poglądy w związku z postępowaniem sądowym, aż nie sposób się w tym rozeznąć. Ten sędzia na przykład przyjmuje inny niż ja termin dla początku postępowania prawnego. Różnica przekonań, nic więcej. W pewnym stadium procesu daje się według starego zwyczaju znak dzwonkiem. Według zapatrywania tego sędziego tym się zaczyna proces. Nie mogę ci teraz powiedzieć wszystkiego, co przeciw temu przemawia, i tak nie zrozumiałbyś tego, niech ci wystarczy, że wiele przemawia przeciw temu.

Block wodził zmieszany palcem po sierści dywanika, z trwogi z powodu orzeczenia sędziego zapomniał na jakiś czas o własnej unizoności wobec adwokata, myślał tylko o sobie i na wszystkie sposoby tłumaczył sobie słowa sędziego.

— Block — upomniała go Leni i za kołnierz surduta podniosła nieco w górę. —
Zostaw teraz futro i słuchaj, co mówi adwokat.

(Rozdział powyższy pozostał nie dokończony.)

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W katedrze

K otrzymał zlecenie, aby pokazać kilka zabytków sztuki pewnemu włoskiemu klientowi banku, który po raz pierwszy przebywał w tym mieście, a na którego przyjaźni bardzo bankowi zależało. Było to zlecenie, które w innych okolicznościach na pewno uważałoby za zaszczytne, a które jednak obecnie, gdy tylko z wielkim trudem udawało mu się zachować jeszcze swoje znaczenie w banku, przyjął z niechęcią. Każda godzina, która go odrywała od biura, sprawiała mu kłopot. Wprawdzie nie mógł już teraz wyzyskiwać czasu swego urzędowania nawet w przybliżeniu tak jak dawniej, spędzał nieraz godziny całe pod jakimś ledwie wystarczającym pozorem prawdziwej pracy, ale jeszcze większe były jego zmartwienia, gdy nie był w biurze. Zdawało mu się wtedy, że widzi, jak zastępca dyrektora, który przecież zawsze czyhał na jego potknięcie, przychodzi od czasu do czasu do jego gabinetu, siada przy jego biurku, przeszukuje jego papiery, a strony, z którymi K. już od lat był prawie zaprzyjaźniony, przyjmuje sam i odstręcza od niego, ba, może nawet wykrywa błędy, którymi K. czuł się teraz podczas roboty z tysiąca stron zagrożony i których nie mógł już uniknąć. Dlatego, jeśli mu czasem zlecano nawet najzaszczytniejszą misję na mieście czy krótką podróż w sprawach urzędowych — takie zlecenia zbiegiem przypadku mnożyły się w ostatnich czasach — nietrudno było o podejrzenie, że chciano go na jakiś czas oddalić z biura i skontrolować jego pracę albo też uważano go za zbędnego w biurze. Mógłby się od większości tych zleceń bez trudności uchylić, jednakże nie śmiał, bo jeśli jego obawy były choćby częściowo uzasadnione, to odrzucenie tych zleceń było równoznaczne z przyznaniem się do swych obaw. Z tego powodu przyjmował je pozornie obojętnie i przemilczał nawet, mając odbyć uciążliwą, dwudniową podróż w interesach, swoje poważne przeziębienie, byle tylko nie narazić się na ryzyko wstrzymania go od podróży z powodu panującej właśnie jesiennej słoty. Gdy z wściekłym bólem głowy wrócił z tej podróży, dowiedział się, że nazajutrz towarzyszyć ma włoskiemu klientowi banku. Pokusa, by bodaj tym razem się oprzeć, była bardzo wielka, zwłaszcza że misja, którą mu teraz wyznaczono, nie była zajęciem bezpośrednio z interesami związanym, spełnienie tego towarzyskiego obowiązku względem przyjaciela banku było bezsprzecznie samo przez się dość ważne, tylko że nie dla K., który dobrze wiedział, że może się utrzymać jedynie dzięki konkretnym

wynikom w pracy i jeśli mu się nie uda ich osiągnąć, będzie zupełnie bez znaczenia, choćby niespodziewanie nawet udało mu się oczarować tego Włocha. Nie chciał i na jeden dzień usunąć się z terenu swej pracy, bo obawa, że nie zostanie z powrotem przyjęty, była zbyt wielka — czuł całkiem wyraźnie, że przesadza z tą obawą, a jednak go przygniatała. W tym wypadku, co prawda, było wprost niemożliwe wymyślić jakiś odpowiedni pretekst, jego znajomość włoskiego była wprawdzie nieświeżona, jednakże wystarczająca: decydujące było to, że K. z dawniejszych czasów posiadał pewne wiadomości z zakresu historii sztuki, o czym miano w banku przesadne mniemanie, dzięki temu, że K. był jakiś czas, chociaż tylko z powodów handlowych, członkiem miejskiego towarzystwa opieki nad zabytkami. A że Włoch był, jak głosiła pogłoska, miłośnikiem sztuki, więc wybór K. na jego cicerone rozumiał się sam przez się.

Był bardzo deszczowy, burzliwy poranek, gdy K., wściekły na dzień, który miał przed sobą, już o siódmej godzinie przyszedł do biura, aby wykończyć choć trochę roboty, nim wizyta odciągnie go od wszystkiego. Był bardzo zmęczony, gdyż aby się trochę przygotować, pół nocy spędził na studiowaniu włoskiej gramatyki; okno, przy którym zwykł w ostatnich czasach za często przesiadywać, kusilo go bardziej niż biurko, lecz przemógł się i siadł do roboty. Niestety, natychmiast wszedł woźny i oznajmił, że pan dyrektor posłał go, by zobaczył, czy pan prokurent już jest; jeśli jest, niech będzie tak uprzejmy i uda się do sali reprezentacyjnej, pan z Włoch już przybył.

— Już idę — powiedział K., schował do kieszeni mały słowniczek, wziął pod pachę album osobliwości miasta, który przygotował dla cudzoziemca, i poszedł przez biuro zastępcy dyrektora. Był szczęśliwy z tego, że tak wcześnie przyszedł do biura i mógł być natychmiast do dyspozycji, czego na pewno nikt poważnie się nie spodziewał. Biuro wicedyrektora było oczywiście jeszcze puste jak w głęboką noc, prawdopodobnie miał woźny i jego wezwać do reprezentacyjnej sali, jednakże bez skutku. Gdy K. wszedł do sali, podnieśli się obaj panowie z głębokich foteli. Dyrektor uśmiechnął się uprzejmie, widocznie bardzo zadowolony z przyjścia K., natychmiast przedstawił panów, Włoch potrząsnął ręką K. i ze śmiechem nazwał kogoś rannym ptaszkiem, K. nie rozumiał dokładnie, kogo miał na myśli, było to zresztą jakieś dziwne słowo i K. odgadł jego sens dopiero po chwili. Odpowiedział kilkoma gładkimi zdaniem, które Włoch przyjął znowu ze śmiechem, przy czym kilkakrotnie pogładził nerwowo ręką swój stalowosiwy, krzaczasty wąs. Ten wąs był z pewnością perfumowany, wprost kusił, aby zbliżyć się i powąchać. Gdy wszyscy siedli i zaczęła się wstępna rozmowa, zauważył K. z wielkim niezadowoleniem, że rozumie Włocha tylko fragmentarycznie. Gdy mówił zupełnie spokojnie, rozumiał go prawie

całkowicie. Były to jednak rzadkie wyjątki, przeważnie mowa płynęła mu z ust szybkim strumieniem, potrząsał głową, jakby ciesząc się z tego powodu. Ale w trakcie takiej mowy wplątywał się regularnie w jakiś dialekt, który dla ucha K. nie miał już nic z włoskiej mowy, natomiast dyrektor nie tylko rozumiał go, lecz nawet sam tą gwarą mówił, co zresztą K. mógł być przewidzieć, gdyż Włoch pochodził z południowej prowincji, w której dyrektor również przebywał przez wiele lat. I tak stwierdził K., że możliwość porozumienia się z Włochem po większej części przypadła, gdyż i jego francuszczyzna była trudno zrozumiała. Ponadto wąsy zakrywały ruchy ust, które być może mogłyby pomóc w zrozumieniu. K. zaczął przewidywać wiele nieprzyjemności, tymczasowo zaniechał starań w kierunku zrozumienia Włocha — w obecności dyrektora, który go tak łatwo rozumiał, byłoby to niepotrzebnym wysiłkiem — i śledził zgryźliwie, jak Włoch głęboko, a jednak lekko spoczywał w fotelu, jak obciążał często swój krótki, ostro wcięty surduty i jak w pewnej chwili ze wzniesionymi ramionami, poruszając swobodnie i miękko rękoma, starał się przedstawić coś, czego K. nie mógł pojąć, mimo że pochylony do przodu, nie spuszczał oczu z rąk. W końcu ogarnęło K., który całkiem bezczynny, mechanicznie wodził spojrzeniem od jednego rozmówcy do drugiego, na nowo zmęczenie i ku swemu przerażeniu przyłapał się, na szczęście jeszcze w porę, na tym, że w roztargnieniu chciał już wstać, odwrócić się i odejść. Wreszcie popatrzył Włoch na zegarek i zerwał się. Pożegnawszy się z dyrektorem przystąpił do K., i to tak blisko, że K. musiał odsunąć swój fotel, by móc się poruszać. Dyrektor, który na pewno po oczach poznał kłopot, w jakim znalazł się K. z powodu tej włoszczyzny, wmieszał się do rozmowy, i to tak mądrze i subtelnie, że wywołał wrażenie, jakoby dorzucał tylko drobne rady, gdy w rzeczywistości wszystko, co Włoch, niezmordowanie wpadając mu w słowa, wypowiadał, w krótkości, zrozumiałe dla K. uprzystępniał. K. dowiedział się od niego, że Włoch ma jeszcze załatwić kilka sprawunków, że niestety będzie w ogóle miał tylko mało czasu, że wcale nie zamierza obiegać w pośpiechu wszystkich osobliwości, że raczej — naturalnie jeśli K. się zgodzi, od niego jedynie zależy decyzja — postanowił obejrzeć tylko, lecz za to gruntownie, katedrę. Cieszy się niewymownie, że to zwiedzanie odbędzie w towarzystwie tak uczonego i sympatycznego człowieka — miał na myśli K., który starał się puszczać mimo uszu gadaninę Włocha i tylko prędko uchwycić sens słów dyrektora — i prosi go, jeśli mu pora odpowiada, by za dwie godziny, mniej więcej około dziesiątej, zechciał znaleźć się w katedrze. On sam spodziewa się, że w tym czasie na pewno będzie mógł już tam być. K. coś tam na to odpowiedział, Włoch ścisnął rękę najpierw dyrektorowi, potem K., a potem jeszcze raz dyrektorowi i poszedł, odprowadzany

przez obu, na wpół tylko ku nim zwrócony, lecz wciąż jeszcze nie przestając mówić, do drzwi. K. został potem jeszcze chwilę z dyrektorem, który dziś wyglądał szczególnie cierpiąco. Uważał, że powinien się jakoś wobec K. usprawiedliwić, i powiedział — stali poufale zbliżeni do siebie — że wpiery zamierzał sam pójść z Włochem, ale potem — nie podał żadnego bliższego powodu — postanowił posłać raczej K. Jeśli z początku nie będzie Włocha rozumiał, niech się tym nie przejmuje, zrozumienie rychło przyjdzie, a jeśliby nawet w ogóle niewiele rozumiał, także nie będzie w tym nic złego, gdyż Włochowi wcale na tym tak bardzo nie zależy, by go rozumiano. Zresztą włoszczyzna K. jest zdumiewająco dobra i na pewno świetnie wywiąże się on z zadania. W końcu pożegnał się z K.

Wolny czas, który mu jeszcze pozostał, spędził K. na wypisywaniu ze słownika rzadkich wyrazów, potrzebnych przy oprowadzaniu po katedrze. Była to nader uciążliwa praca, woźni przynosili pocztę, urzędnicy przychodzili z różnymi pytaniami, a widząc K. tak zajęтым, stawali przy drzwiach i nie odchodzili, aż ich K. nie wysłuchał. Zastępca dyrektora nie omieszkiał przeszkadzać, wchodził kilka razy, brał mu słownik z ręki i kartkował w nim całkiem, jak było widać, bezmyślnie. Nawet strony wynurzały się z półmroku przedpokoju, gdy drzwi się otwierały, i kłaniały się z wahaniem — chciały zwrócić na siebie uwagę, ale nie były pewne, czy je zauważono — to wszystko krążyło wokół K. jak dokoła swego centrum, gdy on tymczasem zestawiał słówka, których potrzebował, potem szukał w słowniku, potem wypisywał znaczenie, potem ćwiczył się w ich wymowie i ostatecznie próbował wyuczyć się na pamięć. Lecz jego tak niegdyś dobra pamięć teraz jakby całkiem zawodziła, niekiedy ogarniała go taka wściekłość na Włocha, który spowodował ten wysiłek, że rzucał słownik między papiery z silnym postanowieniem skończenia z tymi preparacjami, ale potem rozumiał, że przecież nie może w milczeniu chodzić z Włochem po katedrze i jak niemowa stać przed dziełami sztuki, i z jeszcze większą wściekłością wyjmował słownik z powrotem.

Właśnie o pół do dziesiątej, gdy chciał odejść, odezwał się telefon: Leni życzyła mu dobrego dnia i pytała o jego zdrowie. K. podziękował spiesźnie, wyjaśniając, że absolutnie nie może teraz wdawać się w rozmowę, gdyż musi pójść do katedry.

— Do katedry? — spytała Leni.

— No tak, do katedry.

— Dlaczegoż do katedry? — spytała.

K. starał się krótko jej to wytłumaczyć, ale ledwie rozpoczął, powiedziała Leni nagle:

— Ach, jak oni cię szczują.

K. nie mógł znieść litości, której nie zamierzał wywołać i nie oczekiwał, pożegnał się lakonicznie, ale mimo to wieszając słuchawkę powiedział na pół do siebie, na pół do dalekiej dziewczyny, która go już usłyszeć nie mogła:

— Tak, oni mnie szczują.

Ale było już późno, zachodziła prawie obawa, że nie przyjdzie na czas. Pojechał tam automobilem, w ostatnim momencie przypomniał sobie jeszcze o albumie, którego wcześniej nie miał sposobności wręczyć i który dlatego wziął teraz ze sobą. Trzymał go na kolanach i przez całą drogę bębnił na nim niespokojnie. Deszcz ustawał, ale było wilgotno, chłodno i ciemno, w katedrze, przewidywał, zobaczy się niewiele, a wskutek długiego stania na zimnej posadzce kamiennej na pewno pogorszy się jego przeziębienie.

Plac katedralny był całkiem pusty. K. przypomniał sobie, że już gdy był dzieckiem, uderzało go to, iż w domach tego ciasnego placu prawie wszystkie story u okien były zawsze spuszczone. Przy dzisiejszej pogodzie było to zresztą zrozumialsze niż kiedy indziej. Także i w katedrze było pusto, nikomu, rzecz jasna, nie przychodziło do głowy zajrzeć tu teraz. K. przebiegł obie boczne nawy, spotkał tylko starą kobietę, która, owinięta w ciepłą chustę, klęczała pod obrazem Matki Boskiej i wpatrywała się weń. Z daleka zobaczył jeszcze jakiegoś kulejącego sługę kościelnego, znikającego we drzwiach w murze. K. przyszedł punktualnie, właśnie w chwili jego przybycia wybiła dziesiąta, ale Włocha jeszcze nie było. K. wrócił do głównego wejścia, stał tam czas jakiś niezdecydowany i w deszczu okrążył potem katedrę, by zobaczyć, czy Włoch nie czeka może gdzieś przed jakimś bocznym wejściem. Lecz nigdzie nie można go było znaleźć. Czyżby dyrektor źle zrozumiał podaną przez Włocha godzinę? Jak można było w samej rzeczy zrozumieć dobrze tego człowieka? Jakkolwiek jednak z tym było, musiał K. zaczekać jeszcze przynajmniej pół godziny. Ponieważ był zmęczony i chciał usiąść, wrócił do katedry, znalazł na jednym stopniu mały strzęp, coś w rodzaju dywanika, przyciągnął go końcami nóg przed jakąś bliską ławkę, owinał się szczelniej w swój płaszcz, nastawił kołnierz w górę i usiadł. Aby się rozerwać, otworzył album, kartkował w nim trochę, ale musiał wkrótce zaprzestać, gdyż zrobiło się tak ciemno, że gdy podniósł oczy, ledwie mógł jakiś szczegół rozróżnić w bliskiej nawie bocznej.

W dali iskrzył się na głównym ołtarzu wielki trójkąt ze świec. K. nie mógł stwierdzić na pewno, czy już je wcześniej widział. Może zapalono je dopiero teraz. Słudzy kościelni umieją z racji swego zawodu snuć się cicho, nie zauważa się ich. Gdy się K. przypadkiem odwrócił, zobaczył, że niedaleko za nim płonie również jakaś

wysoka świeca, przymocowana do jednej z kolumn. Pięknie to wyglądało, ale do oświetlenia obrazów, które wisiały przeważnie w mroku bocznych ołtarzy, zupełnie nie wystarczało, raczej powiększało ciemność. Ze strony Włocha było równie rozsądnie jak nietaktownie, że nie przyszedł, i tak nic by nie widział, musiałby się zadowolić oglądaniem cał po calu obrazów przy świetle kieszonkowej latarki elektrycznej K. Aby spróbować, jak by to wypadło, skierował się K. do małej kapliczki w pobliżu, podszedł po kilku schodkach do niskiej marmurowej balustrady i nad nią przechylony oświetlał latarką obraz na ołtarzu. Przeszkadzało w patrzeniu pełgające przed nim światło wiecznej lampki. Pierwsze, co K. zobaczył, a po części odgadł, był ogromny opancerzony rycerz wymalowany u krawędzi obrazu. Opierał się na swoim mieczu, który wbił przed sobą w nagą ziemię – tylko tu i ówdzie ukazywało się kilka źdźbeł trawy. Zdawał się uważnie śledzić jakieś zdarzenie, które się przed nim rozgrywało. Aż dziwne było, że stał tak i nie zbliżał się. Może wyznaczono go, by stał na warcie. K., który już dawno nie widział żadnych obrazów, przyglądał się rycerzowi dłuższy czas, mimo że musiał wciąż mrugać oczami, gdyż nie znosił zielonego światła latarki. Gdy później powiódł nim po dalszych partiach obrazu, rozpoznał „Złożenie do Grobu” w tradycyjnym ujęciu; był to zresztą jakiś nowszy obraz. Schował latarkę i wrócił na swoje miejsce.

Było już prawdopodobnie zbyteczne czekać na Włocha, ale na dworze pewnie lał ulewny deszcz, a że nie było tutaj tak zimno, jak się K. obawiał, postanowił na razie zostać. W jego sąsiedztwie znajdowała się wielka ambona, na jej małym, okrągłym daszku były umieszczone na wpół leżące dwa nagie, złote krzyże, które stykały się ukośnie samymi końcami. Zewnętrzna ściana balustrady i przejście ku filarowi zdobne były w motyw zielonych liści, w które wplatały się małe aniołki, raz w ruchu, raz spoczywające. K. stanął przed amboną i badał ją ze wszystkich stron; ociosanie kamienia było nadzwyczaj staranne, w przestrzeni pomiędzy i poza listowiem zdawała się tkwić uwięziona i zamknięta głęboka ciemność. K. włożył rękę w taki otwór i obmacał ostrożnie kamień. O istnieniu tej ambony nic nie wiedział. Wtem zauważył przypadkiem za najbliższym rzędem ławek jakiegoś sługę kościelnego, który stał tam w luźno wiszącym, fałdzistym czarnym surducie. Trzymając w lewej ręce tabakierkę, ów człowiek przyglądał mu się uważnie. „Czego on chce? – pomyślał K. – Czy wydaję mu się podejrzany? Czy chce napiwku?” Ale gdy kościelny spostrzegł, że K. zwrócił na niego uwagę, wskazał ręką – między dwoma palcami trzymał jeszcze szczyptę tabaki – w jakimś nieokreślonym kierunku. Jego zachowanie się było prawie niezrozumiałe.

K. czekał jeszcze chwilę, lecz kościelny nie przestawał pokazywać czegoś ręką i potwierdzał to jeszcze kiwając głową.

„Czegóż on chce, u licha?” — spytał cicho K., nie śmiał tu wołać, ale potem wyjął portfel i zaczął przepychać się przez następną ławkę, by dojść do tego człowieka. Ten jednak uczynił natychmiast wzbraniający ruch ręką, wzruszył ramionami i pokuśtykał dalej. Podobnymi ruchami jak to pospieszne utykanie starał się K. jako dziecko naśladować jazdę na koniu. „Dziecinny starzec — pomyślał K. — jego rozum starczy w sam raz tylko do służby kościelnej. Jak on przystaje zaraz, gdy ja stoję, jak on śledzi, czy chcę iść dalej”. Z uśmiechem szedł K. za starcem przez całą boczną nawę prawie aż do samego wielkiego ołtarza. Stary nie przestawał na coś wskazywać, ale K. umyślnie się nie odwracał, wskazywanie nie miało nic innego na celu, jak odwieść go od śladu starca. W końcu rzeczywiście poniechał go, nie chciał go zanadto trwożyć, nie chciał także spłoszyć tego zjawiska, na wypadek gdyby Włoch miał jeszcze przyjść.

Gdy wszedł do nawy głównej, by odszukać miejsce, na którym zostawił album, zauważył przy jednej kolumnie, prawie przytykającej do stall, małą boczną ambonę, całkiem prostą, wykutą w gołym białawym kamieniu. Była tak mała, że z daleka wyglądała jak pusta jeszcze wnęka, przeznaczona na ustawienie figury świętego. Kaznodzieja na pewno nie mógłby nawet na krok cofnąć się w głąb od poręczy. Ponadto kamienne sklepienie ambony zaczynało się niezwykle nisko i wznosiło się ku górze, wprawdzie bez wszelkich ozdób, ale za to z sterzącym w dół nawisem, tak że człowiek średniego wzrostu nie mógłby się tam wyprostować, tylko musiał stale wychylać się przez balustradę. To wszystko było jakby wymyślone ku udęcie kaznodziei, i trudno było zrozumieć, do czego używało się tej kazalnicy, skoro była przecież do dyspozycji druga, wielka i tak artystycznie ozdobiona.

K. nie zwróciłby nawet uwagi na tę małą ambonę, gdyby na górze nie była utwierdzona lampa, jaką się zwykle przygotowuje tuż przed kazaniem. Czy miało się teraz może odbyć kazanie? W pustym kościele? K. popatrzył w dół na schodki, które przytulone do kolumny prowadziły na ambonę i były tak wąskie, jakby służyły nie dla ludzi, tylko dla ozdoby kolumny. Ale na dole przy ambonie — K. uśmiechnął się zdumiony — stał rzeczywiście duchowny, trzymał rękę na poręczy, gotów do wejścia na górę, i patrzył na K. Potem skinął całkiem lekko głową, na co K. się przeżegnał i przykląkł, co już przedtem powinien był zrobić. Ksiądz wziął mały rozpęd i wbiegł drobnymi, prędkimi krokami na ambonę. Czy rzeczywiście miało się zacząć kazanie? Więc może kościelny nie był tak całkiem obrany z rozumu i chciał go zapędzić do kaznodziei, co zresztą w tak pustym kościele było rzeczywiście konieczne. Zresztą

znajdowała się jeszcze gdzieś przed obrazem Matki Boskiej stara kobieta, która także powinna była przyjść. A jeśli miało już być kazanie, dlaczego nie zaintonowały organy przygrywki? Ale organy milczały, z wysoka połyskując tylko blado w mroku.

K. zastanawiał się, czy nie powinien teraz czym prędzej się oddalić; jeśli tego teraz nie zrobi, nie ma żadnych widoków, by mógł to zrobić podczas kazania, musiałby potem pozostać do końca. W biurze stracił już tyle czasu, od dawna nie był zobowiązany czekać na Włocha, popatrzył na zegarek: była jedenasta. Ale czy rzeczywiście mogło odbyć się kazanie? Czy K. mógł sam jeden reprezentować parafię? Jak to, a gdyby był cudzoziemcem, który chce tylko zwiedzić kościół? W samej rzeczy nie był niczym innym. Było nonsensem przypuszczać, że miano wygłosić kazanie teraz, o godzinie jedenastej, w dzień powszedni, w najokropniejszą pogodę. Ksiądz — niewątpliwie księdzem był ten młody mężczyzna z gładko ogoloną, chmurną twarzą — widocznie szedł na górę tylko w tym celu, by zgasić lampę, którą przez pomyłkę zapalono.

Ale nie, ksiądz raczej wypróbował światło i podkręcił je jeszcze trochę, potem odwrócił się powoli ku balustradzie, o którą oparł się z przodu przy kanciastym występie obiema rękami. Tak stał jakiś czas nieruchomo wodząc oczyma wokoło, K. cofnął się i oparł łokciami na najbliższej ławce. Gdzieś w dali — K. nie umiał sobie dokładnie oznaczyć miejsca — zobaczył, jak zakrystian spokojnie, niby po spełnieniu zadania, przykuca na stopniach ze zgarbionymi plecami. Co za cisza zapanowała teraz w katedrze! Ale K. był zmuszony ją zakłócić, nie miał zamiaru tu zostać; jeśli było obowiązkiem księdza mieć kazanie o oznaczonej godzinie bez względu na okoliczności, to niech je wygłosi, uda mu się ono i bez pomocy K., tak jak z drugiej strony obecność K. na pewno nie mogłaby spotęgować jego skutku. Powoli więc zbierał się K. do odejścia, na końcach palców przesunął się wzdłuż ławki, doszedł potem do szerokiej nawy głównej i szedł nią również bez przeszkody, tylko kamienna posadzka dźwięczała pod najcichszym nawet krokiem, a sklepienie słabo, lecz bezustannie, w wielokrotnych, regularnych interwałach rozbrzmiewało głuchym echem. K. czuł się trochę opuszczony, gdy — być może obserwowany przez duchownego — przechodził tam pomiędzy pustymi ławkami, a ogrom katedry zdawał się dosięgać właśnie samej granicy tego, co człowiek jeszcze znieść może. Gdy doszedł do swego poprzedniego miejsca, dosłownie porwał, nie zatrzymując się ani chwili, leżący album i wziął go pod pachę. Już prawie minął obszar ławek i zbliżał się do wolnej przestrzeni między nimi a wyjściem, gdy po raz pierwszy usłyszał głos księdza. Potężny, wyćwiczony głos! Jak przenikał tę gotową na jego przyjęcie katedrę! Nie

parafian jednak wzywał ksiądz, wołanie było jednoznaczne, nie dopuszczało żadnych wykrętów, wołał:

— Józefie K.!

K. stanął jak wryty i patrzył przed siebie na ziemię. Na razie był jeszcze wolny, mógł iść dalej i wymknąć się przez jedne z trzech małych drzwi drewnianych, które były niedaleko przed nim. Znaczyłoby to, że nie rozumiał albo że zrozumiał wprawdzie, lecz nie troszczy się o to. W razie gdyby się jednak odwrócił, był schwyty, bo przyznałby się tym samym, że dobrze rozumiał, że rzeczywiście jest tym wzywany, i że chce usłuchać. Gdyby ksiądz jeszcze raz zawołał, K. byłby na pewno wyszedł, ale ponieważ mimo wyczekiwania wszędzie panowała cisza, odwrócił trochę głowę, gdyż chciał zobaczyć, co teraz ksiądz robi. Stał spokojnie na ambonie jak poprzednio, było jednak wyraźnie widać, że zauważył zwrot jego głowy. Wyglądałoby to na dziecinną ciuciubabkę, gdyby się K. teraz całkowicie nie odwrócił. Odwrócił się i ksiądz dał kiwnięciem palca znak, by się zbliżył. A że teraz już mogło się dzieć wszystko otwarcie, więc pobiegł — zrobił to z ciekawości, a także, by skończyć z tą sytuacją — długimi lotnymi krokami do ambony. Przy pierwszych ławkach zatrzymał się, lecz księdzu wydała się ta odległość jeszcze za wielka, wyciągnął rękę i surowym gestem wskazał palcem miejsce tuż przed amboną. K. i tym razem posłuchał. Musiał z tego miejsca przeginać głowę daleko wstecz, aby jeszcze widzieć księdza.

— Tyś jest Józef K. — powiedział ksiądz i podniósł jedną rękę z poręczy jakimś nieokreślonym gestem.

— Tak jest — powiedział K., pomyślał przy tym, jak śmiało zawsze wymawiał dawniej swoje nazwisko, ale od jakiegoś czasu stało mu się ono ciężarem; znali teraz jego nazwisko nawet ludzie, z którymi stykał się po raz pierwszy. Jak pięknie to było przedstawić się najpierw i tak dopiero dać się poznać.

— Jesteś oskarżony — powiedział ksiądz niezwykle cicho.

— Tak — rzekł K. — powiadomiono mnie o tym.

— Więc jesteś tym, którego szukam — rzekł ksiądz. — Jestem kapelanem więziennym.

— Ach, tak — powiedział K.

— Kazałem cię tu przywołać — mówił ksiądz — aby z tobą pomówić.

— Nie wiedziałem tego — rzekł K. — przyszedłem tu, aby jakiemuś Włochowi pokazać katedrę.

— Zostaw wszystko, co uboczne — powiedział ksiądz. — Co trzymasz w ręku? Czy to modlitewnik?

— Nie — odpowiedział K. — to album osobliwości tego miasta.

— Odłóż go — rzekł ksiądz. K. odrzucił go tak gwałtownie, że otworzył się i ze zmiętymi kartkami potoczył się po ziemi.

— Czy wiesz, że twój proces wygląda źle? — spytał ksiądz.

— Tak i mnie się zdaje — powiedział K. — Zadałem sobie wiele trudu, ale dotychczas bez powodzenia. Zresztą nie mam jeszcze gotowego podania.

— Jak sobie wyobrażasz koniec? — spytał duchowny.

— Przedtem myślałem, że wszystko musi się dobrze skończyć — rzekł K. — Teraz sam w to nieraz wątpię. Nie wiem, jak to się skończy. Czy ty wiesz?

— Nie — powiedział duchowny — lecz obawiam się, że skończy się źle. Uważają cię za winnego. Twój proces może nawet nie wyjdzie poza niższy sąd. Jak dotychczas, uważa się twoją winę za udowodnioną.

— Ale ja nie jestem winny — rzekł K. — to omyłka. Jak może być człowiek w ogóle winny? Przecież wszyscy jesteśmy tu ludźmi, jeden jak drugi.

— Słusznie — powiedział duchowny — ale tak zwykli mówić winni.

— Czy ty także masz uprzedzenie do mnie?

— Ja nie mam żadnego uprzedzenia do ciebie — rzekł ksiądz.

— Dziękuję ci — powiedział K. — Ale wszyscy inni, którzy biorą udział w postępowaniu sadowym, mają do mnie uprzedzenie. Wpajają je także w niezainteresowanych. Moja sytuacja staje się coraz cięższa.

— Źle rozumiesz fakty — powiedział ksiądz. — Wyrok nie zapada nagle, samo postępowanie przechodzi stopniowo w wyrok.

— Więc to tak — powiedział K. i schylił głowę. — Chcę jeszcze szukać pomocy — powiedział i podniósł głowę, by zobaczyć, co o tym sądzi ksiądz. — Są jeszcze pewne możliwości, których nie wyzyskałem.

— Szukasz za wiele obcej pomocy — powiedział ksiądz z przyganą — a zwłaszcza u kobiet. Czy nie widzisz, że to nie jest prawdziwa pomoc?

— Nieraz i nawet często mógłbym ci przyznać rację — powiedział K. — ale nie zawsze. Kobiety mają wielką moc. Gdybym mógł kilka kobiet, które znam, do tego skłonić, by dla mnie wspólnie coś zrobiły, musiałbym dopiąć swego. Zwłaszcza w tym sądzie, który składa się prawie tylko z samych kobieciarzy. Pokaż z daleka kobietę sędziemu śledczemu, a obali on stół trybunału i oskarżonego, byle tylko do niej na czas zdążyć.

Ksiądz schylił głowę na balustradę, teraz bodaj dopiero przytłoczyło go sklepienie ambony. Co za słowa musiała rozpętać się na dworze! To nie był już pochmurny dzień, to była głęboka noc. Żaden witraż wielkich okien nie był w stanie przerwać ciemnej ściany bodaj najśłabszym połyskiem. I właśnie teraz zaczął zakrystian gasić na wielkim ołtarzu świece jedną za drugą.

— Gniewasz się na mnie? — spytał K. księdza. — Może nie wiesz, jakiemu sądowi służysz.

Nie dostał żadnej odpowiedzi.

— Są to przecież tylko moje doświadczenia — powiedział.

Na górze wciąż jeszcze panowało milczenie.

— Nie chciałem cię obrazić — powiedział K.

Wówczas krzyknął ksiądz do K.:

— Czyż nie widzisz nic na dwa kroki od siebie?

Krzyknął to w gniewie, ale równocześnie jak ktoś, kto widzi czyjś upadek, a ponieważ sam się przestraszył, nieostrożnie, mimo woli podnosi krzyk.

Obaj długo milczeli. W ciemności, jaka na dole panowała, na pewno nie mógł ksiądz dokładnie rozpoznać K., gdy tymczasem K. widział księdza w świetle małej lampki wyraźnie. Dlaczego ksiądz nie schodził? Kazania przecież nie wygłosił, udzielił K. tylko kilku wiadomości, które mogły mu, gdyby ich dokładnie przestrzegął, prawdopodobnie więcej zaszkodzić niż pomóc. A jednak dobry niewątpliwie zamiar księdza był widoczny, nie było wykluczone, że zgodzi się z nim, gdy zejdzie, nie było wykluczone, że da mu decydującą i możliwą do przyjęcia radę, że mu, na przykład, pokaże może nie jak wpłynąć na proces, ale jak się od niego wyłamać, jak go obejść, jak żyć poza procesem. Ta możliwość musiała istnieć. K. w ostatnich czasach często o niej myślał. Jeśli ksiądz jednak znał taką możliwość, może mógłby mu ją, gdyby o to prosił, zdradzić, mimo że sam należał do sądu i mimo że gdy K. zaatakował sąd, przewyciężył swoją łagodną naturę i nawet na K. krzyknął.

— Czy nie chcesz zejść? — spytał K. — Kazania przecież nie będzie. Zejdź do mnie.

— Poczekaj, schodzę już — powiedział ksiądz; może pożałował swego krzyku. Gdy zdejmował lampę z haka, rzekł: — Musiałem najpierw rozmawiać z tobą z oddalenia. Daję bowiem za łatwo sobą powodować i zapominam o służbie.

K. czekał na niego na dole przy schodkach. Schodząc ksiądz już z górnego stopnia wyciągnął do niego rękę.

— Masz trochę czasu dla mnie? — spytał K.

— Tyle, ile tylko potrzebujesz — powiedział ksiądz i podał K. małą lampkę, aby ją niósł. Nawet mimo bliskości nie zatracala się pewna uroczysta dostojność jego istoty.

— Jesteś dla mnie bardzo uprzejmy — rzekł K.

Chodzili obok siebie w ciemnej nawie bocznej tam i z powrotem.

— Jesteś wyjątkiem wśród tych wszystkich, którzy należą do sądu. Mam do ciebie więcej zaufania niż do któregośkolwiek z nich, mimo że tyłu z nich już znam. Z tobą mogę mówić otwarcie.

— Nie ludz się — powiedział ksiądz.

— W czymże miałbym się ludzić? — spytał K.

— Łudzisz się co do sądu — powiedział ksiądz. — We wprowadzeniach do prawa jest mowa o takiej pomyłce: Przed prawem stoi odźwierny. Do tego odźwiernego przychodzi jakiś człowiek ze wsi i prosi o wstęp do prawa. Ale odźwierny powiada, że nie może mu teraz udzielić wstępu. Człowiek zastanawia się i pyta, czy nie będzie mógł wejść później. — Możliwe — powiada odźwierny — ale teraz nie. — Ponieważ brama prawa stoi otworem, jak zawsze, a odźwierny ustąpił w bok, schyla się człowiek, aby przez bramę zajrzeć do wnętrza. Gdy odźwierny to widzi, śmieje się i mówi: — Jeśli cię to kusi, spróbuj mimo mego zakazu wejść do środka. Lecz wiedz: jestem potężny. A jestem tylko najniższym odźwiernym. Przed każdą salą stoją odźwierni, jeden potężniejszy od drugiego. Już widoku trzeciego nawet ja znieść nie mogę. — Takich trudności nie spodziewał się człowiek ze wsi. Prawo powinno przecież każdemu i zawsze być dostępne, myśli, ale gdy teraz przypatruje się dokładnie odźwiernemu w jego futrzanym płaszczu, jego wielkiemu, spiczastemu nosowi, jego długiej, cienkiej, czarnej, tatarskiej brodzie, decyduje się jednak, aby raczej czekać, aż dostanie pozwolenie na wejście. Odźwierny daje mu stołeczek i pozwala mu siedzieć przed drzwiami. Tam siedzi dnie i lata. Robi wiele starań, by go wpuszczono, i zamęcza odźwiernego prośbami. Odźwierny urządza z nim nieraz małe przesłuchania, wypytuje go o jego kraj rodzinny i o wiele innych rzeczy, ale są to obojętne pytania, jakie stawiają wielcy panowie, a w końcu wciąż mu powtarza, że jeszcze nie może go wpuścić. Człowiek, który dobrze zaopatrzył się na podróż, zużywa wszystko, nawet najcenniejsze przedmioty, na przekupienie odźwiernego. Ten wprawdzie wszystko przyjmuje, ale mówi przy tym: — Biorę to tylko dlatego, byś nie sądził, żeś czego zaniedbał. — W ciągu tych wielu lat obserwuje człowiek odźwiernego prawie nieustannie. Zapomina o innych odźwiernych i ten pierwszy wydaje mu się jedyną przeszkodą przy wejściu do prawa. W pierwszych latach przeklina swą

nieszczęsną dolę głośno, później, gdy się starzeje, mruczy już tylko pod nosem. Dziecinnieje, a że w tym długoletnim obcowaniu z odźwiernym poznał także pchły w jego futrzanym kołnierzu, prosi i je również, by mu pomogły i nakłoniły odźwiernego do ustępliwości. W końcu światło jego oczu słabnie i nie wie już, czy wokoło niego staje się naprawdę ciemniej, czy tylko oczy go mylą. A jednak poznaje teraz w ciemności jakiś blask, nie gasnący, który bije z drzwi prowadzących do prawa. Odtąd nie żyje już długo. Przed śmiercią zbierają się w jego głowie wszystkie doświadczenia całego tego czasu w jedno jedyne pytanie, którego dotychczas odźwiernemu nie postawił. Kiwa na niego, ponieważ nie może już podnieść drętwiejącego ciała. Odźwierny musi się nisko nad nim pochylić, gdyż różnica wielkości zmieniła się bardzo na niekorzyść człowieka. — Cóż chcesz teraz jeszcze wiedzieć? — pyta odźwierny. — Jesteś nienasycony. — Wszyscy dążą do prawa — powiada człowiek — skąd więc to pochodzi, że w ciągu tych wielu lat nikt oprócz mnie nie żądał wpuszczenia? — Odźwierny poznaje, że człowiek jest już u swego kresu, i aby dosięgnąć jeszcze jego gasnącego słuchu, krzyczy do niego: — Tu nie mógł nikt inny otrzymać wstępu, gdyż to wejście było przeznaczone tylko dla ciebie. Odchodzę teraz i zamykam je.

— Odźwierny oszukał zatem tego człowieka — powiedział natychmiast K., silnie opowiadaniem przejęty.

— Nie sądz zbyt pochopnie — rzekł ksiądz — nie przyjmuj cudzego zapatrywania bezkrytycznie. Opowiedziałem ci tę opowieść tak, jak brzmi ona dosłownie w Piśmie. O oszustwie nie ma mowy.

— Ale to jest jasne — powiedział K. — i twoje pierwsze tłumaczenie było całkiem słuszne. Odźwierny przekazał zbawczą wiadomość dopiero wtedy, gdy nie mogła już człowiekowi pomóc.

— Nie pytano go wcześniej — powiedział ksiądz — zważ także, że był tylko odźwiernym i jako taki spełnił swój obowiązek.

— Dlaczego sądzisz, że spełnił swój obowiązek? — spytał K. — Nie spełnił go. Jego obowiązkiem było może odprawić wszystkich obcych, ale tego człowieka, dla którego wejście było przeznaczone, powinien był wpuścić.

— Nie masz szacunku dla Pisma i zmieniasz opowieść — rzekł ksiądz.

— Opowieść zawiera dwa ważne wyjaśnienia odźwiernego dotyczące wstępu do prawa, jedno mieści się na początku, jedno na końcu. Jeden werset mówi, że mu teraz nie może dozwolić wstępu, drugi zaś: „to wejście było przeznaczone tylko dla ciebie”. Gdyby między tymi dwoma wyjaśnieniami zachodziła sprzeczność, miałbyś rację i

odźwierny oszukałby był człowieka. Ale sprzeczności nie ma. Przeciwnie, pierwsze określenie wskazuje nawet na drugie. Można by wprost powiedzieć: odźwierny poszedł dalej, niż mu pozwalał obowiązek, ukazując człowiekowi możliwość późniejszego wpuszczenia. W owym czasie, jak się zdaje, jego obowiązkiem było tylko odprawić tego człowieka, i rzeczywiście wielu komentatorów Pisma dziwi się, że odźwierny w ogóle uczynił tę aluzję, gdyż zdaje się on lubić dokładność i surowo przestrzega obowiązków swego urzędu. Przez wiele lat nie opuszcza swojej placówki i zamyka bramę dopiero na samym końcu, jest bardzo świadom wagi swej służby, gdyż mówi: „jestem potężny”; jest pełen bojaźni wobec przełożonych, gdyż mówi: „jestem tylko najniższym odźwiernym”. Nie jest gadatliwy, gdyż w ciągu tych wielu lat stawia tylko, jak czytamy w Piśmie, „obojętne pytania”; nie jest przekupny, gdyż mówi o podarku: „biorę tylko dlatego, byś nie sądził, żeś czego zaniedbał”; nie można go, gdy chodzi o spełnienie obowiązku, ani wzruszyć, ani przebłagać, gdyż czytamy o człowieku: „zamecza odźwiernego pytaniami”; wreszcie zewnętrzny wygląd odźwiernego wskazuje na pedantyczny charakter: „wielki, spiczasty nos i długa, cienka, czarna, tatarska broda”. Czy może być bardziej obowiązkowy odźwierny? Ale do postaci odźwiernego dochodzą jeszcze inne rysy istotne, korzystne dla tego, kto żąda wstępu, i które bądź co bądź pozwalają zrozumieć, że mógł w swej aluzji do przyszłej możliwości wyjść nieco poza swój obowiązek. Nie da się mianowicie zaprzeczyć, że jest on trochę ograniczony i w związku z tym trochę zarozumiały. Jeśli jego uwagi o własnej potędze i o potędze innych odźwiernych i o tym ich widoku, którego nawet on nie może znieść — powiadam, jeśli te wszystkie uwagi są nawet same w sobie słuszne, to jednak sposób, w jaki je wypowiada, wskazuje, że jego zdolność pojmowania jest przyćmiona przez naiwność i pychę. Komentatorowie powiadają na to: Prawdziwe sformułowanie jakiejś rzeczy i nierozumienie tej samej rzeczy w zupełności się nie wykluczają. — W każdym razie trzeba przyjąć, że owo ograniczenie i wywyższanie się, choć tak nieznacznie się uzewnętrzniają, osłabiają jednak czujność straży, są lukami w charakterze odźwiernego. Do tego dołącza się jeszcze i to, że odźwierny zdaje się mieć z natury usposobienie uprzejme, nie zawsze jest osobą urzędową. Zaraz od pierwszych chwil żartuje, zapraszając tego człowieka, mimo że równocześnie wyraźnie przestrzega zakazu, do wejścia, a potem nie odpędza go, tylko daje mu, jak mówi tekst, stołeczek i sadowi go przed drzwiami. Cierpliwość, z jaką przez wszystkie te lata znosi prośby człowieka, małe przesłuchania, przyjmowanie podarunków, wielkoduszność, z jaką dopuszcza, by człowiek ten obok niego głośno przeklinał nieszczęsny los, który ustanowił tu tego odźwiernego —

wszystko to pozwala wnosić o odruchach miłosierdzia. Nie każdy odźwierny tak by postąpił. I w końcu schyla się jeszcze, na jedno jego skinienie, nisko nad tym człowiekiem, by dać mu sposobność do ostatniego pytania. Tylko cień zniecierpliwienia — odźwierny wie przecież, że wszystko już skończone — przebija się w tych słowach: „jesteś nienasycony”. Niektórzy idą nawet w tego rodzaju interpretacji jeszcze dalej i uważają, że słowa „jesteś nienasycony” wyrażają rodzaj przyjacielskiego podziwu, nie pozbawionego zresztą pewnej protekcyjności. W każdym razie, tak ujęta, przedstawia się osoba odźwiernego inaczej, niż sądzisz.

— Ty znasz tę opowieść dokładniej i dawniej niż ja — powiedział K.

Milczeli chwilę. Potem rzekł K.:

— Sądzisz więc, że nie oszukano tego człowieka?

— Nie zrozum mnie źle — powiedział duchowny. — Ukazuję ci tylko różne mniemania, jakie o tym istnieją. Nie powinieneś za wiele zważać na mniemania. Pismo jest niezmienne, a mniemania są często tylko wyrazem rozpaczy z tego powodu. W tym wypadku istnieje nawet pogląd, według którego odźwierny jest tym oszukanym.

— To jest daleko idący pogląd — powiedział K.— Jak go uzasadniają?

— Uzasadnienie — powiedział duchowny — bierze za punkt wyjścia ograniczoność odźwiernego. Tłumaczy się, że on nie zna wnętrza prawa, tylko tę drogę, którą musi przed wejściem wciąż odmierzać. Wyobrażenia, jakie ma o wnętrzu, uważa się za dziecinne i przyjmuje się, że tego, czym chce nastraszyć owego człowieka, sam się boi. Tak, on się nawet boi bardziej od człowieka, gdyż człowiek nie chce niczego innego, jak tylko wejść, nawet chociaż słyszał o strasznych odźwiernych wnętrza, odźwierny natomiast nie chce wejść, przynajmniej nic o tym nie słyszymy. Inni mówią wprawdzie, że musiał już na pewno być we wnętrzu, gdyż przyjęto go przecież kiedyś do służby prawa, a to mogło się odbyć tylko we wnętrzu. Na to jest odpowiedź, że mógł zostać mianowany odźwiernym tylko przez głos z wnętrza i że w każdym razie daleko w głąb nie zaszedł, skoro nie mógł już znieść widoku trzeciego odźwiernego. A poza tym nie ma także wzmianki, żeby w ciągu tych wielu lat, poza uwagą o odźwiernych, opowiadał coś o wnętrzu. Mogło mu to być zabronione, ale i o zakazie nic nie wspominał. Z tego wszystkiego wnioskuje, że nic o wyglądzie i istocie wnętrza nie wie i tkwi co do tego w złudzeniu. Ale tkwi także w złudzeniu, jeśli idzie o człowieka ze wsi, gdyż jest temu człowiekowi podporządkowany, a nie wie tego. Że traktuje tego człowieka jako podporządkowanego sobie, poznać z wielu momentów, które zapewne pamiętasz. Ale że faktycznie jemu jest podległy, wynika z tej

interpretacji równie jasno. Przede wszystkim człowiek wolny jest zawsze ponad człowiekiem zależnym. Otóż ów człowiek jest rzeczywiście wolny, może iść, gdzie chce, tylko wstęp do prawa jest mu wzbroniony. I to zresztą tylko przez jednostkę, przez odźwiernego. Jeśli siada na stołeczku przed bramą i siedzi tam przez całe życie, to dzieje się to dobrowolnie, opowieść nie mówi o żadnym przymusie. Odźwierny natomiast jest przez swój urząd przywiązany do miejsca, nie może oddalić się poza bramę, ale prawdopodobnie nie może także wejść do wnętrza, nawet gdyby chciał. Poza tym jest on wprawdzie w służbie prawa, ale służy tylko przy tym wejściu, a więc także tylko przy tym człowieku, dla którego wyłącznie to wejście jest przeznaczone. Również i z tego względu jest mu podporządkowany. Należy przyjąć, że przez wiele lat, przez cały wiek męski pełnił on poniekąd daremną służbę, bo jest powiedziane, że przychodzi mężczyzna, a więc ktoś w wieku męskim, że więc odźwierny długo musiał czekać, zanim wypełniło się jego zadanie, mianowicie tak długo, jak długo podobało się człowiekowi, który przecież przyszedł dobrowolnie. Ale i koniec jego służby wyznaczony jest końcem życia człowieka, aż do końca więc pozostaje mu podporządkowany. I wciąż się podkreśla, że o wszystkim tym zdaje się odźwierny nie wiedzieć. Nie ma w tym jednak nic rażącego, gdyż podług tej wersji odźwierny tkwi w jeszcze o wiele głębszym złudzeniu. Tyczy się ono jego służby. Pod koniec mówi mianowicie o wejściu i powiada: „odchodzę teraz i zamykam je”, ale na początku była mowa, że brama do prawa stoi otworem jak zawsze, a jeśli jest zawsze otwarta, zawsze, to znaczy niezależnie od trwania życia człowieka, dla którego jest przeznaczona, to i odźwierny nie może jej wobec tego zamknąć. Rozbieżne są poglądy co do tego, czy odźwierny oznajmieniem, że zamknie bramę, chce dać tylko jakąkolwiek odpowiedź, czy podkreślić swoją służbistość, czy też jeszcze w ostatniej chwili pograć tego człowieka w smutku i żalu. Wielu jednak zgadza się z tym, że bramy nie będzie mógł zamknąć. Sądzą oni nawet, że przynajmniej pod koniec odźwierny stoi nawet w swej wiedzy niżej od tego człowieka, ponieważ ten widzi blask, jaki bije z wejścia do prawa, podczas gdy odźwierny odwrócony jest zapewne plecami do wejścia i żadną wypowiedzią nie daje znać, jakoby zauważył jakąś zmianę.

— To jest dobre uzasadnienie — powiedział K., który poszczególne miejsca w wyjaśnieniach księdza powtarzał sobie półgłosem — to jest dobre uzasadnienie i ja także sądzę, że odźwierny zostaje oszukany. Nie odstępiałem tym samym od mego poprzedniego zapatrywania, gdyż oba po części się pokrywają. Nie jest rzeczą istotną, czy odźwierny widzi wszystko jasno, czy też tkwi w złudzeniu. Powiedziałem, że człowiek został oszukany. Gdyby odźwierny widział jasno, można by o tym wątpić,

jeśli jednak odźwierny tkwi w złudzeniu, w takim razie jego złudzenie musi się z konieczności przenieść na tego człowieka. Odźwierny nie jest wtedy wprawdzie oszustem, ale jest tak ograniczony, że powinno by się natychmiast wypędzić go ze służby. Musisz przecież wziąć pod uwagę, że złudzenie, w jakim tkwi odźwierny, jemu samemu nic nie szkodzi, człowiekowi natomiast stokrotnie.

— Tu natkniesz się na pogląd przeciwny — powiedział ksiądz — niektórzy bowiem twierdzą, że opowieść nikogo nie uprawnia do sądzenia odźwiernego. Jakimkolwiek nam się ukazuje, to jednak jest on sługą prawa, a więc do prawa przynależny, a więc wyniesiony ponad ludzki sąd. Nie można też wobec tego sadzić, że odźwierny jest podporządkowany temu człowiekowi. Być związanym przez swoją służbę choćby tylko z wejściem do prawa bez porównania więcej znaczy niż żyć na wolności w świecie. Człowiek dopiero przychodzi do prawa, odźwierny już tam jest. Jest przez prawo przyjęty do służby, wątpić o jego godności znaczyłoby wątpić o prawie.

— Z tym zapatrywaniem nie godzę się — rzekł K. potrząsając głową — gdyż jeśli na nie przystać, trzeba wszystko, co odźwierny mówi, uważać za prawdę. A że to jest niemożliwe, sam przecież dokładnie uzasadniłeś.

— Nie — powiedział duchowny — nie trzeba wszystkiego uważać za prawdę, trzeba to tylko uważać za konieczne.

— Smutne zapatrywanie — rzekł K. — Z kłamstwa robi się istotę porządku świata.

K. powiedział to kończąc dysputę, ale nie było to jego ostateczne przekonanie. Był zanadto zmęczony, aby móc ogarnąć wszystkie wnioski tej opowieści, w niezwykle też tok myśli go wprowadziła, w nierzeczywiste sprawy, bardziej nadające się do roztrząsania dla urzędników sądowych niż dla niego. Prosta opowieść przybrała spotworniałą postać, chciał się z niej otrząsnąć, a ksiądz, który okazywał teraz wiele delikatnego uczucia, zniósł to i przyjął w milczeniu uwagę K., mimo że na pewno nie zgadzała się z jego własnym zapatrywaniem.

Czas jakiś szli w milczeniu, K. trzymał się bardzo blisko księdza, nie widząc w ciemności, gdzie się znajduje. Lampa w jego ręku dawno zgasła. Raz zabłysnął wprost przed nim srebrny posąg jakiegoś świętego i zaraz zgasł w ciemności. Aby nie być zupełnie zdany na księdza, spytał go K.:

— Czy nie jesteśmy teraz w pobliżu głównego wejścia?

— Nie — odpowiedział ksiądz — jesteśmy bardzo od niego oddaleni. Czy chcesz już odejść?

Mimo że K. nie myślał o tym właśnie w tej chwili, odpowiedział natychmiast:

– Oczywiście, muszę odejść, jestem prokurentem banku, czekają na mnie, przyszedłem tu tylko, by pokazać zagranicznemu klientowi katedrę.

– Wobec tego – powiedział ksiądz i podał K. rękę – idź.

– Nie mogę się jednak w ciemności sam zorientować – rzekł K.

– Idź na lewo do ściany – powiedział duchowny – potem dalej wzdłuż ściany, nie opuszczając jej, a znajdziesz wyjście.

Ksiądz oddalił się zaledwie parę kroków, a już K. zawołał nań bardzo głośno:

– Zaczekaj jeszcze, proszę cię!

– Czekam – powiedział ksiądz.

– Czy nie chcesz jeszcze czego ode mnie? – spytał K.

– Nie – rzekł ksiądz.

– Przedtem byłeś dla mnie taki dobry – powiedział K. – i wszystko mi wyjaśniłeś, a teraz pozwalasz mi odejść, jakby ci nic na mnie nie zależało.

– Musisz przecież odejść – powiedział ksiądz.

– No, tak – rzekł K. – chciej to zrozumieć.

– Zrozum ty wpierw, kim ja jestem – powiedział ksiądz.

– Ty jesteś kapłanem więziennym – rzekł K. i podszedł bliżej do księdza; jego natychmiastowy powrót do banku nie był tak konieczny, jak to przedstawił, mógł całkiem dobrze jeszcze tu zostać.

– Należę tedy do sądu – powiedział ksiądz. – Dlaczego więc miałbym czegoś chcieć od ciebie. Sąd niczego od ciebie nie chce. Przyjmuje cię, gdy przychodzisz, wypuszcza, gdy odchodzisz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Koniec

W przeddzień jego trzydziestych pierwszych urodzin — było około dziewiątej wieczór, na ulicach panowała cisza — przyszło dwóch panów do mieszkania K. W zakietach, tłuści i bladzi, w mocno nasadzonych na głowę cylindrach. Po krótkim drożeniu się przed drzwiami mieszkania o to, kto pierwszy wejdzie, powtórzyła się podobna, tylko jeszcze większa ceremonia przed drzwiami K. Mimo że wizyta nie była zapowiedziana, siedział K., również czarno ubrany, w krześle w pobliżu drzwi i naciągał powoli nowe, ciasno na palcach napięte rękawiczki, w pozycji, w jakiej się czeka na gości. Natychmiast wstał i popatrzył z ciekawością na panów.

— Więc panowie są ze mną umówieni? — spytał.

Panowie skinęli, jeden pokazywał cylindrem trzymanym w ręku na drugiego. K. przyznał sobie w duchu, że oczekiwał innej wizyty. Podszedł do okna i popatrzył jeszcze raz na ciemną ulicę. Wszystkie niemal okna po drugiej stronie ulicy były już także ciemne, w wielu spuszczone story. Za jednym oświetlonym oknem na piętrze bawiły się w kojcu małe dzieci i dotykały się wzajemnie rączkami, niezdolne jeszcze ruszyć się ze swego miejsca. „Starych podrzędnych aktorów przysyłają po mnie — powiedział do siebie K. i odwrócił się, aby się o tym jeszcze raz przekonać. — Chcą się ze mną tanim sposobem uporać”. Nagle odwrócił się do nich i spytał:

— W jakim teatrze panowie grają?

— W teatrze? — spytał jeden z nich, drgając kącikami ust bezradnie, drugiego. Drugi zachował się jak niemy, który walczy z opornym organizmem.

„Nie są przygotowani na pytania” — powiedział do siebie K. i poszedł po kapelusz.

Już na schodach starali się panowie wziąć K. pod ramię, ale K. powiedział:

— Dopiero na ulicy, nie jestem chory.

Zaraz jednak przed bramą uchwycili go w taki sposób, w jaki jeszcze K. nigdy z żadnym człowiekiem nie chodził. Trzymali ramiona blisko siebie za jego plecami, nie zgięli ramion, tylko objęli nimi ramiona K. w całej ich długości i na dole chwycili jego ręce wyszkolonym wprawnym chwytem, któremu niepodobna się było oprzeć. K. szedł więc wyprężony i sztywny między nimi, tworzyli teraz wszyscy trzej tak zwartą

jedność, że gdyby chciano uderzyć jednego z nich, uderzono by wszystkich. Była to jedność, jaką tworzyć może tylko coś martwego.

Pod latarniami, choć trudno o to było przy tym skrępowaniu, usiłował K. przyjrzeć się swoim towarzyszom dokładniej, niż to było możliwe w ciemnym pokoju.

„Może są to tenorzy” — pomyślał na widok ich masywnych, podwójnych podbródków. Czuł wstręt do schludności ich twarzy. Wprost widziało się jeszcze staranną rękę, która oczyściła kąciki ich oczu, wytarła wargę górną, wygładziła fałdy na brodzie.

Gdy K. to zauważył, przystanął, wskutek czego stanęli i tamci; byli na skraju wielkiego, bezludnego, ozdobionego klombami placu.

— Dlaczego posłano właśnie panów! — zawołał raczej, niż spytał.

Panowie widocznie nie wiedzieli, co odpowiedzieć, czekali zwiesiwszy wolne ramię, jak pielęgniarze opiekujący się chorym i przystający, gdy chory chce odpocząć.

— Nie idę dalej — powiedział K. na próbę.

Na to panowie nie potrzebowali odpowiadać, wystarczyło tylko nie zwolnić chwytu i ruszyć K. z miejsca, ale K. oparł się. „Nie będę już potrzebował wiele sił, zużyję teraz całą, jaką posiadam — pomyślał. Przypomniał sobie muchy, które z rozdartymi nóżkami wydobywają się z lepu. — Ci panowie będą mieli ciężką robotę”.

Wtem po małych schodkach z niżej położonej uliczki wyszła przed nimi na plac panna Bürstner. Nie było całkiem pewne, czy to była ona, podobieństwo było wprawdzie rzeczywiście wielkie. Lecz K. także nic na tym nie zależało, czy to była na pewno panna Bürstner, tylko uświadomił sobie zaraz bezcelowość swego oporu. Nie było nic bohaterskiego w jego oporze, w tym, że robił tym panom trudności, że opierając się starał nasycić się raz jeszcze ostatnim odblaskiem życia. Ruszył w drogę i z radością, jaką tym sprawił panom, także i na niego samego coś spłynęło. Pozwalali teraz, by oznaczał kierunek, a oznaczał go wzdłuż drogi, którą szła panienska przed nimi, nie dlatego, że chciał ją dogonić, nie dlatego też, by chciał ją jak najdłużej widzieć, lecz dlatego tylko, by nie zapomnieć przestrogi, jaką dla niego oznaczała. „Jedynie, co teraz mogę zrobić — powiedział sobie, a zgodność jego kroku z krokami tamtych dwóch potwierdzała mu jego myśl — jedyne, co teraz mogę zrobić, to zachować do końca spokój, rozagę, rozsądek. Zawsze pragnąłem dwudziestoma rękami naraz chwytać świat, i to nawet dla niesłusznego celu. To było mylne; czy mam teraz pokazać, że nawet jednoroczny proces nie zdołał mnie niczego nauczyć? Czy mam odejść jak człowiek niepojętny? Czy mam pozwolić, by mówiono o mnie, że na początku procesu chciałem go ukończyć, a teraz, na jego końcu, znowu go zacząć?”

Nie chcę, by tak mówiono. Jestem wdzięczny za to, że dano mi na tę drogę tych półniemych, nic nie rozumiejących panów i że mnie samemu pozostawiono, abym powiedział sobie o tym, co nieuchronne”.

Panienka skręciła tymczasem w boczną uliczkę, ale K. mógł się już bez niej obejść i powierzył się swoim towarzyszom. Wszyscy trzej przechodzili w pełnej harmonii przez most w świetle księżyca, panowie zgadzali się teraz chętnie na każdy najmniejszy ruch K., gdy się odwrócił do balustrady, obrócili się i oni także i stanęli do niej frontem. Błyszcząca i rozedrgana w świetle księżyca woda rozdzielała się wokół małej wyspy, na której, jakby ściśnięte, skupiły się zielone masy drzew i krzewów. Pod nimi, teraz niewidoczne, biegły dróżki żwirem wysypane, z wygodnymi ławkami, na których K. nieraz się w lecie rozpierał.

— Przecież wcale nie chciałem się zatrzymać — powiedział do towarzyszy, zawstydzony ich uprzejmą gotowością.

Jeden zdawał się za plecami K. robić drugiemu łagodnie wyrzuty z powodu tego nieporozumienia, potem poszli dalej.

Przechodzili przez kilka wznoszących się pod górę uliczek, na których tu i ówdzie stali lub przechadzali się policjanci, raz oddaleni, raz bardzo blisko. Jeden z krzaczastym wąsem, z ręką na rękojeści szabli, przystąpił jakby naumyślnie blisko do tej nieco podejrzanej grupy. Panowie przystanęli, policjant już chciał usta otworzyć, gdy K. z siłą pociągnął panów naprzód. Często odwracał się ostrożnie, czy policjant nie idzie za nimi; ale gdy oddzielił ich od niego zakręt, zaczął K. biec, panowie musieli zadyszani biec z nim razem.

Tak dostali się szybko za miasto, które w tej stronie prawie bez przejścia łączyło się z polami. Ujrzeni mały kamieniołom, pusty i samotny, w pobliżu całkiem jeszcze z miejska wyglądającego domu. Tu się panowie zatrzymali, czy to dlatego, że to miejsce było od samego początku ich celem, czy to, że byli zbyt wyczerpani, by biec jeszcze dalej. Teraz puścili K., który w milczeniu czekał, zdjął cylindry i rozglądając się po kamieniołomie ocierali sobie chusteczkami pot z czoła. Wszędzie padało światło księżyca zadziwiająco swą naturalnością i spokojem, nie danym żadnemu innemu światłu.

Po wymianie kilku grzeczności w związku z tym, kto wykona dalsze zadania — widocznie nie podzielono między nich zleconych czynności — podszedł jeden z nich do K. i zdjął mu surdut, kamizelkę, wreszcie koszulę. K. wstrząsnął mimowolny dreszcz, na co ów uspokoił go lekkim uderzeniem w plecy. Następnie złożył starannie rzeczy jak coś, czego się jeszcze będzie używało, jeśli nawet nie w najbliższym czasie.

Aby nie narażać K. na bezruch w chłodnym powietrzu nocy, wziął go pod ramię i chodził z nim trochę tam i z powrotem, gdy tymczasem drugi obszukiwał kamieniołom, by znaleźć jakieś odpowiednie miejsce. Gdy je znalazł, kiwnął na pierwszego, i ten zaprowadził tam K. Było to blisko ściany kamieniołomu, leżał tam odłamany kamień. Panowie posadzili K. na ziemi, oparli go o kamień i ułożyli na nim jego głowę. Mimo całego wysiłku, jaki sobie zadali, i mimo całej uprzejmości, jaką im K. okazywał, pozycja jego była dziwnie wymuszona i nieprawdopodobna. Dlatego jeden z nich prosił drugiego, by mu pozwolił samemu zająć się ułożeniem K., ale i to niczego nie polepszyło. Wreszcie zostawili K. w położeniu nawet nie najlepszym ze wszystkich dotychczasowych. Potem jeden z panów rozpiął swój zakiet i wyjął z pochwy, która wisiała na pasku ściskającym kamizelkę, długi, cienki, z obu stron wyostrzony nóż rzeźnicki, podniósł go i badał ostrze w świetle księżyca. Znowu zaczęły się odrażające ceremonie, jeden podawał drugiemu nóż, ten znowu zwracał go z powrotem nad głowę K. K. wiedział teraz dobrze, że byłoby jego obowiązkiem chwycić nóż przechodzący tak nad nim z rąk do rąk i przebić się. Ale nie zrobił tego, tylko obracał wolną jeszcze szyją i rozglądał się dokoła. Nie potrafił wytrzymać próby do samego końca i wyręczyć całkowicie władzy, odpowiedzialność za ten ostatni błąd ponosił ten, który mu odmówił tej reszty potrzebnej siły. Jego wzrok padł na najwyższe piętro graniczącego z kamieniołomem domu. Jak błyska światło, tak rozwarły się tam skrzydła jakiegoś okna: jakiś człowiek, słaby i nikły w tym oddaleniu i na tej wysokości, wychylił się jednym rzutem daleko przez okno i wyciągnął jeszcze dalej ramiona. Kto to był? Przyjaciół? Dobry człowiek? Ktoś, kto współczuł? Ktoś, kto chciał pomóc? Byłże to ktoś jeden? Czy byli to wszyscy? Byłaż jeszcze możliwa pomoc? Istniały jeszcze wybiegi, o których się zapomniało? Na pewno istniały. Logika wprawdzie jest niewzruszona, ale człowiekowi, który chce żyć, nie może się ona oprzeć. Gdzie był sędzia, którego nigdy nie widział? Gdzie był wysoki sąd, do którego nigdy nie doszedł? Podniósł ręce i rozwarł wszystkie palce.

Ale na gardle jego spoczęły ręce jednego z panów, gdy drugi tymczasem wepchnął mu nóż w serce i dwa razy w nim obrócił. Gasnącymi oczyma widział jeszcze K., jak panowie, blisko przed jego twarzą, policzek przy policzku, śledzili ostateczne rozstrzygnięcie. „Jak pies!” – powiedział do siebie: było tak, jak gdyby wstyd miał go przeżyć.

Przełożył Bruno Schulz